

ZESZYT STO DWUDZIESTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1997

ZESZYT STO DWUDZIESTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1997

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 500

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0168-1

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Andrzej GRZYWACZ

WOJNA OBRONNA POLSKI 1939 ROKU W RELACJI POLSKIEGO SZTABOWCA

Tematyka Wojny Obronnej Polski we wrześniu 1939 roku wciąż przyciąga uwagę czytelników, zarówno amatorów-pasjonatów zagadnienia, jak i zawodowych badaczy problemów historii wojskowości. Jedną z przeszkód w dokonaniu właściwej i możliwie obiektywnej oceny polskich przygotowań wojennych jest niewątpliwie szczupłość materiału archiwalnego. Szczególny dyskomfort odczuwać musi historyk wojskowości zagłębiający się w sferę planowania wojny z Niemcami na szczeblu strategicznym z powodu niedostatku dokumentów sztabowych wytworzonych w Sztabie Głównym i Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych z okresu ostatnich miesięcy wojny. Podstawowe źródło, na podstawie którego musimy dokonywać rekonstrukcji zamiarów strony polskiej oraz treści myśli przewodniej Naczelnego Wodza, stanowią relacje wysokich oficerów kierownictwa wojskowego wtajemniczonych w dziedzinę planowania operacyjnego.

Specyfika formułowania planu operacyjnego „Zachód” polegała jednak na przykładaniu aż nazbyt przesadnej wagi do zachowania tajemnicy wojskowej. Sprawiało to, że jedynie bardzo wąski krąg oficerów posiadał szerszą wiedzę odnoszącą się do całości strategicznych i operacyjnych zamiarów marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Nawet głównodowodzący poszczególnymi armiami zostali pozbawieni wiedzy na temat ogólnej koncepcji planu, posiadając bardzo szczątkowe informacje odnoszące się wyłącznie do najbliższych jednostek sąsiadujących armii. Grono wtajemniczonych w zasadnicze zręby koncepcji planistycznej Naczelnego Wodza ograniczało się właściwie do czterech osób. Najlepiej poinformowanymi byli niewątpliwie szef Sztabu Głównego, gen. bryg. Wacław Teofil Stachiewicz, jego II zastępca płk dypl. Józef Jaklicz (były szef Od-

działu III Sztabu Głównego), szef Oddziału III Sztabu Głównego płk dypl. Stanisław Kopański, oraz płk dypl. Andrzej Marecki.

Jeżeli wspomnienia trzech pierwszych osób są powszechnie znane, dzięki opublikowaniu ich drukiem, tak relacja ppłk. Mareckiego nie była dostępna w takim samym stopniu. Nie opublikowana drukiem, jedynie bardzo rzadko pojawiała się w bibliografiach prac poświęconych Kampanii Wrześniowej. Tymczasem ppłk Andrzej Marecki (1898-1943) należał do oficerów bardzo dobrze wprowadzonych w koncepcje operacyjne Naczelnego Wodza. W latach 1936-1938 *attaché* wojskowy w Sztokholmie, w lutym 1939 objął funkcję szefa referatu „Zachód” Oddziału III (operacyjnego) Sztabu Głównego, a podczas wojny obronnej Sztabu Naczelnego Wodza. Nie jest jasna geneza powstania jego relacji – najpewniej opracowano ją dla celów powstałego we Francji Biura Rejestracyjnego MSWojsk. kierowanego przez płk. dypl. Fryderyka Mally. Tekst relacji w formie 14 stron maszynopisu znajduje się w zbiorach Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie pod sygnaturą B. I. 7c/2. Autor pragnie podziękować kierownictwu Instytutu za możliwość wykorzystania zbiorów. W tekście nie naniesiono zmian z wyjątkiem uwspółcześnienia pisowni i drobnych poprawek interpunkcji.

MATERIAŁY DO PRZEBIEGU DZIAŁAŃ POLSKO-NIEMIECKICH¹

I. Punkt wyjścia dla naszego planu działania

Jako punkt wyjścia do planu działania przeciw Niemcom zostało przyjęte, że rola nasza będzie polegać na:

1) Wzięciu na swoje barki uderzenia głównych sił niemieckich, które będzie niewątpliwie skierowane na Polskę.

1. Nad tytułem znajduje się kilka odręcznych napisów:

– K.A.LXXVIII-2a;

– ODPIS;

– 17 II 40 *ppłk Marecki dla O. III*;

– Oddz. III Szt. NW; *otrzymałem 8 IV 40* [parafka nieczytelna].

Na marginesie z lewej strony napis: ODPIS OPRACOWANIE PPLK. DYPL. A. MARECKIEGO NA ŻĄDANIE I DLA ATT. WOJSK. W RZYMIE PPLK. DYPL. ROMEYKO + 2 OLEATY.

2) Umożliwieniu sprzymierzonym siłom Anglii i Francji przeprowadzenia mobilizacji i koncentracji.

3) Jak największym zużyciu sił niemieckich przy zachowaniu sił własnych w jak najlepszej formie do czasu, póki nie nadejdzie moment podjęcia decydującej dla całej kampanii bitwy, wspólnie z państwami sprzymierzonymi.

Z tych przesłanek wynika jasno, że wytyczną myślą planu działania było zachowanie postawy obronnej i to w biernym tego słowa znaczeniu, tzn. że tymczasem – jak długo będziemy zdani na prowadzenie walki w odosobnieniu – nie należy dopuszczać do bitwy „walnej”, której ewent. niepomyślny obrót mógłby przekreślić możliwość utrzymania się w przyzwoitej formie aż do chwili, w której sprzymierzeni przejdą do działań decydujących.

1. Hipotezy o działaniu niemieckim

Kierunki prawdopodobnego uderzenia sił niemieckich zarysowywały się zupełnie oczywiście, biorąc pod uwagę:

1) ukształtowanie granicy polsko-niemieckiej przy uwzględnieniu znamiennej rozciągłości protektoratu niemieckiego nad terytorium Słowacji;

2) rozłożenie naszych głównych ośrodków przemysłu wojennego (rejon Radom, Skarżysko, COP);

3) sytuację stolicy.

W związku z tym liczone się z uderzeniem:

a) ze Śląska Dolnego w ogólnym kierunku na Łódź i Warszawę,

b) na obszar Górny Śląsk – Kraków od zachodu i od południa przez Karpaty, przy czym zasięg działania oskrzydłającego nas od południa mógł się powiększyć, obejmując kierunki wyprowadzające bezpośrednio na COP.

c) z Prus Zachodnich na Bydgoszcz – Toruń w celu odcięcia naszego Pomorza oraz uzyskania bezpośredniej łączności z Prusami Wschodnimi;

d) z Prus Wschodnich:

– na Warszawę,

– ewent. na Włocławek w celu uzyskania szybkiej łączności z siłami działającymi z Prus Zachodnich w kierunku na Toruń.

Przy ocenie działania z Prus Wsch. brana była również pod uwagę możliwość:

– uderzenia przez linię Narwi na komunikacje łączące Warszawę z północno-wschodnią częścią naszego kraju (kierunek Małkinia),

– odosobnionego działania o charakterze wypadowym na rejon Grodna.

Z punktu widzenia ważności poszczególnych kierunków oceniono je następująco:

1) Kierunkiem najbardziej groźnym był kierunek Łódź – Warszawa. Wyprowadzał on npla po najkrótszej drodze wprost na stolicę, otwierał Niemcom możliwość bezpośredniego zagrożenia rejonu przemysłowego Radom – Skarżysko i dostania się do przejść na Wiśle w rejonie Dęblin – Puławy, doprowadzał wreszcie do odcięcia sił naszych, działających na Pomorzu i w Wielkopolsce. Przedarcie się Niemców między Piotrkowem a Zawierciem (kierunek Częstochowa) rozrywało również łączność między naszymi armiami, działającymi w rejonie Łodzi i Krakowa.

Na tym kierunku wydawał się zatem najbardziej prawdopodobny wysiłek nieprzyjaciela.

2) Drugim z kolei groźnym był kierunek uderzenia z Prus Wschodnich na Warszawę z ewentualnym pogłębieniem tego działania przez linię Narwi, dalej na wschód. Przerzucenia ciężkości działania niemieckiego na kierunek Prusy Wsch. – Warszawa oczekiwano jednak raczej w drugiej fazie działań, tzn. po przerwaniu się sił niemieckich, idących z Prus Wschodnich przez nasze Pomorze i zasileniu nimi sił, działających w Prusach Wschodnich;

3) Ewentualne uderzenie niemieckie z Prus Wschodnich na linię Narwi oraz działanie od południa przez Karpaty były oceniane bardzo poważnie ze względu na niebezpieczeństwo, jakie stanowiły dla całego polskiego obszaru operacyjnego, opierającego się swoim zapleczem o linię Wisły.

W szczególności działanie przez Karpaty mogło szybko

postawić pod znakiem zapytania funkcjonowanie COP-u i możliwość korzystania z niezbędnych z punktu widzenia zaopatrzenia połączeń z Rumunią².

4) Najmniej groźny wydawał się kierunek z Prus Zachodnich na Bydgoszcz. Możliwość korzystania z połączeń morskich przez Gdynię nie mogła być oczywiście nigdy brana pod uwagę.

Przy tego rodzaju możliwych kierunkach działania Niemców i przy przyjętej przez Naczelnego Wodza zasadniczej tezie obrony, którą przedstawiłem na wstępie, wchodziły jeszcze w grę – przy konstrukcji planu działania – następujące elementy:

a) rozłożenie naszych głównych rezerw ludzkich, które znajdowały się w zachodniej części kraju – należało zatem zabezpieczyć sobie możliwość wchłonięcia ich na czas przez armie walczące;

b) konieczność oparcia się przez czas jak najdłuższy o własny przemysł wojenny, rozmieszczony na zachód od linii Wisła – San.

c) zabezpieczenie sobie połączeń z Zachodem przez Rumunię.

Tzw. „kwestia gdańska” nie wchodziła pod uwagę w konstrukcji naszego planu działania, jako element o znaczeniu operacyjnym³.

2. Można polemizować ze stwierdzeniem autora relacji. Nie brano raczej pod uwagę zagrożenia głębszym obejściem sił nieprzyjaciela z Prus Wschodnich przez linię Narwi na tyły polskiego frontu (działanie 3 A niem. na Różan i Pułtusk, oraz części 4 A przez Wiznę na Brześć). Jako niemalże aksjomatyczne przyjmowano działanie armii wschodniopruskiej przez północne Mazowsze, na kierunku Allenstein – Modlin – Warszawa. Pominęto tu cenne rozważania operacyjne gen. Juliusza Rómmela z lat 1926-1927. Podobnie zaznaczyło się niedocenianie możliwości głębszego obejścia z południa przez wojska niemieckie działające ze Słowacji w kierunku na Lwów i Włodzimierz Wołyński (działanie 14 A).

3. Trudno zgodzić się z tą argumentacją, skoro w imię ewentualnej interwencji gdańskiej wysunięto głęboko na północ tzw. Korpus Interwencyjny, a jego istnienie pociągnęło za sobą modyfikację koncepcji obronnej Armii „Pomorze”.

III. Plan działania i rozwinięcie sił polskich

Przyjęty plan obrony i wynikające z niego rozwinięcie sił polskich zawierały następujące zasadnicze elementy:

- 1) zabezpieczenie kierunku wyprowadzającego na Warszawę i Radom przez rejon Łódź – Piotrków;
- 2) zabezpieczenie Warszawy od strony Prus Wschodnich;
- 3) utrzymanie rejonu Górny Śląsk – Kraków jako podstawowego punktu oparcia dla południowego skrzydła całości kształtu ugrupowania naszych sił;
- 4) utrudnienie Niemcom połączenia sił działających z Prus Zach. z siłami Prus Wsch.

Pierwszy okres operacji miał być przeprowadzony przy jak najdłuższym wyzyskaniu wszelkich możliwości terenowych, jakie dawał obszar operacyjny, położony na zachodnim brzegu Wisły (wzgl. na północ od linii Wisła – Narew) w oparciu o zasoby przemysłowe Polski Centralnej (Warszawa – Radom – COP).

Druga faza operacji przewidywana była na linii Narew – Wisła (z Warszawą i Modlinem) – Dunajec⁴.

Tak dla jednej, jak i dla drugiej fazy działań było niezbędne:

- trwałe zabezpieczenie obu skrzydeł polskich, tzn. linii Narwi i linii Karpat⁵;
- stworzenie takiego ugrupowania (punkt ciężkości), ażeby nie dać się zrzucić z linii komunikacyjnych, łączących nas przez Rumunię z Zachodem Europy.

Funkcją tych myśli stało się zorganizowanie:

- a) 5 armii osłonowych i 1 samodzielnej grupy operacyjnej,
- b) 2 zgrupowań odwodowych, a mianowicie:

4. Jest kwestią dyskusyjną na ile koncepcja dalszych działań przybrała charakter w pełni ukształtowanej wizji w umyśle marsz. Śmigłego-Rydza.

5. Zastanawia nieadekwatność sił mających zabezpieczyć wypełnienie kategorycznego warunku zabezpieczenia obszarów skrzydłowych.

– jednego silnego – planowanego pierwotnie w rej. Sochaczew – Łowicz – Tomaszów – Radom – Piaseczno, a następnie w kierunku południowym w rej. Radom – Skarżysko, wobec zarysowującego się coraz silniej narostu sił niemieckich, koncentrujących się na Śląsku,

– drugiego, słabszego – rozmieszczonego pod osłoną Narwi w rej. Ostrowi Mazowieckiej, w przewidywaniu do uderzenia w kierunku zachodnim na nplą zagrażającego stolicy.

Ponadto przewidywane było pozostawienie części jednostek dyspozycyjnych Nacz. Wodza w rej. Kutna (trzy dp) oraz na południu w rejonie Dębicy (1 do 2 dp). Nie miały one charakteru zgrupowań przeznaczonych do wykonania zwrotów zaczepnych, lecz do ewentualnego zasilenia sił własnych na kierunku najbardziej zagrożonym.

Projektowane rozwinięcie sił polskich przedstawia załączona oleata.

IV. Zadania poszczególnych zgrupowań operacyjnych

Były one w skrócie następujące:

A. Armie graniczne.

1) Armia „Kraków”. Dowódca – gen. bryg. Szylling.

Skład: 7 dywizji piechoty (w tym 2 dywizje piech. rezerwowe) i 1 brygada kaw.⁶

Armia utrzymać miała w swym ręku rejon przemysłowy Górny Śląsk oraz rejon Krakowa, osłaniając je od zachodu i południo-zachodu⁷.

2) Armia „Łódź”. Dowódca – gen. dyw. Rómmel.

Skład: 5 dywizji piech. i 2 brygady kaw.

Armia osłonić miała kierunki wyprowadzające ze Śląska

6. Dopisane ręcznie + 1 bryg. kaw. zmot.

7. Planowany skład armii: 6, 7, 11, 21, 23 DP, 45, 55 DPRez, Krakowska BK, 10 BKZmot., 1 BGór, rzeczywisty: 6, 7, 21, 22, 23 DP, 55 DPRez, Krakowska BK, 10 BKZmot., 1 BGór.

Niem. na Warszawę i Radom, broniąc rejonu Łódź – Piotrków⁸.

3) Armia „Poznań”. Dowódca – gen. dyw. Kutrzeba.

Skład: 4 dywizje piech. i 1 dywizja kaw⁹.

Armia zabezpieczać miała skrzydła obu sąsiadujących armii „Łódź” i „Pomorze” na kierunkach: Kalisz – Turek – Koło, Czarnków – Żnin – Inowrocław.

Zasadniczą linią obronną armii była linia jezior Żnin – Mogilno – Konin z przedmościem na Warcie w rej. Koło – Turek, dającym możliwość uderzenia stąd części armii w kierunku południowym na korzyść armii „Łódź”. Wysunięcie niektórych jednostek (14 DP i Wielkopolska Bryg. Kaw.) w rej. Poznań – Śrem miało charakter tymczasowy i podyktowany względami mob. i ewakuacji¹⁰.

4) Armia „Pomorze”. Dowódca – gen. bryg. Bortnowski.

Skład: 5 dywizji piech. i 1 dywizja kaw¹¹.

Zadaniem armii było utrzymanie jak najdłużej rozdziału sił niemieckich działających z kierunku Prus Zach. i Wsch. i obrona rej. Bydgoszcz – Toruń¹².

5) Armia „Modlin”. Dowódca – gen. bryg. Przedzrymirski.

Skład: 2 dywizje piech. i 2 bryg. kaw.

Armia osłonić miała Warszawę od strony Prus Wsch. w oparciu ostatecznym o Wisłę i Bug przedmościem w Modlinie¹³.

8. Planowany skład armii: 2, 10, 22, 28, 30 DP, Wołyńska BK, Kresowa BK; rzeczywisty: 2, 10, 28, 30 DP, elementy 44 DPRez, Wołyńska BK, Kresowa BK.

9. Dopisane ręcznie (2 bryg. kaw.)

10. Planowany skład armii: 14, 17, 25, 26 DP, Wielkopolska BK, Podolska BK, rzeczywisty zgodny z planem.

11. Dopisane ręcznie (1 bryg. kaw. – Pomorska).

12. Planowany skład armii (z uwzględnieniem Korpusu Interwencyjnego): 4, 9, 15, 16, 27 DP, Pomorska BK, rzeczywisty zgodny z planem.

13. Planowany skład armii: 8, 20 DP, Mazowiecka BK, Nowogródzka BK; rzeczywisty zgodny z planem.

6) Sam. Grupa Oper. „Narew”. Dowódca – gen. bryg. Młot-Fijałkowski.

Skład: 2 dywizje piech. i 2 bryg. kaw.

Grupa bronić miała linii Narew jako zabezpieczenia północnego skrzydła całości rozwinięcia sił polskich¹⁴.

7) Armia „Karpaty”. Dowódca – gen. dyw. Fabrycy.

Skład początkowy: szereg formacji górskich i ochotniczych o równowartości około dwóch dyw. piech., w okresie późniejszym przewidywano wzmocnienie przez jedną dyw. piech.

Armia ta stanowić miała osłonę południową całości rozwinięcia polskiego, przy czym punkt ciężkości jej ugrupowania znajdował się na kierunku Nowy Sącz – Tarnów, jako bezpośrednie zabezpieczenie skrzydła armii „Kraków”. Kierunki dalsze, wyprowadzające przez Karpaty na COP i na Zagłębie naftowe miały być nadzorowane i osłonięte w miarę możliwości¹⁵.

Poza wymienionymi armiami granicznymi było nadto przewidziane zorganizowanie:

a) obrony rejonu Gdynia – Hel wraz z bazą morską floty – jako odrębny od całości ugrupowania odcinek Wybrzeża¹⁶.

b) osłony rejonu Grodno, powierzonej D-cy Okręgu Korpusu Nr III¹⁷.

W ramach wymienionych powyżej zadań zamykał się pierwszy okres działań wstępnych. Powinien on być dać właściwe naświetlenie sytuacji, tzn. kierunków i natężenia wysiłków prowadzonych przez npla.

B. Odwody Naczelnego Wodza

Jak wynika z założenia przyjętego do planu działania – siły, pozostawione w dyspozycji Nacz. Wodza nie miały cha-

14. Planowany skład armii: 18 DP, 33 DPRez, Podlaska BK, Suwalska BK; rzeczywisty zgodny z planem.

15. Planowany skład armii: 2, 3 BGór.; rzeczywisty zgodny z planem.

16. Lądowa Obrona Wybrzeża (plk. Stanisław Dąbek) i Rejon Umocniony Hel (kmdr Włodzimierz Steyer); całość pod dowództwem kontradm. Jerzego Unruka.

17. GO „Grodno” gen. Józefa Olszyny-Wilczyńskiego.

akteru atutu utrzymanego w jego ręku dla przeprowadzenia jakiejś kontrakcji o charakterze rozstrzygającym dla kampanii. Rolą ich miało być zapobieżenie załamaniu się naszego oporu przez interwencję na najbardziej groźnych kierunkach a więc przede wszystkim na kierunku Łódź – Warszawa (Radom) i Prusy Wsch. – Warszawa. W związku z tym miały być zorganizowane następujące zgrupowania:

1) Odwód centralny „Warszawa”¹⁸. Dowódca – gen. dyw. Dąb-Biernacki.

Skład: 7 dywizji piech. (w tym 3 dp rezerw.) + 1 bryg. kaw. + bryg. kaw. zmotoryzowana¹⁹.

Rozmieszczenie jego było pomyślane początkowo w rej. Łowicz – Tomaszów – Radom – Piaseczno w przewidywaniu do przeciwnatarcia przede wszystkim w kierunku południowym, po zachodnim lub wschodnim brzegu Pilicy, ażeby:

- przeciwstawić się działaniu npla oskrzydłającemu armię „Łódź” od południa;

- osłonić kierunek na Radom;

- nie dopuścić do rozerwania związku między armiami „Łódź” i „Kraków”.

W miarę dostosowywania planu działania do wiadomości napływających o ugrupowaniu niemieckim, uległ rejon początkowego rozmieszczenia odwodów zasadniczej zmianie. Punkt ciężkości tego zgrupowania miał być przesunięty bardziej na południe od rej. Ostrowiec – Kielce – Radom, ażeby uzyskać lepsze warunki do skrzydłowego uderzenia na npla spodziewanego w kierunku Łódź – Warszawa i mieć większą możliwość szybkiego wsparcia armii „Kraków”, przed której frontem sygnalizowana była coraz to poważniejsza koncentracja sił niemieckich²⁰.

18. Ostatecznie Armia „Prusy”.

19. Planowany skład armii: 3, 12, 13, 19, 29 DP, 36, 39, 44 DRPez, Wileńska BK; rzeczywiście: 3, 12, 13, 19, 29 DP, 36 DPRez, Wileńska BK.

20. Faktycznie armię skoncentrowano w dwóch zgrupowaniach i znalazła się nie w położeniu skrzydłowym, lecz w sytuacji czołowej wobec nacierającego przeciwnika.

2) Odwód „Wyszków”. D²¹.

Skład: 3 dywizje piech. (w tym 2 dp rezerwowe)²².

Rozmieszczone w rej. Wyszków – Ostrów – Małkinia, przewidziane były do przeciwnatarcia w ramach armii „Modlin” w kierunku zachodnim z odcinka Pułtusk – Różan.

3) Odwód „Kutno”.

Skład: 3 dywizje piech., rozmieszczone miały być w rejonie Kutno – Płock – Włocławek w przewidywaniu do ewentualnego zasilenia armii „Pomorze”, „Poznań” lub „Łódź” i do zabezpieczenia linii Wisły na odcinku Włocławek – Płock w razie jakiegoś poważniejszego działania w tym kierunku z Prus Wschodnich²³.

4) Celem ewentualnego zasilenia armii „Karpaty” w jej zachodniej strefie działania i silniejszego ubezpieczenia tyłów armii „Kraków”, przewidywane było zadysponowanie do rejonu Dębica jednej dyw. piech. rezerwowej. Ponadto brana była w rachubę możliwość przerzucenia do tego rejonu jeszcze jednej dyw. piech. kosztem odwodu „Warszawa” lub odwodu „Kutno”²⁴.

Podział całości sił polskich miał przybrać obraz następujący:

	dyw.piech.	bryg.kaw.	Uwagi
Armie			
graniczne	25*	10	*W tym 3 dyw. piech. rezerw.
Odwody	14**	2***	**W tym 6 dyw. piech. rezerw. ***W tym 1 bryg. kaw. zmot. Ponadto przewidziano włączenie do odwodu 2 bk zmot., która miała uzyskać gotowość bojową 15 X 1939 r.
Razem	39	12	

21. Tak w oryginale.

22. Planowany skład odwodu: 1 DP, 35, 41 DPRez; faktyczny: 1 DP, 41 DPRez.

23. Planowany skład odwodu: 5, 24 DP; faktycznie nie został zorganizowany.

24. Chodzi o odwód NW „Tarnów”; planowany skład odwodu: 22 DP, 38 DPRez; faktycznie nie został zorganizowany.

V. Zmiany jakie zaszły w planie działania na skutek agresji niemieckiej w dn. 1 IX

Jeszcze przed wybuchem wojny wpłynęły na częściową zmianę planu działań wydarzenia polityczne i wiadomości o przygotowaniach wojskowych niemieckich, a mianowicie:

- a) zaognienie sytuacji w Gdańsku,
- b) zarysowujące się coraz silniej możliwości oskrzydlenia nas od południa.

Sytuacja Gdańska stała się przyczyną wysunięcia do rej. Bydgoszczy dwóch dyw. piech., co wzmacniało armię pomorską o jedną wielką jednostkę. Przewidywano użycie ich na Gdańsk, gdyby doszło do sprowokowania nas z tej strony przez ogłoszenie włączenia Gdańska do Rzeszy, wybuch puczu itd.

Wobec niebezpieczeństwa narastającego od strony południowej zdecydowana została zmiana rozmieszczenia odwodów z rejonu Rawa Mazowiecka od rejonu Skarżysko, o czym była mowa wyżej.

Uderzenie niemieckie dnia 1 IX trafiło nas w momencie, kiedy nie była jeszcze całość wojsk ani zmobilizowana, ani skoncentrowana.

Brak było:

- w armii „Kraków” – 2 dywizji piechoty²⁵,
- w armii „Łódź” – 2 dywizji piechoty i 1 bryg. kaw.²⁶,
- w armii „Poznań” – 1 brygady kawalerii (Podolskiej).

W odwodzie Naczelnego Wodza znajdowały się:

- w rej. Wyszaków – niecałe 2 dywizje piechoty,
- do rej. Skierniewice – Tomaszów – przybywały 2 dyw. piech. i 1 bryg. kawalerii.

W biegu były transporty kolejowe wielkich jednostek alarmowych i z OK VI, III i X.

Plan działania nie uległ początkowo zasadniczej zmianie. Wprowadzone zostały tylko pewne poprawki w przeznaczeniu wielkich jednostek, zważywszy że:

25. 11 DP, 45 DPRz.

26. 2, 22 DP, Kresowa BK.

a) należało za wszelką cenę przyspieszyć stworzenie odwodów;

b) widocznym było, że jednostki z mobilizacji powszechnej nie dojdą na czas do armii granicznych,

c) odpadła ewentualność interwencji gdańskiej;

d) możliwość stworzenia z ugrupowania odwodowego w rej. Kutna stanęła pod znakiem zapytania wobec trudności transportowych, zresztą nie wydawało się też celowe tworzenie tego zgrupowania, wobec tego, że wyłoniła się od razu na południu konieczność posiadania jednostek dyspozycyjnych, ażeby przeciwstawić się zarysowującemu się tam oskrzydleniu.

W związku z tym wyszły następujące zarządzenia:

a) 13 Dyw. Piech. została ściągnięta do odwodu w rej. Skierniewic (27 Dyw. Piech. już się niestety zaangażowała).

b) Rejon wyładowania jednostek odwodowych, nadchodzących z terenu OK VI i II (12 Dyw. Piech, 36 Dyw. Piech. i 3 Dyw. Piech.) został przesunięty do rej. Skarżysko – Ostrowiec.

c) Armia „Kraków” otrzymała 10 Bryg. Kaw. Zmotoryzowaną²⁷ oraz 22 Dyw. Piech. w miejsce 11 i 45 Dyw. Piech.

d) Do rejonu Tarnów – Pilzno została skierowana 11 i 24 Dyw. Piech., oddane do dyspozycji gen. Fabrycego.

f)²⁸ Tworzenie zgrupowania „Kutno” zostało zaniechane.

Pierwszy zasadniczy wyłom w planowanym przebiegu działań zrobiło zachwianie się obrony armii „Kraków” po dwudniowych ciężkich walkach. W nocy z 2 na 3 IX otrzymała armia wytyczne do odejścia na linię Dunajec – Lida, gdzie miała przejść pod rozkazy gen. Fabrycego, gdyż dalsza obrona armii w dotychczasowym rejonie groziła zniszczeniem jej. Gen. Fabrycy otrzymał zadanie przygotowania obrony Dunajca (11 i 24 Dyw. Piech.).

Cofnięcie armii „Kraków” otwierało, siłą rzeczy, nieprzyjacielowi możliwość obejścia południowego skrzydła armii

27. Znajdowała się już wcześniej w składzie odwodu armii, aczkolwiek jej zadysponowanie wymagało zgody NW.

28. Tak w oryginale, prawdopodobnie pomyłka autora relacji.

„Łódź” i wyjścia przez Góry Świętokrzyskie – Radom na Warszawę. Aby temu zapobiec zdecydowane zostało dnia 3 IX zamknięcie kierunku na Warszawę w rej. Gór Świętokrzyskich przez grupę operacyjną gen. Skwarczyńskiego (3, 12 i 36 Dyw. Piech.), która stanowiła południową część zgrupowania odwodowego „Warszawa”, dowodzonego przez gen. Dąb-Biernackiego. Reszta tego zgrupowania koncentrowana była w dalszym ciągu w rej. Tomaszów – Skierniewice (13, 19, 29 Dyw. Piech., Wileńska Bryg. Kaw.). Było to zgrupowanie, które miało ewentualnie wraz z armią „Łódź” i z częścią armii „Poznań”, którą zaczęto w dniu 2 IX wycofywać w kierunku wschodnim, stanowić masę, przeznaczoną do przeciwuderzenia w kierunku południowym (Częstochowa). Niestety, rozwój wydarzeń nie pozwolił już na zrealizowanie tej myśli:

a) kierunek Mława – Ciechanów – Warszawa został odcięty wskutek zrzućenia z tej osi armii gen. Przedrzymirskiego w kierunku południowo-zachodnim (Wyszogród) – 4 na 5 IX;

b) obrona armii „Łódź” zachwiała się (5 IX) wskutek oskrzydlenia jej od południa i od północy;

c) skoncentrowanie odwodów natrafiało na trudności, które były już nie do przewyciężenia wskutek nieustannego bombardowania linii kolejowych.

Elementy te stały się podstawą powziętej w dniu 6 IX decyzji przeniesienia całości ugrupowania obronnego na linię Wisła – San. Skrzydła miały być zabezpieczone:

– na linii Narew przez grupę operacyjną „Narew”;

– na linii Sanu przez armię gen. Fabrycego, którą wzmocniono jeszcze o jedną dyw. piech. (38 Dyw. Piech.).

Przygotowanie obrony środkowego odcinka Wisły, między Górą Kalwarią a Sandomierzem, powierzone zostało gen. dyw. Piskorowi, jako dowódcy nowej armii „Lublin”, której zawiązek stanowiła 39 Dyw. Piech. (rejon Dębłina) oraz zmotoryzowana brygada warszawska, która kończyła swój okres organizacyjny w rejonie Puław.

Jednocześnie uruchomione zostało dowództwo obrony miasta Warszawy (gen. Czuma, następnie gen. Rómmel), która wejść miała łącznie z Modlinem w skład strefy obronnej linii Wisły. Do rejonu Warszawa (Jabłonna) została w związ-

ku z tym skierowana 5 Dyw. Piech., idąca ze Lwowa transportami kolejowymi na Brześć – Siedlce.

Zanim armie graniczne, wycofujące się z przedpola Wisły, zdołały do niej dotrzeć, musiał plan jej obrony ulec zasadniczej modyfikacji. Przyczyną było przełamanie obrony odcinka Narwi, na którą skierowało się z kolei *gros* sił niemieckich, operujących z Prus Wsch., oraz oskrzydlenie grupy operacyjnej „Narew” od wschodu (kierunek Małkinia). Postawiło to pod znakiem zapytania możliwość utrzymania linii Bugu, a zatem i osłonięcia Warszawy od wschodu.

Z tą chwilą (9 IX) realizacja planu działania zaczyna przechodzić w ostatnie swoje stadium, tzn. orientowanie całości sił w kierunku południowo-wschodnim na ogólną oś Lublin – Lwów. Północne skrzydło sił polskich ma ścigać się na linię Wieprz – Brześć, opierając się z jednej strony o Polesie (linia Prypeci), z drugiej – o Wisłę w rej. Dębłina. Odcinek Wisły: Dęblin – Sandomierz ma być broniony w dalszym ciągu. Oddziały znajdujące się jeszcze na zachodnim brzegu Wisły mają się przebijać na wschód do rej. Lublina. Osłona południowego skrzydła i linii komunikacyjnych, łączących nas z Rumunią, została powierzona gen. Sosnkowskiemu, pod którego rozkazy weszły armie gen. Fabrycego i Szyllinga. Warszawa i Modlin mają stać się samodzielnymi ośrodkami obrony w tym celu, aby ściągnąć na siebie część sił przeciwnika oraz stanowić punkty zaczepienia zarówno dla cofających się z zachodu własnych oddziałów, jak i dla ewentualnej przyszłej naszej przeciwakcji. Podobnych ośrodków obrony musiało być pozostawionych więcej (Dęblin, Brześć, Włodzimierz) w miarę dalszego ewentualnego wycofywania się.

Armie gen. Kutrzeby i Bortnowskiego, które jeszcze pozostawały daleko w tyle na zachodzie w rejonie Kutna, otrzymały 8 IX wieczór rozkaz uderzenia w kierunku południowo-wschodnim, między Łódź i Skierniewice, ażeby pobić znajdujące się tam siły niemieckie i dołączyć następnie do całości sił polskich.

Bitwa ta rozpoczęta 10 IX rano²⁹, spowodowała natych-

29. Uderzenie GO gen. Edmunda Knolla-Kownackiego z Armii „Poznań” znad Bzury rozpoczęło się 9 września o godz. 17.00.

miastowe wycofanie części jednostek niemieckich, które podeszły pod Warszawę i Górę Kalwarię. Przebieg jej, niezwykle dotkliwy dla Niemców, uwieńczony został w końcu – przy dużych w końcu własnych stratach – rezultatem pozytywnym, tj. połączenia się tego zgrupowania, dowodzonego przez generała Kutrzebę, z obroną Warszawy i Modlina.

Wskutek utraty linii Sanu i bezpośredniego zagrożenia Lwowa, a zatem linii komunikacyjnych, łączących nas przez Rumunię z Zachodem, o które miała się oprzeć cała rekonstrukcja sił polskich i skonsolidowania naszego oporu – została przekreślona możliwość utrzymania frontu Prypeć – Brześć – Wieprz – Wisła – San.

Stało się to oczywiście tym bardziej, że jednocześnie nastąpiło sforsowanie Wisły w rejonie na północ od Sandomierza – nie była ona zresztą w tym czasie żadną poważną przeszkodą.

W tej sytuacji nastąpiło przejście do ostatniej fazy działania, tj. ściągnięcia wszystkiego co się tylko dało po najkrótszych ośiach na Małopolskę Wschodnią w celu zabezpieczenia niedużego „przedmieścia” na linii Dniestr – Stryj, przesłaniającego jeszcze końcówki naszych połączeń z Rumunią. Rozkaz do przegrupowania na tę ostatnią linię oporu został wydany we Włodzimierzu 13 IX.

Kiedy w tej ostatniej fazie naszych zmagających zaczęły wreszcie napływać wiadomości o wyczerpywaniu się pościgu niemieckiego, o pomyślnym rozwoju bitwy toczonej przez gen. Kutrzebę, skutecznym oporze pozostawionych na przedpolu ośrodków obrony Warszawa, Modlin, Brześć, Dęblin, Włodzimierz i Lwów oraz o uderzeniu gen. Sosnkowskiego pod Lwowem, uwieńczonym pełnym powodzeniem – nastąpiło 17 IX rano przekroczenie naszej granicy wschodniej przez armie bolszewickie, przekreślające wszelkie możliwości stawiania dalszego oporu w sensie operacyjnym już dwóm teraz przeciwnikom.

VI. Organizacja wojska polskiego przed wojną

Organizacja ta przedstawiała się w skrócie następująco:

1) Naczelny Wódz istniał w czasie pokoju jako Generalny Inspektor Sił Zbrojnych.

2) Organem pracy Naczelnego Wodza w zakresie przygotowania wojny był Sztab Główny.

3) Organami wykonawczymi byli:

a) Inspektorowie Armii – jako przyszli dowódcy armii, dysponujący już w czasie pokoju zawiązkami swego sztabu – w zakresie rozplanowania operacji na swoim odcinku i przygotowania wspólnie ze Sztabem Głównym wynikających stąd zarządzeń wykonawczych w stosunku do wojska i terenu.

b) Minister Spraw Wojskowych – w zakresie:

- uzbrojenia i zaopatrzenia armii,
- wyszkolenia,
- administracji armii w czasie pokoju.

Rozwiązanie tych zagadnień przez MSWojsk. następowało przy uzgodnieniu ich ze Sztabem Głównym.

4) Organem wykonawczym Ministra Spraw Wojskowych w terenie był Dowódca OK, który miał powierzone z działu przygotowań wojennych, wynikających z planu operacyjnego, tylko prace kwatermistrzowskie, opl i bezpieczeństwa tyłów; pod tym względem podlegał Szefowi Sztabu Głównego. Zresztą Dowódca Okręgu Korpusu nie był żadnym dowódcą operacyjnym.

5) Ilość wielkich jednostek, jaka istniała w czasie pokoju, wynosiła:

- 30 dywizji piechoty,
- 11 brygad kawalerii,
- 1 brygadę zmotoryzowaną (druga miała uzyskać swoją gotowość około 15 X).

Wzmocnienie armii czynnej stanowił:

– Korpus Ochrony Pogranicza, który wystawiał na czas wojny dwie dywizje piechoty i szereg oddziałów samodzielnych (brygady górskie, zaangażowane w zachodniej części Karpat);

- Straż Graniczna (na pograniczu zachodnim);
- bataliony Obrony Narodowej, której organizacja została silnie pchnięta naprzód w pierwszym półroczu 1939 r., dając w ten sposób możliwość wykorzystania poważnej ilości rezerw ludzkich.

6) Zagadnienie obrony przeciwlotniczej zarówno w kraju, jak i to, które było pochodną planów operacyjnych, powierzone było Inspektorowi OPL Państwa jako specjalnemu organowi pracy, podlegającemu wprost Naczelnemu Wodzowi.

7) Koordynacja przygotowań resortów cywilnych rządu z postulatami operacyjnymi Szefa Sztabu Głównego na wypadek wojny leżała w kompetencji Zastępcy Szefa Sztabu Głównego.

VII. Sposób przeprowadzenia mobilizacji.

Mobilizacja armii została przeprowadzona stopniowo, w miarę rozwoju wypadków politycznych. Pierwszy rzut stanowiła mobilizacja jednostek alarmowych, drugi rzut – mobilizacja powszechna.

1) Mobilizacja alarmowa

Dnia 22 III ogłoszona została mobilizacja jednostek alarmowych OK IX³⁰. Dało to 3 dywizje i 1 brygadę kawalerii (20, 30 i 9 Dyw. Piech. i Nowogródzka Bryg. Kaw.). Jednocześnie została zmobilizowana 26 Dyw. Piech. z OK IV³¹.

14 VIII ogłoszona została mob. OK II³². Dało to 2 dywizje piechoty (13 i 27 Dyw. Piech.) i 1 brygadę kaw. (Wołyńska).

22 VIII ogłoszona została mob. OK III³³ i wszystkich OK zachodnich (tzn. I³⁴, IV, V³⁵, VII³⁶ i VIII³⁷), co dało 19 dywizji piech. i 6 brygad kaw.

25 VIII ogłoszona została mob. OK VI³⁸. Dało to 3 dywizje piechoty (12³⁹, 22 Dyw. Piech.) i 2 brygady kaw.

30. OK IX Brześć.

31. OK IV Łódź.

32. OK II Lublin.

33. OK III Grodno.

34. OK I Warszawa.

35. OK V Kraków.

36. OK VII Poznań.

37. OK VIII Toruń.

38. Dopisane ręcznie – i X. OK VI Lwów.

39. Dopisane ręcznie – 2.

(Podolska i Kresowa).

W sumie dała mobilizacja alarmowa:

- 26 dyw. piech. czynnych,
- 2 dyw. piech. rezerwowe (33 i 55),
- 12 brygad kaw. (łącznie z brygadą zmotoryzowaną).

Ponadto zostały w tym okresie zmobilizowane części alarmowe dywizji 5 (1/3), 36 rezerwowej (2/3) i 31⁴⁰ rezerwowej (1/3).

2. Mobilizacja powszechna

Pierwszym dniem mob. był 31 VIII. Mobilizacja powszechna miała dać:

- 4 dyw. piech. czynne (3, 11, 24 i 5 Dyw. Piech.),
- 7 dyw. piech. rezerwowych (35, 38, 39, 44, 45 i reszta 41 i 36).

Razem 11 dywizji piechoty;

Przegląd położenia w dniu 1 IX pod względem mobilizacyjnym oraz gotowości operacyjnej, tzn. ilości wielkich jednostek, jakie znajdowały się w swoim rejonie operacyjnym, daje następująca tabela:

Wielkie jednostki					Z jednostek zmobilizowanych			
	Zmobilizowane całkowicie		Będące w trakcie mob.		Znajdowały się w miejscach swojego oper. przeznaczenia		Były w domarszach wzgl. transportach	
	dp	bk	dp	bk	dp	bk	dp	bk
Armie	21 ⁴¹	10 i 1 zmot.	4	-	18 ⁴²	7	3 ⁴³	3
Odwo- dy	6	1	8	-	-	-	6	1

Uwagi:

1) Jak wynika z tabeli byliśmy w chwili wybuchu wojny w stanie przeciwstawić Niemcom zaledwie połowę naszych

40. Poprawione ręcznie – 41.

41. Poprawione ręcznie – 22.

42. Poprawione ręcznie – 18 [?].

43. Poprawione ręcznie – 5 [?].

sił. Stanowiło to tylko niezbędną osłonę potrzebną dla mobilizacji i koncentracji całości. Naczelny Wódz nie dysponował jeszcze w tym momencie żadnym odwodem.

2) Dodać trzeba, że z wielkich jednostek, jadących ku rejonowi koncentracji transportami kolejowymi, dochodziło wskutek bombardowań linii kolejowych szereg dywizji tylko kawałkami do różnych rejonów nieraz bardzo odległych od siebie. Do takich jednostek należy zaliczyć:

- 5 Dyw. Piech.
- 36 Dyw. Piech.
- 3 Dyw. Piech.
- 12 Dyw. Piech.
- 35 Dyw. Piech.
- 11 Dyw. Piech.

Razem 6 dywizji piechoty.

Tzn. wielkie jednostki mobilizowane w mob. powszechnej prócz 12 Dyw. Piech.

3) Nie zmobilizowały się w ogóle, wskutek utraty terenu spowodowanej przebiegiem działań, dywizje rezerwowe: 44, 45 i częściowo 39.

4) Pewnym wzmocnieniem O. de B wojennego dnia 1 IX były:

a) pojedyncze baony strzelców (głównie na Pomorzu i w Poznańskim);

b) baony Obrony Narodowej;

c) 3 brygady górskie sformowane z oddziałów KOP, Obrony Narodowej i niektórych oddziałów liniowych w okresie marzec – sierpień na odcinku karpackim Żywiec – Sanok.

Taki stan rzeczy stworzył nam z miejsca, w chwili kiedy nastąpiło uderzenie niemieckie, szczególnie trudne warunki dla przeprowadzenia planowanych operacji.

Andrzej GRZYWACZ

Kajetan BIENIECKI

WSPÓŁPRACA SOE Z NKWD I POLACY*

W siedem tygodni po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, na początku sierpnia 1941 roku z portów brytyjskich odpłynęły statki do Archangielska. Załadowane były myśliwskimi samolotami brytyjskimi *Hawker Hurricane*'ami i amerykańskimi *Curtiss Tomahawk*'ami. Oprócz samolotów Brytyjczycy wysłali instruktorów pilotażu w mundurach lotniczych, a Amerykanie młodego oficera w cywilnym ubraniu, Huba Zemke'go, późniejszego myśliwskiego asa lotnictwa amerykańskiego, którego zadaniem było szkolenie sowieckich pilotów na amerykańskim myśliwcu *Curtiss P-40A Tomahawk*. Zamówienie na te samoloty złożyli wprawdzie Francuzi, ale kupili je od Amerykanów w ostatecznym rozrachunku Brytyjczycy i wysłali je Sowietom¹.

W czasie wojny Brytyjczycy wysyłali setkami *Hurricane*'y Sowietom. Z jednym z takich *Hurricane*'ów spotkała się koło Rzeszowa załoga południowoafrykańska Lt. Smitha²

* Artykuł oparty na materiałach Public Record Office w Londynie. W tekście zachowałem anglosaską pisownię nazwisk i imion rosyjskich agentów NKWD, jaka jest w dokumentach Public Record Office.

1. Freeman Roger A. „Zemke's Wolf Pack”, Orion Books, New York 1989.

2. AIR 54/78.

z 31. Dywizjonu SAAF w nocy z 10/11 września 1944 roku o godz. 22.25, gdy leciała z zaopatrzeniem materiałowym do Warszawy. Sowiecki *Hurricane* naleciał na południowoafrykańskiego *Liberatora KG-996 „A”*, nie strzelał jednak do niego, tylko ostro spikował. Zachodzi więc pytanie, czy tylko myśliwce niemieckie zestrzeliwały samoloty alianckie lecące z zaopatrzeniem do Polski podczas Powstania. Wiele załóg skarżyło się, że strzelała do nich artyleria sowiecka, a załogi, które poległy zabrały ze sobą tajemnicę zestrzelenia do grobu.

Pomoc brytyjska nie ograniczała się jednak tylko do pomocy materiałowej. Ostatnio odtajnione dokumenty w *Public Record Office* niezbicie wskazują, że rozpoczęła się również współpraca między SOE³ a NKWD. W miesiąc po wysłaniu do Archangielska pierwszych brytyjskich samolotów myśliwskich przybył do Moskwy we wrześniu 1941 roku przedstawiciel SOE brygadier George Hill, a do Londynu jego sowiecki odpowiednik, pułkownik NKWD Iwan Cziczajew (kryptonim DPR/1). Z końcem września 1941 roku podpisana została umowa między SOE a NKWD, na podstawie której NKWD zobowiązało się zawiesić swoją działalność w państwach Wspólnoty Brytyjskiej, w Arabii Saudyjskiej, w Egipcie, Iraku, Jemenie i Syrii. W zamian za to Brytyjczycy zobowiązali się zrzucić agentów NKWD do państw w Europie.

Pierwsi agenci NKWD przybyli do W. Brytanii 20 listopada 1941 roku, a do stycznia 1944 roku przybyło ich w sumie 34, w tym 5 kobiet. Trzeba dodać, że NKWD przedstawiło SOE jeszcze listę 28 agentów. Z tej listy SOE zaakceptowało 5 mężczyzn do zrzucenia we Włoszech i prowizorycznie zgodziło się na 5 mężczyzn do zrzucenia we Francji. Natomiast 18 agentów, w tym jedną kobietę, SOE odrzuciło, pomimo że było w planie zrzucenie ich w Belgii,

3. Special Operations Executive – Kierownictwo Operacji Specjalnych. Tajna organizacja brytyjska sabotażowo-dywerysyjna, której celem było wywołanie działań wywrotowych w krajach zajętych przez państwa Osi.

Francji, Holandii, Jugosławii, Portugalii i Szwajcarii. Pod koniec maja 1943 roku NKWD poinformowało SOE, że ma gotowych do zrzućcia dalszych 100 agentów. SOE jednak stwierdziło, że takiej ilości agentów, z braku odpowiednio zmodyfikowanych samolotów, nie jest w stanie zrzućcić⁴.

Agentom NKWD, wysłanym z ZSSR do W. Brytanii, skąd mieli być zrzućciani do państw Europy zachodniej, nadało SOE ogólny kryptonim *Pickaxe*, czyli kilof. Kryptonim ten więc daleko nie odbiegał od symboli państwowych ZSSR.

Pierwszą udaną operację *Pickaxe I* zainaugurowała kobieta Anna Ouspenskaja, którą zrzućcono w nocy z 10/11 stycznia 1942 roku we Francji. Poprzednia bowiem operacja *Pickaxe II* w nocy z 27/28 grudnia 1941 skończyła się tragicznie. Dwusilnikowy *Whitley Z-9385* ze 138. Dywizjonu RAF do specjalnych zadań w drodze powrotnej rozbił się przy lądowaniu w Anglii. Czteroosobowa załoga, w której dwóch pilotów było Kanadyjczykami, poległa i zginął jeden z agentów, a drugi odniósł rany.

Następne operacje z agentami NKWD kodowano nazwami napojów i nazwami szczytów górskich. *Barsac* (1 mężczyzna zrzućcony w nocy z 22/23.6.42 w Holandii); *Burgundy* (1 mężczyzna zrzućcony w nocy z 24/25.6.42. w Belgii). Natomiast w operacji *Coffee* do Austrii 1 kobieta i 3 mężczyzn odmówiło skoku i wróciło do ZSSR; *Orange* (3 mężczyzn zrzućcono w nocy 14/15.9.43 we Francji); *Rum* (1 kobietę i 2 mężczyzn zrzućcono w nocy z 3/4.3.42 we Francji); *Sauterne* (1 mężczyzna zrzućcony w nocy z 29/30.11.42 w Holandii); *Sodawater* (1 kobieta i 1 mężczyzna zrzućceni w nocy z 24/25.2.43 w Austrii); *Tonic* (1 kobieta i 1 mężczyzna zrzućceni w nocy z 24/25.2.43 w Niemczech); *Whiskey* (2 mężczyzn leciało w nocy z 20/21.4.42 do Austrii, samolot nie wrócił); *Apache* (3 mężczyzn zrzućcono w nocy z 5/6.3.44 we Francji); *Ararat* (1 mężczyzna zrzućcony w nocy z 12/13.5.43 we Francji), *Eiger* (2 mężczyzn zrzućcono w nocy z 7/8.1.44 w Niemczech); *Etna* (1 mężczyzna zrzućcony w nocy z 30.6/1.7.43 we Włoszech, drugi agent odmówił skoku);

4. HS4/328.

Everest (2 mężczyzn zrzucono w nocy z 6/7.1.44 r. w Austrii); *Jungfrau* (1 mężczyzna zrzucony w nocy z 4/5.1.44 w Niemczech), *Rigi* (1 mężczyzna zrzucony w nocy z 5/6.1.43 w Niemczech). W sumie więc z 43 agentów NKWD, którzy do 5 stycznia 1944 roku przybyli z ZSSR do W. Brytanii, zrzuconych zostało 27, w tym 4 kobiety⁵.

Załogom polskim, latającym w ramach 138 Dywizjonu RAF do specjalnych zadań, przypadły do wykonania trzy operacje: *Whiskey*, *Sodawater* i *Tonic*. Przebieg tych operacji był następujący.

Ekipę skoczków *Whiskey*⁶ tworzyło dwóch agentów NKWD. Byli nimi: Vsevolod Trousevitich *alias* Johann Traun, lat 32 i Peter Staritsky *alias* Peter Schulenburg, lat 35. Przybyli oni sowieckim statkiem *Arcos*, który zawinął 10 lutego 1942 roku do szkockiego portu Aultbea w Loch Ewe. NKWD zaopatrzyło ich w fałszywe dokumenty. Dla Trouseviticha opiewały one na Franz Mayer, technika maszynowego, zatrudnionego w fabryce *Waffen und Fahrrad-Fabrik* w Suhl w Turyngii, a dla Staritsky'ego na Rudolf Hofstädter, inżyniera, zatrudnionego w fabryce *Maschinen-fabrik* Buckau R. Wolf w Magdeburgu. Obaj mieli zlecone prace do wykonania w Wiedniu. Do operacji *Whiskey* startowano trzykrotnie.

Pierwszym razem do tej operacji wystartowała *Halifaxem* V-9976 z Tempsford 25 marca 1942 o godz. 20.00 załoga polska. Stanowili ją: F/O Zygmuntowicz Ryszard, F/O Dobromirski Krzysztof (piloci), F/L Voellnagel Antoni (nawigator), Sgt Wilmański Leon (radiotelegrafista), Sgt Sołtysiak Jerzy (mechanik/*despatcher*), Sgt Wojciechowski Mieczysław, F/S Żuk Wacław (strzelcy). Brzeg francuski przekroczone o godz. 21.27 koło Le Touquet u ujścia rzeki Canche, skąd obrano kurs na Mannheim. Na południe od Mannheim pano- wało całkowite zachmurzenie, lot jednak kontynuowano. Re- jon celu, którym była leśna polana, położona 35 km na po- łudniowy zachód od Wiednia koło miasta Alland [N 48°04'

5. *ibid.*

6. HS4/342; AIR 27/956.

E 16°04'], osiągnięto o godz. 01.30. Przez godzinę załoga szukała daremnie przerwy w chmurach, aby zobaczyć ziemię i sprawdzić dokładnie swoje położenie. W końcu zawrócono i lądowano na nadbrzeżnym lotnisku w Tangmere w południowej Anglii o godz. 06.00 po dziesięciu godzinach lotu⁷.

Drugi raz z ekipą agentów NKWD w operacji *Whiskey* poleciała załoga czeska P/O Anderle'a *Halifaxem L-9613 „V”* 8 kwietnia 1942 roku. P/O Anderle wystartował z Tempsford o godz. 20.25 i doleciał tylko do Mannheim, skąd zawrócił o godz. 23.15 z powodu silnego zachmurzenia i niebezpiecznego oblodzenia samolotu. Wylądował on na nadbrzeżnym lotnisku Tangmere o godz. 04.40 po ośmiu godzinach i piętnastu minutach lotu⁸.

Tych trudności nie potrafiło zrozumieć jednak NKWD. Nie ukrywając swego niezadowolenia z dotychczasowej współpracy z SOE, oskarżyło SOE o sabotaż. Sprawa oparła się o sowieckiego ambasadora w Londynie. Foreign Office, aby nie zakłócić dobrych stosunków z Wielkim Aliantem, domagał się od SOE natychmiastowego wykonania tej operacji. W związku z tym, wyższy oficer SOE Sweet-Escott⁹ zadzwonił do dowódcy 138. Dywizjonu i polecił mu, aby w ramach ludzkich możliwości wykonać zadanie. W zachodniej Europie pogoda 20 kwietnia 1942 roku była zła. Wszelkie loty z 20/21 kwietnia dla Bomber Command zostały wstrzymane. Mimo tego, trzydziestoosmioletni dowódca 138 Dywizjonu W/C Walter Ronald Farley, po otrzymaniu telefonu od SOE, zarządził lot, a dwóch agentów NKWD wyraziło zgodę na skok przez chmury. Farley, mimo że nie darzył Polaków sympatią, wybrał na tę operację *Halifaxa* z załogą polską, dobierając sobie angielskiego strzelca F/O Pultona. Załogę *Halifaxa V-9976* stanowili: F/O Zygmuntowicz Ryszard, W/O Farley Walter Ronald (piloci), F/L Voellnagel Antoni (nawigator), Sgt Wilmański Leon (radiotelegrafista), Sgt Mądracki Czesław (mechanik), Sgt Karbowski Bronisław, Sgt Wojciechowski

7. AIR 27/956.

8. *ibid.*

9. Sweet-Escott Bickham „Baker Street Irregular, Methuen & Co Ltd, London 1965, str. 117-118.

Mieczysław i F/O Pulton James Ansford (strzelcy). *Halifax* nie wrócił z operacji *Whiskey*, rozbił się bowiem u podnóża Alp Bawarskich koło miejscowości Kreuth. Załoga spoczywa na Brytyjskim Cmentarzu Wojskowym w Durnbach niedaleko miasta Bad Tölz¹⁰.

Ekipę skoczków *Sodawater*¹¹ tworzyła para agentów NKWD. Byli nimi: Emilya Novikova *alias* Anna Under, lat 34 i Pyotr Koltzov *alias* Juri Kruus, lat 36. Płynęli oni z ZSSR na pokładzie brytyjskiego statku „Ocean Voice”, który został storpedowany w drodze do W. Brytanii. Wyłowieni z morza przybyli do Glasgow 28 września 1942 roku. Z końcem października 1942 roku odbyli próbne skoki w Ringway koło Manchesteru. Na stacje wyczekiwania, skąd skoczkowie odwożeni byli na lotnisko, kierowano ich czterokrotnie, aż wreszcie w nocy z 19/20 lutego 1943 roku wystartowali do Austrii. Samolot zawrócił jednak z drogi z powodu wady silnika. Blisko tydzień później, w nocy z 24/25 lutego, powierzono wykonanie operacji *Sodawater* polskiej załodze z 138. Dywizjonu do specjalnych zadań. Stanowili ją: F/O Miszewski Jan, F/O Machej Stanisław (piloci), F/O Gębik Karol (nawigator), F/S Antoniewicz Janusz (radiotelegrafista), F/S Pacut Kazimierz (*despatcher*), Sgt March J.E., RAF (mechanik), F/S Koc Marian (strzelec).

F/O Miszewski wystartował z Tempsford *Halifaxem* DT-725 „J” o godz. 18.50. Zrzutu dokonano z wysokości 650 stóp o godz. 00.26 na południe od Wiednia. Dokładnie: 8,25 km na północny zachód od Eisenstadt i 4,5 km na wschód od Wimpassing [N 47°54'48" E 16°29'11"]. *Despatcher* F/S Pacut stwierdził w raporcie, że kobieta wyskoczyła za mężczyzną zbyt późno, więc rozrzut wyniósł co najmniej 300 m. Polska załoga wylądowała w bazie o godz. 05.30 po dziesięciu godzinach i czterdziestu minutach lotu¹².

10. AIR 27/956; War Dead of the British Commonwealth 1939-1945, Durnbach War Cemetery, Part III, Commonwealth War Graves Commission, Maidenhead, Berkshire 1981.

11. HS4/344; AIR 27/956.

12. *ibid.*

Ekipa skoczków *Tonic*¹³ płynęła z ZSSR do W. Brytanii tym samym statkiem „Ocean Voice”, który został storpedowany i również przybyła do Glasgow tego samego dnia, co *Sodawater* tj. 28 września 1942 roku. Agentami NKWD w operacji *Tonic* byli: żona Koltzowa Yelena Nikitina *alias* Kersti Poska, lat 33 i Henrik Gorelov *alias* Otto Ultoni, lat 37. Ekipa *Tonic* leciała do Niemiec aż cztery razy w nocy: 26/27 stycznia, 13/14, 16/17 i 17/18 lutego 1943 roku i za każdym razem wracała do Anglii z powodu niskich chmur.

Wreszcie w nocy z 24/25 lutego 1943 roku wykonanie operacji *Tonic* powierzono polskiej załodze 138. Dywizjonu. Stanowili ją: F/S Żabicki Tadeusz, F/S Twardawa Karol (piloci), F/L Gryglewicz Józef (nawigator), Sgt Roehr Stanisław (mechanik), Sgt Kimberley E.J., RAF (*despatcher*). Radiotelegrafisty i strzelca w tej załodze nie udało mi się odtworzyć.

F/S Żabicki wystartował z Tempsford *Halifaxem* DT-727 „K” o godz. 21.05. Zrzutu dokonano z wysokości 1900 stóp o godz. 00.40 w Badenii koło Fryburga. Dokładnie: 4 km na południe od Endingen i 5,75 km na południe od Riegel [N 48°06'25" E 07°43'00"]. Załoga lądowała w bazie o godz. 03.50 po sześciu godzinach i czterdziestu pięciu minutach lotu¹⁴.

W ramach współpracy SOE z NKWD nie tylko agenci NKWD przybywali do Anglii i byli zrzucaeni w Europie zachodniej, ale również agenci SOE byli zrzucaeni na teatrze operacyjnym sowieckim. Jednym z tych przykładów jest operacja *Blunderhead* do Estonii. Agentem SOE był F/L Ronald Seth *alias* Blunderhead Ronald, Felix Kopti, rocznik 1911, który przed wojną uczył angielskiego w Tallinnie. Na kursach SOE odbył próbne skoki i przeszkolono go w minerstwie i radiotelegrafii. Zadaniem jego było ustalić ilość materiałów pędnych, wysyłanych z rafinerii estońskich na front pod Leningradem, do Finlandii, Szwecji i Łotwy oraz sabotaż na linii kolejowej Tallinn-Leningrad.

13. HS4/344.

14. HS4/344; AIR 27/956.

Wykonanie operacji *Blunderhead* do Estonii powierzono polskiej załodze ze 138. Dywizjonu. Stanowili ją: F/S Sobkowiak Franciszek, W/O Zaremba Franciszek (piloci), F/O Wodzicki Mariusz (nawigator), P/O Pantkowski Franciszek (radiotelegrafista), Sgt Kozłowski Czesław (mechanik), F/S Madejski Tadeusz, F/S Żuk Wacław (strzelcy).

F/S Sobkowiak wystartował na tę operację z lotniska Linton on Ouse *Halifaxem* W-7773 „S” 24 października 1942 roku o godz. 17.55 i obrał kurs na Bornholm. Zrzutu dokonano o godz. 23.30 na polanę leśną na półwyspie Leesi koło rybackiego portu Hara, 50 km na wschód od Tallinna [N 59°36'25" E 25°30'00"]. F/L Seth wyskoczył bez wahania w miejscu, które przedtem uzgodnił z nawigatorem F/O Wodzickim. Zasobniki były nietypowe. Upodobnione do bali drzewa zawierały one materiały wybuchowe, radiostację, akumulatory i prądnice do ich ładowania, żywność, płachtę brezentową, śpiwór, namiot, przedmioty pierwszej potrzeby oraz pieniądze w walucie amerykańskiej, szwedzkiej, rosyjskiej i niemieckiej. Załoga *Halifaxy* lądowała w Tempsford o godz. 07.08 po trzynastu godzinach i trzynastu minutach lotu¹⁵.

Trudno jest ustalić, czy polskie załogi zrzucały także agentów NKWD do Jugosławii i Włoch, gdyż z końcem 1943 roku przeniesiono polską Eskadrę 1586 do basenu Morza Śródziemnego. Trudność polega na tym, że brytyjski dziennik Eskadry 1586 w Public Record Office, zawierający kryptonimy operacji, zaczyna się dopiero od października 1944 roku. Ostatnio odtajnionych dokumentów w Public Record Office na temat współpracy SOE z NKWD jest sporo. Można je znaleźć w 67 teczkach, a każda teczka zawiera około 200 dokumentów.

Montreal, kwiecień 1997 r.

Kajetan BIENIECKI

15. HS4/240; AIR 27/956.

Tadeusz WYRWA

STUDIUM POLSKI PODZIEMNEJ W LONDYNIE

W 50-lecie istnienia w Londynie Studium Polski Podziemnej (SPP) ukazała się pożyteczna książka o powstaniu i działalności tej instytucji, jedynej tego rodzaju z tak bogatą dokumentacją na temat historii Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej¹. Autorem książki jest Andrzej Suchcitz, kierownik Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego i połączonego z tym Instytutem Archiwum SPP. Treść książki podzielona jest na trzy części: Część I – Historia SPP. Część II – Pracownicy SPP. Część III – Przewodnik po zbiorach Archiwum SPP. W zakończeniu znajduje się obszerny, na 44 stronach, oznaczony szarym kolorem, streszczenie w języku angielskim, które ułatwi również cudzoziemcom korzystanie ze znajdujących się tam zbiorów.

Gromadzenie dokumentacji dotyczącej Państwa Podziemnego związane jest z powołaniem w drugiej połowie 1945 roku Komisji Historycznej Kampanii Wrześniowej i PSZ na Zachodzie pod przewodnictwem gen. Tadeusza Ku-

1. Andrzej Suchcitz, „Informator Studium Polski Podziemnej 1947-1997”. Studium Polski Podziemnej, Londyn 1997, str. 213 oraz liczne zdjęcia.

trzeby, z przewidzianym podziałem całości na trzy obszerne tomy. Tom trzeci miał obejmować historię Armii Krajowej i dla jej opracowania została utworzona, w ramach Komisji, o której wyżej, Podkomisja Historyczna AK z mianowanym jej przewodniczącym gen. Tadeuszem Pełczyńskim. Podkomisja przystąpiła do pracy i w 1950 roku ukazał się tom, liczący 972 strony, poświęcony AK². Suchcitz zwraca uwagę, że „szybkie tempo prac, zbiorowe autorstwo i brak fachowego archiwisty w składzie Podkomisji doprowadziło do rozbicia akt według miejsca ich powstania... Tego rozbicia nie dało się już odrobić, było ono tłumaczone (przez Podkomisję) koniecznością szybkiego wydania tomu PSZ o Armii Krajowej” (str. 12). Tłumaczenie niezbyt jednak przekonujące i wymaga dodatkowego komentarza, gdyż nie chodzi tutaj tylko o rozbicie akt.

Przed wszystkim dziwić musi anonimowy charakter tego tomu, gdzie we wstępie figuruje jedynie nazwisko gen. Pełczyńskiego, bez podania nazwisk członków Podkomisji, która opracowała ten tom. Dopiero dziesięć lat później ujawniono nazwiska tych, których wkład miał być największy³. Następnie trudno usprawiedliwić potrzebę pośpiechu i wydania tego tomu w pierwszej kolejności, zanim zostały przygotowane inne tomy, łatwiejsze do opracowania w porównaniu z historią Armii Krajowej, której podziemna działalność była niewspółmiernie bardziej skomplikowana, a wówczas jeszcze w dużym stopniu zakonspirowana. Sposób ujęcia wtedy historii AK zaciążył – i do dziś ciąży – na odtwarzaniu dziejów nie tylko AK, ale w ogóle Państwa Podziemnego. Tom ten jest dziełem sztabowców, głównie oficerów z Komendy AK, którzy po wojnie znaleźli się w Londynie i którzy opracowali tę historię tak jak ją widziano na najwyższym szczeblu dowodzenia, z zaniedbaniem działalności

2. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”. Tom III „Armia Krajowa”. Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn 1950, str. 972.

3. Zob. Marian Kukiel w: „Literatura polska na obczyźnie 1940-1960”. Praca zbiorowa pod red. Tymona Terleckiego, tom 1, Świdzki, Londyn 1964, str. 476.

w terenie, poza Warszawą. Warto też zaznaczyć, że w ogóle wśród akowców, którzy po wyzwoleniu z obozów jenieckich dostali się do Anglii, byli to w przytłaczającej większości uczestnicy Powstania Warszawskiego, zainteresowani głównie Powstaniem, co ujemnie odbiło się na historiografii Państwa Podziemnego, unikalnym i niedostatecznie znanym fenomenem w Europie z lat okupacji hitlerowskiej.

Jedną z dodatknych stron książki Suchcitz jest to, że jej Autor nie ogranicza się do wybranych faktów i pochwał osób, dzięki którym powstało SPP z unikalnymi dziś zbiorami, nie pomija milczeniem spraw niemiłych, źle widzianych w polskim Londynie, lecz pisze o wszystkim, o borykaniu się z trudnościami typowymi dla skupisk polskich na emigracji, stąd historia SPP, tak jak ją opracował Suchcitz, stanowi również konkretny wkład w poznanie dziejów uchodźstwa, co trzeba na wstępie podkreślić.

Inicjatywa utworzenia SPP wywodzi się z zebrania organizacyjnego, jakie gen. Tadeusz Bór-Komorowski zwołał na 22 października 1946 r. do londyńskiego Ogniska, na które zaprosił kilkunastu przywódców politycznych Polski Podziemnej i b. oficerów AK. W wyniku tego zebrania, cztery miesiące później, został podpisany 19 lutego 1947 r. formalny akt powołania do życia trustu pod nazwą Studium Polski Podziemnej. Ustanowiono dwa organy, którym SPP podlegało: Zarząd, składający się z prezesa i kilku członków. Kolejno prezesami byli: Tadeusz Pełczyński, Halina Czarnocka, Ewa Bukowska, Leonard Jastrzębski i pełniącą obecnie tę funkcję Jadwiga Olszewska. Drugim organem wówczas ustalonym była Rada SPP złożona z przewodniczącego, sekretarza i kilkunastu członków. Funkcję prezesa sprawowali: T. Bór-Komorowski, T. Pełczyński, Karol Ziemiński, Leopold Kielanowski, Antoni Pospieszalski, Konrad Bogacki i Władysław T. Jarosz – obecny prezes. Z uwagi na charakter SPP najbardziej odpowiedzialne stanowisko i wymagające najwięcej pracy było i jest stanowisko kierownika Archiwum. W latach 1947-1953 opiekę nad Archiwum sprawowali, bez formalnego używania tytułu kierownika: Kazimierz Iranek-Osmecki i Kazimierz Szternal. W 1953 roku kierownikiem została Halina Czarnocka

i funkcję tę pełniła do 1988 r. Po tej dacie stanowisko kierownika przejął Andrzej Suchcitz.

Wiele ciepłych i jakże zasłużonych słów poświęca Suchcitz Halinie Czarnockiej, bez której SPP nie byłoby tym czym jest obecnie. „Jeżeli można – pisze Autor – identyfikować osobę z instytucją, jest to klasyczny tego przykład” (str. 9). Następnie przypomina, że Czarnocka nigdy nie opuściła SPP i pozostała mu zawsze wierna w najtrudniejszych dla niej i dla tej placówki chwilach. Po uzyskaniu odszkodowania od Niemców (aresztowana w kwietniu 1943, była więziona w Oświęcimiu i Bergen-Belsen) rzekła się wszelkich poborów i przez przeszło dwadzieścia lat kontynuowała pracę kierowniczką Archiwum. W maju 1988, w wieku 88 lat, po 40-tu latach ofiarnej pracy, kiedy stan zdrowia nie pozwalał jej na dalsze prowadzenie Archiwum i po połączeniu SPP z Instytutem Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS), o czym będzie mowa, przeszła na emeryturę.

W 1948 r. kupiono dom przy 11 Leopold Road w Londynie, który jest siedzibą SPP do dnia dzisiejszego. Trzonym zbiorów archiwalnych były akta przejęte z Podkomisji Historycznej AK. W pierwszej kolejności przejęto większość dokumentów Oddziału VI (Specjalnego) Sztabu NW i dokumenty dotyczące Kraju z gabinetu NW, Oddziału II Sztabu NW i Wydziału Studiów Dowództwa PSZ. Spora jednak część akt z VI Oddziału Sztabu NW, pisze Suchcitz, została zatrzymana przez Stanisława Tatara i Mariana Utnika, którzy zabrali je ze sobą do Polski, jako „wiano”, wykorzystywane przez władze komunistyczne w procesach przeciwko akowcom (str. 28). W scalaniu akt AK, najdłużej trwał wyegzekwowanie archiwum krajowego z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Obecnie większość akt znajduje się w SPP, ale stale wpływają różne relacje i spuścizny po akowcach. Na początku lat osiemdziesiątych, przy konsultacyjnej pomocy Wacława Milewskiego, ówczesnego i również zasłużonego kierownika Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS), rozpoczęto mikrofilmowanie zbiorów, z nie wystarczającym dotychczas wynikiem, czego powodem jest brak odpowiednich środków.

Oprócz gromadzenia zbiorów i ich konserwacji⁴, SPP podjęło akcję wydawniczą. Najważniejszą publikacją jest monumentalne sześciotomowe dzieło pt. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”. Przystąpiono do przygotowania tego wydawnictwa dzięki zapewnionej pomocy finansowej przez Karolinę Lanckorońską z jej Fundacji z Brzezia Lanckorońskich. Utworzony został komitet redakcyjny w składzie: Halina Czarnocka, Józef Garliński, Kazimierz Iranek-Osmecki, Włodzimierz Otock i przewodniczący Tadeusz Pełczyński (później skład komitetu uległ niewielkiej zmianie). Całość rozplanowano na pięć tomów w układzie chronologicznym: od września 1939 do lipca 1945 r. Pierwszy tom z wówczas przewidzianych ukazał się w 1970 a piąty w 1981 r. Wszystkie te tomy łącznie liczą 2.774 strony i 1.588 wydrukowanych dokumentów. W 1989 r. został jeszcze opublikowany tom VI z podtytułem „Uzupełnienia”, w zmienionym składzie komitetu redakcyjnego (po dłuższej chorobie i śmierci gen. Pełczyńskiego w 1985 r.). Skład tego komitetu był następujący: przewodniczący Kazimierz Iranek-Osmecki a po jego zgonie w 1984 przewodnictwo objął Tadeusz Zawadzki-Zenczykowski, oraz członkowie: Zbigniew Bokiewicz, Halina Czarnocka, Leonard Jastrzębski, Wanda Czapska-Jordan, Jadwiga Olszewska i Andrzej Suchcitz. Tom ten zawiera uzupełnienia materiałów z poprzednich tomów oraz ważniejsze dokumenty, jakie w międzyczasie otrzymało SPP.

Benedyktyńska praca nad przygotowaniem tych tomów usunęła na drugi plan inwentaryzację zbiorów, do których zabrano się bardziej intensywnie od początku lat osiemdziesiątych. Stale jednak musiano pokonywać trudności finansowe, które uniemożliwiały zatrudnienie potrzebnych

4. Wojenną psychozę panującą w polskim Londynie, ale też i – w danym wypadku – troskliwość o archiwa znajdujące się w SPP, odzwierciedla anegdota, że po wybuchu w 1950 r. wojny koreańskiej zaczęto ewakuować zbiory na prowincję w obawie, że może nastąpić wybuch wojny pomiędzy ZSSR a Zachodem i Londyn mógłby być bombardowany. Pierwszy transport dwudziestu skrzyń wysłano 12 marca 1951. Dalszych transportów chyba nie było a wysłane akta powróciły do SPP w latach siedemdziesiątych (str. 31).

pracowników. Nie zatroszczono się o to, żeby z funduszy, jakimi dysponował rząd RP w Londynie i Stowarzyszenie Polskich Kombatantów zapewnić byt SPP. Nie dały też rezultatu apele SPP do szeregów b. żołnierzy AK. Suchcitz przypomina, że „SPP i jego cele nie znalazły należytego zrozumienia ani poparcia... Przez czterdzieści lat rzesze akowców nie potrafiły zapewnić podstawy bytu instytucji stojącej na straży ich historii...” (str. 55 i 57).

Znikomy był odzew akowców, znajdujących się w Londynie i w ogóle na Zachodzie, do czego w dużym stopniu przyczynił się brak konkretnej współpracy, niechętny przeważnie stosunek londyńskiego Zarządu Głównego Koła AK (ZG Koła AK) do SPP. Z myślą o ściślejszym powiązaniu SPP z Kołem, prezes tego ostatniego, od 1957 roku był zapraszany i uczestniczył w zebraniach Rady SPP, ale nic to właściwie nie zmieniło postaci rzeczy. W piśmie do ZG AK z 23.2.1987 r., SPP zarzucało Kołu, że „odmówiło prośbie SPP wysłania do członków Koła apelu o zbiórkę pieniędzy na wydanie VI tomu AK, oraz o przekazanie adresów członków Koła do których chciano zwrócić się bezpośrednio” (str. 64). Utworzona w latach osiemdziesiątych Fundacja AK nosiła się co prawda z zamiarem zapewnienia bytu SPP, ale obliczała, że będzie mogła pomóc, po rozwinięciu działalności, za 10-20 lat. Słusznie skomentował to Suchcitz, że ta potrzebna inicjatywa miała jedną wadę: „Była spóźniona o trzydzieści lat. Wtedy akowcy byli w sile wieku, zdolni do twórczości i było ich dużo. Można było stworzyć silne fundamenty takiej Fundacji dla zabezpieczenia naukowych placówek zajmujących się historią AK i stworzyć podwaliny wspólnej ogólniakowskiej organizacji/instytucji” (str. 60).

Przez szereg lat rozpatrywano różne możliwości, które mogłyby zapewnić przyszłość SPP. Rzucona została również myśl połączenia SPP z IPMS. Pierwsze rozmowy miały miejsce w latach 1981-1982, prowadzili je: Antoni Pospieszalski i Jan Kazimierski ze strony SPP i Ryszard Dembiński oraz Wacław Milewski z IPMS. Następnym krokiem, dopiero po trzech latach, było powołanie w sierpniu 1985 r. specjalnych komisji do rozmów. Zaledwie rozpoczęły się na ten temat debaty komisji obu tych instytucji, a już

przeciwnicy połączenia organizowali protesty. ZG Koła AK wystosował pismo do SPP z zarzutami, że nie jest konsultowane. Podobnie zareagowały niektóre koła terenowe, jak np. z Francji, Szwecji i Chicago, gdzie w apelu protestowano że: „Pobranie decyzji co do dalszych losów SPP, bez wysłuchania opinii Delegatów wszystkich organizacji akowskich w wolnym świecie i nawet w Kraju byłoby wielką niesprawiedliwością, pogwałceniem zasad demokratycznych i odbiłoby się niekorzystnie na dalszych losach naszego wspólnego skarbu archiwalnego”. W odpowiedzi ZG Koła AK i co odnosiło się również do protestów kół terenowych, SPP przypominało: „List kolegów wykazuje zainteresowania SPP, co należy powitać z zadowoleniem. Odczuwaliśmy w minionych latach dość wyraźną obojętność Koła AK na potrzeby i trudności, jakie Studium musiało pokonywać...” (str. 63-64).

Po podpisaniu, w maju 1987 przez prezesów SPP i IPMS, Ewę Bukowską i Ryszarda Dembińskiego, zasad połączenia obu placówek, znowu odezwały się głosy protestu. ZG Koła AK wystosował apel do SPP – mający być głosem „całej naszej akowskiej wspólnoty” – o wstrzymanie połączenia do czasu światowego zjazdu delegatów terenowych kół AK, co stanowiło nawiązanie do apeli wcześniejszych, odwołaniem całej sprawy bez żadnej perspektywy na jej konkretne załatwienie. Suchcitz komentuje to w swojej książce, że przez 40 lat istnienia SPP, oprócz garstki oddanych ludzi „rodzina’ akowska była wobec SPP obojętna... Studium borykało się z problemami finansowymi i personalnymi. Gdzie były te rzesze akowców gotowych do poświęcenia trochę czasu dla wsparcia prac Studium?”. Słusznie też pisał Jan Kazimierski, ówczesny sekretarz Rady SPP, w odpowiedzi na protestacyjny apel ZG Koła AK, że SPP było „spuścizną całej Polski Podziemnej, a zwłaszcza tych, którzy zginęli w walce o wolność i niepodległość Polski, w rezultacie całego narodu. Zabezpieczenie i wykorzystanie tego archiwum jest obowiązkiem moralnym nie tylko akowców, ale całej emigracji wojennej i późniejszej, tak jak całego polskiego udziału w 2-giej wojnie światowej” (str. 66-67).

Dnia 8 marca 1988 została podpisana definitywna umowa o połączeniu SPP i IPMS. W myśl tej umowy SPP

weszło w skład IPMS z zachowaniem dużej autonomii. Zgodnie z umową, SPP jest zarządzane przez własny zarząd (obecnie jego prezesem jest Jadwiga Olszewska) ze wspólnym dla obu instytucji kierownikiem Archiwum, którym jest A. Suchcitz. Połączenie SPP z IPMS „zostało przyjęte przez większość osób zainteresowanych i postronnych z dużym zainteresowaniem”, co Autor książki odnotował z satysfakcją, przytaczając kilka na ten temat wypowiedzi (str. 69-73).

Część druga zawiera starannie podane składy poszczególnych Zarządów i Rad SPP, następnie etatowych pracowników Archiwum, oraz pracowników honorowych w latach 1947-1997, których było 90. Najofiarniejszy wkład w prace SPP wniosły kobiety a nieżyjąca już Kazimiera Buliczowa była autorką wydanego w 1984 roku o małym zakresie, ale pierwszego informatora o SPP. Liczba osób, które korzystały z archiwum SPP wynosi około 1.700. Podane są niektóre nazwiska badaczy z Zachodu i z Kraju, którzy korzystali dotychczas ze znajdującej się tam dokumentacji.

Obszerna część trzecia poświęcona jest przewodnikowi po archiwum SPP, którego zbiory podzielone są na 23 zespoły. Trudno je tutaj dokładniej omówić, zabrałoby to zbyt dużo miejsca. Ograniczam się przeto do ich wyszczególnienia, a tam gdzie jest to możliwe do zaznaczenia tego, co najważniejsze.

I. *Akta Oddziału VI Sztabu NW*. Zespół ten liczący 530 jednostek jest podzielony na dziewięć podzespołów, posiada inwentarz teczek i częściowy rejestr dokumentów.

II. Zespół tzw. *Skrzyń* jest kontynuacją akt Oddziału VI. Nazwa tego zespołu pochodzi od kilkudziesięciu skrzyń, które w 1985 roku zostały rozpakowane i udostępnione badaczom. Każda skrzynia stanowi podzespół, kolejno podzielony na indywidualne teczki, których jest 1038.

III. *Dział Społeczny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych*. Zespół ten obejmujący 94 teczki stanowi główne źródło informacji o politycznym i cywilnym życiu Państwa Podziemnego.

IV. *Kolekcje*. Dział ten jest podzielony na kolekcje osobowe i kolekcje rzeczowe. Pierwszych jest 24 i głównie

pochodzą ze spuścizn po żołnierzach AK i politykach Państwa Podziemnego. Kolekcji rzeczowych o różnej tematyce związanej z Podziemiem jest 14.

V. *Teki personalne* – w 14 szufladach zawierają dane osobowe i ewidencję żołnierzy AK.

VI. *Komisje weryfikacyjne*. Dział ten obejmuje cztery podzespoły dokumentacji szeregu komisji z kilkudziesięciu lat powojennych.

VII. *Relacje* – podzielone na trzy działy: Kraj, Powstanie Warszawskie i zeznania uciekinierów z Polski po 1945.

VIII. *Opracowania*. Zespół ten zawiera 805 pozycji, opracowań przeważnie w formie maszynopisów na rozmaite tematy związane z Państwem Podziemnym i AK.

IX. *Broszury konspiracyjne, ulotki i obwieszczenia*. Znajdują się tam zwłaszcza oryginały 170 konspiracyjnych broszur.

X. *Prasa*. Zespół ten jest podzielony na dwa działy: prasę konspiracyjną i tzw. prasę gadzinową (wydawaną przez okupanta).

XI. *Fotografie*. Dział jest podzielony na kilka głównych tematów.

XII. *Filmy i video*. Oprócz filmu z Powstania, znajdują się tam różne kasety video i filmy dokumentalne.

XIII. *Afisze*. Jest to zbiór 18 obwieszczeń niemieckich o egzekucjach na Polakach oraz 22 plakaty polskie z okresu okupacji i z lat powojennych, upamiętniające obchody akowskie.

XIV. *Mapy i plany*. Podstawą tego zespołu jest zbiór map i planów używanych w Oddziale VI Sztabu NW.

XV. *Opracowania literackie*. Zbiór zawiera utwory, przeważnie w formie maszynopisu, powstałe podczas okupacji oraz po wojnie, opiewające przede wszystkim Państwo Podziemne.

XVI. *Pieśni i nuty*. Dział ten obejmuje nuty i słowa związane głównie z Polską Walczącą.

XVII. *Źródła*. W zespole tym znajduje się 114 teczek z alfabetycznym wyszczególnieniem zawartych w nich różnych materiałów.

XVIII. *Kartoteki*. Jest to zbiór kartotek, z których każda

obejmuje zamknięte w sobie zagadnienie tematyczne.

XIX. *Mikrofilmy*. Dział ten zawiera rolki negatywów dokumentów otrzymanych z różnych źródeł i z różnych odcinków walki podziemnej.

XX. *Płyty dźwiękowe*. Zespół podzielony jest na pięć pododdziałów, obejmujących transmisje do i z Kraju, przemówienia polityków i żołnierzy, reportaże, zbiór pieśni żołnierskich oraz różne nagrania okolicznościowe.

XXI. *Taśmy magnetofonowe*. Jest to mały zbiór z różnych uroczystości akowskich.

XXI. *Muzealia*. W zespole tym znajduje się niewielki zbiór eksponatów dotyczących AK.

XXII. *Biblioteka*. Księgozbiór SPP liczy około 5.500 tomów.

Lista samych tylko nazw zespołów archiwalnych pozwala zdać sobie sprawę z bogactwa, jakie reprezentują dla najnowszej historii Polski zbiory nagromadzone w SPP. Książka Suchcitz, bardzo na czasie, spełnia dwa podstawowe cele: *Primo* – przypomina, o czym pisze jej Autor, że „SPP przetrwało ‚wbrew prognozom, ‚wbrew obojętności własnego społeczeństwa” (str. 58), stanowiąc przykład, co można było osiągnąć, ale czego w różnych innych wypadkach nie osiągnięto. Nie bez znaczenia jest i to, że są to słowa historyka z pokolenia urodzonego i wychowanego za granicą, a więc nie obciążonego uprzedzeniami, jakie rozpanoszyły się w życiu emigracji. *Secundo* – pomocna będzie bardzo do odtwarzania dziejów nie tylko konspiracji, powstańczo-partyzanckich walk i podziemnej państwowości, lecz w ogóle historiografii Polski z ostatnich dziesięcioleci, która nadal tkwi, jeżeli już nie w całkowitym fałszu, to często w półprawdach i przemilczeniach, jakie niejednokrotnie są gorsze od pospolitych kłamstw.

Tadeusz WYRWA

Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

„ZŁAMANA STRZAŁA”

ROZMÓWA Z JANUSZEM ŻURAKOWSKIM
LEGENDARNYM „ŻURĄ”, PILOTEM BITWY O
ANGLIĘ I ARROW

ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM: – *Urodził się Pan na Kresach w Ryzawce 12 września 1914 r. W wieku siedmiu lat przeniósł się Pan z rodziną do Polski. Zamieszkaliście w Garwolinie pod Warszawą, gdzie ojciec Pana otrzymał posadę lekarza powiatowego. Kolejny etap to Lublin, gdzie skończył Pan gimnazjum. Czy Pan to pamięta?*

JANUSZ ŻURAKOWSKI: – Lublin stał się miastem mojej młodości. Tam dorastałem, tam zrodziły się, a potem urzeczywistniły moje marzenia o lataniu. Wraz ze starszym bratem Bronkiem byłem uczniem państwowego gimnazjum im. Staszica, ale tak jak w Garwolinie najczęściej interesowały mnie sporty i majsterkowanie, a nauka była na szarym końcu.

A.Z.-B.: – *Pana starszy brat Bronisław był entuzjastą lotnictwa, czy swoje zainteresowania zawdzięcza Pan bratu?*

J.Ż.: – Lotnictwem zainteresowałem się rzeczywiście pod

wpływem brata. W naszym gimnazjum powstała modelarnia lotnicza i Broniek każdą wolną chwilę poświęcał budowie latających modeli samolotów. Wkrótce i ja dołączyłem do niego. Potem starsi koledzy zabrali się do budowy szybowca. Nie wytrzymał on niestety pierwszej próby, gdyż ze względów oszczędnościowych był pokryty grubym papierem pakunkowym.

Bronisław ukończył przed wojną Politechnikę Warszawską – Wydział Konstrukcji Samolotów i zaczął pracować w Doświadczalnych Zakładach Lotniczych, które produkowały samoloty R.W.D. Ze względu na krótki wzrok nie mógł być pilotem samolotowym, ale uprawiał sport szybowcowy. Wraz z rodziną przeżył wojnę i powstanie w Warszawie. Po wojnie był jednym z trzech konstruktorów pierwszego w Polsce śmigłowca i wykładał również na Politechnice Warszawskiej. Obecnie na emeryturze mieszka w Laskach pod Warszawą.

A.Z.-B.: – Ponoć pierwszy Pana lot samolotem w 1929 roku był nagrodą za dobre wyniki w ogólnokrajowych zawodach... latać nauczył się Pan w szkole szybowcowej Polichno-Pińczów. Po maturze w 1934 roku zgłosił się Pan na ochotnika do wojska i mając prawo wyboru broni wybrał oczywiście Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa. Jak się to dalej potoczyło?

J.Ż.: – Był to konkurs modeli latających nie ogólnokrajowy, ale wojewódzki, zorganizowany przez L.O.P.P. (Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej). Otrzymałem wówczas pierwszą nagrodę, którą był lot samolotem LKL (Lubelski Klub Lotniczy). Lot trwał tylko kilkanaście minut. Gdy podniecony oglądałem panoramę miasta i okolicy, nie zdawałem sobie sprawy, że wkrótce powietrze stanie się bliskim mi żywiołem.

Od tego czasu lotnictwo pasjonowało mnie coraz bardziej, jednak rodzice nie podzielali moich zamiarów. I tak, gdy przed wakacjami 1933 roku starałem się dostać na lotnicze kursy Przysposobienia Wojskowego, gdzie uczono latać na prawdziwych samolotach, spotkał mnie wielki zawód: komisja lekarska w Centrum Badań Lotniczych w Warszawie odrzuciła mnie z powodu rzekomej gruźlicy obojczyka. Za

ten „kawał” musiałem niestety dziękować ojcu, który znał dobrze naczelnego lekarza. Zawiedziony, zapisałem się na kursy szybowców i jeszcze tego roku spędziłem część wakacji w Szkole Szybowcowej (Pińczów-Polichno w Kieleckiem). Opanowałem wówczas kategorię A. i B. i było to początkiem mojej pasji szybowcowej. W 1934 roku zdałem maturę, co przyniosło ulgę nie tylko mnie, ale jak sądzę i moim szlachetnym profesorom. Marzyła mi się Politechnika, jednakże Bronek już studiował w Warszawie, a siostry też planowały studia w stolicy i zdawałem sobie sprawę, że utrzymanie czworga młodzieży w Warszawie byłoby dla ojca bardzo trudne. Zgłosiłem się więc na ochotnika do Szkoły Podchorążych Piechoty w Tomaszowie Lubelskim, w której trzymiesięczne przeszkolenie było wymagane przed podchorążówką w Dęblinie. Czas wolny przed terminem zgłoszenia się do wojska wypełniłem udziałem w następnym kursie szybowcowym, zdobywając wyższą kategorię „C”.

Rok w Podchorążówce Rezerwy w Dęblinie był ważnym etapem w moim życiu. Zdobyłem sporo teoretycznej wiedzy lotniczej i nauczyłem się latać. Nikt już teraz nie mógł powstrzymać mnie od obranej drogi. Zgłosiłem się do Lotniczej Podchorążówki Zawodowej i zostałem przyjęty na drugi rok. Szkołę Podchorążych w Dęblinie, którą często zwano „Szkolą Orląt”, ukończyłem w 1937 roku. Była to dziesiąta promocja naszej szkoły i obchodzono ją niezwykle uroczystie. Jako „świeżo upieczony” podporucznik zostałem przydzielony do 6-go Pułku Lotniczego we Lwowie, 161-ej eskadry myśliwskiej. Już wówczas, latając na samolocie PZL XI, interesowałem się wyczynami samolotu i robiłem różne próby i doświadczenia.

Urlop w roku 1938 spędziłem latając na szybowcach w Szkole Szybowcowej w Bezmiechowej. Podczas nocnego lotu na szybowcu „Delfin” miałem wypadek, kiedy szybowiec zawadził na zboczu o świerk, a ja rąbnąłem głową w pień. Jak dowlokłem się wówczas nieprzytomny na lotnisko to cała długa historia, bo straciłem pamięć na cały tydzień.

A.Z.-B.: – *Jakie były Pana losy w początkowym okresie wojny?*

J.Ż.: – Na sześć miesięcy przed wybuchem wojny zostałem przeniesiony jako instruktor specjalizacji myśliwskiej do Centrum Wyszczolenia w Dęblinie na pomocnicze lotnisko w Ułężu. Tam aż do 1 września szkoliliśmy w przyspieszonym tempie młodszych pilotów. Mimo pośpiechu poziom wyszkolenia był bardzo dobry.

Wybuch wojny. Parę lotów na PZL 7, naszych szkolnych maszynach uzbrojonych w przestarzałe karabiny maszynowe, pościg za formacją Dornierów, które niestety okazywały się znacznie szybsze od mojego szkoleniowego samolotu, uszkodzenie jednego samolotu wroga i ten głuchy żal, że w takich chwilach nie jestem w jednostce bojowej. To tylko migawkowe wspomnienia, ale już wówczas krystalizowała się myśl, że w walce dobry sprzęt jest decydujący, może ważniejszy niż bojowy duch i wyszkolenie.

Po klęsce i ewakuacji wraz ze znaczną częścią personelu lotniczego znalazłem się w Rumunii. Istniał plan przeszkolenia w Rumunii personelu lotniczego na angielskich samolotach typu *Hurricane* i *Fairey Battle*, które Polska drogą wodną i *via* Rumunia miała właśnie otrzymać.

Optymistyczne to były nadzieje. Już wkrótce zostaliśmy przez Rumunów pod naciskiem Niemiec internowani, jednak nieoficjalnie Rumuni sprzyjali nam i przymykali oczy, gdy obozy internowania powoli wyludniały się, a z Portów Morza Czarnego raz po raz odpływały transporty polskiego personelu lotniczego w drodze na Zachód (w cywilnych ubraniach i z cywilnymi dokumentami). W ramach tej akcji, mając fikcyjny zawód „leśnika” znalazłem się w październiku 1939 roku na statku, który odpłynął z rumuńskiego portu Balcik. Był to statek służący zazwyczaj do przewożenia trzody chlewnej. Płynęła nas razem niemała grupa: około 200 wojskowych personelu latającego i 600 osób obsługi technicznej.

Tak dostaliśmy się do Bejrutu, który był wówczas pod rządami francuskimi. Francuzi przyjęli nas orkiestrą wojskową i już następnego dnia odpłynęliśmy na statku „Ville de Strasbourg” do Marsylii.

A.Z.-B.: – Z końcem stycznia 1940 roku znalazł się Pan

w Anglii, gdzie zaczął Pan od nauki języka i poznawania samolotów RAF-u. Potem była Bitwa o Anglię. Proszę przybliżyć ten okres.

J.Ż.: – We Francji oczekiwanie na akcję w przejściowych obozach wojskowych dłużyło się. W początkach zimy została utworzona specjalna komisja polsko-brytyjsko-francuska, która miała zdecydować o naszym losie. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że część naszego personelu lotniczego ma być wysłana do Anglii, a część pozostanie we Francji.

I tak z ponad 8 tysięcy tego personelu, który znalazł się po klęsce wrześniowej we Francji, około 2000 członków obsługi technicznej i 300 pilotów wysłano w grudniu 1939 roku i w styczniu 1940 roku do Anglii. Znalazłem się w tej grupie.

W tym czasie Anglicy nie zamierzali użyć nas do walki w obronie Wielkiej Brytanii. Nie mieli jeszcze zaufania do polskich myśliwców. Myślano raczej o sformowaniu kilku polskich dywizjonów bombowych.

Początkowo przeszliśmy przeszkolenie w ośrodku szkoleniowym w Eastchurch, 40 mil na wschód od Londynu. Czuliśmy się trochę jak rekruci, jednak sytuację łagodziła pewna kurtuazja, z jaką traktowali nas Anglicy. W lutym przybył do nas na inspekcję generał Józef Zając – ówczesny naczelny Dowódca Polskiego Lotnictwa. Zapamiętałem ten fakt, gdyż wówczas, po raz pierwszy w dziejach lotnictwa brytyjskiego, wciągnięto na maszt polską flagę i odtąd ta flaga powiewająca obok flagi brytyjskiej będzie nam towarzyszyć we wszystkich bazach w Anglii, gdzie stacjonowały polskie dywizjony lotnicze.

Dopiero po klęsce we Francji, gdzie lotnictwo angielskie poniosło ogromne straty, Anglicy zrozumieli, że polscy piloci są na wagę złota. Tym bardziej, że były już wiadomości, że we Francji nasi lotnicy wykazali nie tylko dobre wyszkolenie, ale i zaciętość w walce z wrogiem.

W związku z tą zmianą, po przyspieszonym przeszkoleniu na *Spitfire* przydzielono mnie wraz z inżynierem Zbyszkim Oleńskim do 234-go angielskiego Dywizjonu Myśliwskiego, który wkrótce wziął udział w Bitwie o Wielką Brytanię.

Dzień 8 sierpnia uważa się za początek Bitwy o Wielką Brytanię. Nasz Dywizjon 234 stacjonujący wówczas na lotnisku w Middle Wallop w zaciętych walkach powietrznych stawiał czoło nadlatującym chmarom samolotów niemieckich.

W tym okresie udało mi się zestrzelić trzy samoloty niemieckie, ale i sam musiałem się ratować na spadochronie, gdy pocisk unieruchomił stery mojego samolotu. Początkowo nie mogłem otworzyć spadochronu, bo mój własny samolot kręcił się niebezpiecznie nad moją głową. Na szczęście ja spadałem szybciej. Dopiero gdy zobaczyłem na polu człowieka z bronią, otworzyłem spadochron i w chwilę potem mój *Spitfire* „rąbnął” w ziemię, a ja wylądowałem obok niego w odległości nie więcej niż 50 stóp. Zacząłem odpinać pasy, gdy podszedł do mnie jegomość z opaską *Home Guard* (Straż Cywilna) i z dubeltówką w ręku. Miał przerażoną minę i widać było, że przypuszczał, iż jestem Niemcem. Bałem się, że mój angielski mógłby potwierdzić jego podejrzenia, więc wyciągnąłem i pokazałem mu legitymację *Royal Air Force*. Biedakowi ręce tak się trzęsły, że nie był w stanie sięgnąć po mój dokument. Na szczęście podjechał terenowym samochodem porucznik armii i wybawił mnie z tej sytuacji. Dowiedziałem się, że znalazłem się na wyspie Wright, gdzie tego samego dnia już 7 samolotów angielskich i 7 niemieckich zostało zestrzelonych.

Mijały dalsze dni na intensywnych lotach. Rzadkie chwile wytchnienia spędzałem zwykle w towarzystwie Zbyszka Oleńskiego i dzieląc się wrażeniami z lotów omawialiśmy wady i zalety naszego samolotu. Nawet w tym gorącym okresie te sprawy interesowały nas bardzo i ułożyliśmy całą listę poprawek, które mogłyby ulepszyć naszego pocziwego *Spitfire’a*.

W tych dniach, nasz polski Dywizjon 303 okrył się bojową chwałą, chociaż wszedł do walk późno, dopiero pod koniec sierpnia. Również i nasz drugi polski dywizjon myśliwski 302 był w pełnej akcji. Dla mojego Dywizjonu 234 nadeszły tragiczne dni. Zginął nasz dowódca i jego zastępca; cały dywizjon został zdziesiątkowany. Została nas mała garstka pilotów, w tym Oleński i ja.

A.Z.-B.: – *Jakie były Pana dalsze wojenne losy?*

J.Ż.: – Od klęski we Francji powstawały w Anglii polskie dywizjony lotnicze składające się z pilotów, którzy przebyli kampanię francuską. Jednocześnie włączano do tych dywizjonów polskich pilotów, będących dotychczas w dywizjonach angielskich. Dopiero w grudniu 1941 roku znalazłem się w polskim dywizjonie myśliwskim 315 („Dęblińskim”), gdzie pełniłem funkcję oficera strzeleckiego i po tak długim okresie w angielskim środowisku, z radością wchłaniałem atmosferę polskiej jednostki.

W kwietniu 1942 roku zostałem wyznaczony dowódcą eskadry w 306 polskim dywizjonie myśliwskim, w czerwcu tego samego roku otrzymałem awans na dowódcę 316 Dywizjonu („Warszawskiego”), a w lipcu 1943 roku objąłem funkcję Zastępcy Dowódcy Skrzydła w Northolt i dowodziłem Skrzydłem w 40 lotach bojowych. Była to już inna faza wojny. Lotnictwo angielskie i amerykańskie górowało nad lotnictwem niemieckim. Naszą zasadniczą funkcją w tym okresie było osłanianie wypraw bombowców. Były to przeważnie amerykańskie tak zwane „Latające Fortece”. Mieliśmy już wtedy taką przewagę w powietrzu, że niemieckie lotnictwo myśliwskie zaangażowane też na froncie wschodnim, nie było dla nas poważnym przeciwnikiem.

A.Z.-B.: – *Jak Pan został pilotem doświadczalnym?*

J.Ż.: – Pod koniec 1943 roku otrzymałem przydział do Dowództwa Lotnictwa Myśliwskiego. Pewnego dnia dowiedziałem się, że jest jedno miejsce dla Polaka w Empire Test Pilot School (Szkoła Pilotów Doświadczalnych). Zgłosiłem się natychmiast, chociaż mój przełożony, płk Bajan, nie był zachwycony tym pomysłem, gdyż chciał ze mnie zrobić oficera sztabowego. Uparłem się jednak i poszedłem do Szkoły Pilotów Doświadczalnych i nigdy tej decyzji nie żałowałem. Po roku zostałem pilotem doświadczalnym z przydziałem do Aircraft and Armament Experimental Establishment (Lotniczy Ośrodek Eksperymentalny) w Boscombe Dawn, w południowej Anglii. Jednostka ta miała

za zadanie ocenę przydatności tych wszystkich cech samolotu, jakie decydują o wprowadzeniu go do produkcji i do jednostek operacyjnych.

W Boscombe Down zastałem już innych pilotów i inżynierów Polaków. W roku 1944 było jasne, że wygranie wojny jest bliskie i nasze polskie władze liczyły się z potrzebą przygotowania personelu do odbudowy po wojnie lotnictwa w Polsce. Pamiętam, że kiedyś na pokazie nowych samolotów demonstrowano 4 samoloty, w tym 3 przez Polaków (inż. Majcherczyk, inż. Kulczycki i ja) i pewien Amerykanin zapytał złośliwie, czy tutaj tylko Polacy umieją latać?

W tym czasie dostaliśmy do prób pierwsze odrzutowe samoloty brytyjskie: *Vampire* i *Meteor*, a z nimi pojawiło się coraz więcej problemów mało wówczas znanych, związanych z tak zwaną „barierą dźwięku”.

Tymczasem wojna dobiegała końca, ale dla nas Polaków, smutny był dzień zwycięstwa. Marzenia, że wrócimy do Polski aby oddać na usługi Kraju zdobytą wiedzę i doświadczenie nie ziściły się. Ci, którzy w stalinowskim okresie zdecydowali się na powrót, zostali przez władze źle przyjęci, a wielu z nich znalazło się w więzieniach. Trzeba było inaczej pomyśleć o przyszłości. Na razie dalej latałem w Boscombe Down i w ciągu dwu następnych lat badałem w locie ponad 40 typów samolotów.

A.Z.-B.: – Został Pan potem zatrudniony jako pilot doświadczalny przez brytyjską firmę Gloster i wówczas porzucił Pan wojsko. Co było tego przyczyną?

J.Ż.: – Tak, to był koniec mojej kariery wojskowej. Po zakończeniu wojny i z decyzją pozostania poza granicami kraju było to logicznym rozwiązaniem. Opuszczałem wojsko z polskim stopniem majora, angielskim *Squadron Leader*’a. W czasie swej służby byłem odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, trzykrotnie Krzyżem Walecznych i dwukrotnie odznaczeniem angielskim za wybitną służbę.

Latem 1947 roku firma Gloster Aircraft zaproponowała mi pracę pilota eksperymentalnego. Przyjąłem i tak zaczęło się moje życie w cywilu. Przez kilka lat robiłem próby z

brytyjskim samolotem odrzutowym *Meteor*, w którym trzeba było wprowadzić szereg modyfikacji. Potem brałem udział w próbach niezbyt udanego samolotu *Javelin*.

A.Z.-B.: – W maju 1948 roku w Paryżu odbył się Pana ślub z przybyłą z Polski Anną Danielską. Zamieszkaliście Państwo w Anglii, gdzie w 1951 roku w czasie pokazów w Farnborough zademonstrował Pan pierwszą nową figurę akrobatyczną od dwudziestu lat, zwaną cartwheel. *Fran-cuski Aviation Magazine* zaproponował dla tej „piekielnej” figury nazwę Zurabatic. I tak zostało: Zurabatic Cartwheel (pisał o tym także *Time* z 3 grudnia 1951 – zamieszczając także rysunki skomplikowanej figury). Kolejno jednak następuje przeniesienie za ocean. W 1952 roku został Pan zaangażowany jako główny pilot eksperymentalny przez firmę AVRO w Toronto. Następuje okres kanadyjski w Pana życiu.

J.Ż.: – Spróbuję kolejno uzupełnić to ostatnie pytanie. Z Anną znaleźliśmy się od wielu lat przed wybuchem wojny. Nasze rodziny przyjaźniły się, a ojcowie, obaj lekarze, pracowali razem. Starałem się sprowadzić ją do Anglii zaraz po wojnie, ale bez skutku. Dopiero w 1948 roku udało się jej wyjechać z Polski.

W ostatnim okresie stosunki pracy w firmie Gloster nie układały się zbyt pomyślnie, a to z powodu złych wyników w próbach samolotu *Javelin*, w którym firma pokładała wielkie nadzieje. Gdy więc zarysowała się możliwość pracy nad rozwojem samolotów w Kanadzie, skorzystałem z tej okazji i wraz z rodziną (żona i dwóch synów, którzy urodzili się w Anglii) wyjechałem do Kanady.

Z moich osiągnięć angielskich mogę jeszcze wspomnieć, że w 1950 roku pobiłem międzynarodowy rekord szybkości lotu na trasie Londyn-Kopenhaga-Londyn (na samolocie *Meteor*).

A.Z.-B.: – Czym była firma AVRO? Jakie było Pana w niej zadanie?

J.Ż.: – Firma AVRO była nowoczesną i dobrze zorganizowaną jednostką przemysłu lotniczego w Kanadzie. Gdy zacząłem tam pracę, samolot pościgowy CF 100 Model 1 latał już od dwóch lat, ale trwały próby ulepszania następnych modeli i pracy było moc.

W grudniu 1952 roku udało mi się na samolocie CF100 przekroczyć barierę dźwięku. Była to pewna sensacja, gdyż bariera dźwięku po raz pierwszy została przekroczona w Kanadzie, a przy tym samolot CF100, według obliczeń fachowców miał nieco niższy zakres szybkości. Teraz, po 44 latach, dla upamiętnienia tego lotu, mennica kanadyjska wydała dwudziestodolarową monetę, na której wraz z samolotem CF100, widnieje moja podobizna.

W czasie gdy trwały próby z następnymi prototypami samolotu CF100, biuro konstrukcyjne naszej firmy zaczęło pracować nad nowym samolotem pościgowym, nazwanym potem *Arrow*, który miał być dwukrotnie szybszy od szybkości głosu. Ten wzrost szybkości stwarzał cały szereg nowych problemów, zwłaszcza aerodynamicznych i związanych z nimi problemów kontroli samolotu.

Wraz z nowym samolotem zapowiadało się w firmie dużo pracy, więc firma poszukiwała jeszcze jednego pilota i udało jej się wyciągnąć z Royal Air Force kapitana Władysława Potockiego, który również ukończył szkołę pilotów doświadczalnych i pracował w Anglii w Royal Aircraft Establishment. Jego zdolności techniczne przydały się bardzo i zabraliśmy się do poznawania nowych problemów samolotu, którego budowa już postępowała.

Przy okazji wspomnę, że w wytwórni AVRO pracował liczny zespół inżynierów i techników Polaków, dobrych specjalistów, wyszkolonych jeszcze przed wojną w Polsce, z którymi podczas moich prób często współpracowałem.

Pierwszy lot na samolocie *Arrow* wykonałem w marcu 1958 roku. Technicznie i pilotażowo bez specjalnych trudności, ale emocjonalnie ten lot był dla mnie wyczerpujący: samolot kosztowny, ubezpieczony na 9 milionów dolarów (1958 rok!), a 90 procent samolotu to elektronika i hydraulika, i nawet mały defekt mógł spowodować warunki, gdzie nie mógłbym uniknąć wypadku (i powiedzą: błąd

pilota!). A jednocześnie wiedziałem, że od sukcesu tego samolotu zależy przyszłość firmy, praca kilkunastu tysięcy ludzi.

Zacząłem dalsze intensywne próby. W siódmym locie przy wznoszeniu się przekroczyłem szybkość 1000 mph. W sierpniu startowałem na drugim prototypie, we wrześniu w pierwszym locie na trzecim prototypie przekroczyłem szybkość głosu. Trzej inni piloci (w tym mój zastępca Władek Potocki) też już latali na *Arrow* i pomagali w doświadczeniach, a pomiary wyczynów wykazywały, że wymagania Dowództwa Lotnictwa będą osiągnięte bez trudu.

A dla mnie przyszedł czas aby wycofać się z lotnictwa doświadczalnego. Normalnie granica wieku dla pilota doświadczalnego dużych szybkości wynosiła 40 lat. Ja miałem już ponad 44 lata, ale latałem, bo chciałem skończyć podstawowe próby samolotu *Arrow*.

Objąłem stanowisko koordynatora między sekcją lotów doświadczalnych, a biurem konstrukcyjnym, a Władek Potocki objął funkcję głównego pilota doświadczalnego i wkrótce zrobił lot na czwartym i piątym prototypie.

A.Z.-B.: – W 1959 roku ówczesny premier Kanady Diefenbaker podjął decyzję zaprzestania produkcji samolotów Arrow. Pracę straciło ponad 14 tysięcy ludzi. Po latach decyzja ta jest wciąż wielką raną w świadomości Kanadyjczyków, na ten temat powstało co najmniej 6 książek. Uważa się, że zmarnowano samoloty, zmarnowano ogromny potencjał.

J.Ż.: – Czekaliśmy właśnie na pierwszy lot samolotu N°6, który miał silniki Iroquis konstrukcji kanadyjskiej, lżejsze i mocniejsze niż amerykańskie silniki, użyte w pierwszych 5-ciu prototypach, kiedy 19 lutego 1959 roku zatrzymano pracę i dyrektor fabryki podał do wiadomości pracowników, że decyzją rządu projekt samolotu Arrow został skasowany. Był to grom z jasnego nieba! W fabryce płatowcowej AVRO i silnikowej Orenda kilkanaście tysięcy ludzi znalazło się bez pracy. Już następnego dnia w hotelu York w Toronto najrozmaitsze firmy angażowały pracowników do pracy w przemyśle amerykańskim.

Samodzielny przemysł lotniczy Kanady otrzymał ciężki cios, a następnym szokiem w kwietniu tego samego roku było zarządzenie całkowitego zniszczenia wszystkich istniejących już samolotów Arrow, wszystkich części będących w produkcji, a także wszystkich planów i fotografii.

A.Z.-B.: – *Obwinia się Stany Zjednoczone, które podobno zażądały zamknięcia fabryki i zaprzestania produkcji odrzutowców. Taka jest opinia powszechna. Jaka jest Pana opinia na ten temat? W jednym z wywiadów w kanadyjskiej stacji TV CBC powiedział Pan, że nie należy zwać winy tylko na Jankesów.*

J.Ż.: – Do dziś dnia istnieje żywe zainteresowanie okolicznościami smutnego końca tego doskonale zapowiadającego się samolotu i wciąż pojawiają się pytania, jak do tego dojść mogło? – Moim zdaniem, złożyło się na to wiele czynników, i oczywiście pewien nacisk ze strony Stanów Zjednoczonych mógł mieć znaczenie. Ale nie jestem pewien czy był to czynnik decydujący. Wybitny polityk, za jakiego uważany jest ówczesny premier Kanady Diefenbaker, nie wykazał zrozumienia dla tak ważnego faktu, że doskonale zorganizowana jednostka przemysłowa i jej udany produkt są wartością narodową o ogromnym znaczeniu. Istniała też silna rywalizacja pomiędzy Dowództwem Armii i Dowództwem Lotnictwa o przydział subsydiów rządów, a także szereg innych czynników, nie wyłączając animozji osobistych.

A.Z.-B.: – *Cała sprawa zamknięcia AVRO powróciła w styczniu 1997 roku, kiedy w telewizji nadano dwuodcinkowy film dokumentalny na ten temat.*

J.Ż.: – Niestety, film wyprodukowany i wyświetlony w styczniu 1997 roku przez kanadyjską telewizję CBC nie może być nazwany filmem dokumentalnym. Za wiele w nim fantazji, akcja toczy się po części wokół fikcyjnych osób, film roi się też od błędów technicznych, których łatwo można było uniknąć. Wydaje się również, że producenci filmu nie mieli prawa, aby przy użyciu prawdziwych nazwisk zmieniać role

występujących osób. To dotyczy nie tylko mojej osoby, ale i wielu innych pracowników AVRO. Mimo to, film wzbudził zainteresowanie i dyskusje (nawet w internecie) i w pozytywny sposób ożywił pamięć tego osiągnięcia, jakim było dla Kanady zbudowanie tak nowoczesnego samolotu, który nadal w porównaniu z obecnie produkowanymi samolotami tej samej klasy dorównuje im wyczynowo.

A.Z.-B.: – *W 1973 roku został Pan wybrany członkiem Canada's Aviation Hall of Fame – jest to najwyższe uznanie jakie można otrzymać za wkład w rozwój kanadyjskiego lotnictwa.*

J.Ż.: – Najpierw w 1958 roku otrzymałem kanadyjskie *McKee Trophy* i kolejno potem zostałem przyjęty do *Canada's Aviation Hall of Fame*.

A.Z.-B.: – *Kolejny Państwa okres to słynna farma Kartuzy Lodge w Barrys Bay nad jeziorem Kamaniskeg. Jak tu się żyje?*

J.Ż.: – Tak się złożyło, że koniec *Arrow* stał się dla mnie końcem mojej pracy w przemyśle lotniczym. Miałem możliwości kontynuowania tej pracy w Stanach Zjednoczonych, ale z tego nie skorzystałem.

Byliśmy oboje z żoną bardzo przywiązani do tak zwanych „Kanadyjskich Kaszub”, gdzie mieliśmy swój letni domek. Kupiłem też poprzednio kawałek ziemi nad jeziorem Kamaniskeg koło Barry's Bay. Nie była to farma, ale miejsce gdzie w zimie pracowali drwale przewożąc po zamrożonym jeziorze drzewo do tartaku. Zakątek ten miał dla nas wyjątkowy urok: rozległe łąki u stóp wzgórz i piaszczysty brzeg jeziora. Tam postanowiliśmy założyć polski ośrodek letniskowy *Kartuzy Lodge* i tam od 36 lat mieszkamy. Wraz z paru farmerami przeprowadziłem do tych terenów drogę, postawiłem budynki. Dziś już trzecie pokolenie przyjeżdża do nas i powoli nasz zakątek „obrócił tradycją”. Czas leci. Jesteśmy już parą starych ludzi, ale cieszymy się obecnością młodego pokolenia, nie tylko swoich wnuków, ale i cudzych.

Chociaż od tak dawna mieszkamy w kanadyjskim buszu, to jednak nie straciłem kontaktu ze światem lotniczym. Z dawnymi kolegami z lotnictwa polskiego spotykam się od czasu do czasu z okazji różnych uroczystości, miałem kilkakrotnie odczyty dla organizacji polskich, a także dla Canadian Aviation Historical Society. W 1990 roku spotkałem się w Warszawie z grupą polskich pilotów doświadczalnych i otrzymałem od ich stowarzyszenia odznakę pilota doświadczalnego nr 2.

Niestety, większość wspaniałych ludzi, z którymi kiedyś współpracowałem już nie żyje, ale mam nadzieję, że następne pokolenia lotnicze też zapiszą swoją kartę w dziejach dalszego rozwoju lotnictwa.

Rozmawiała: *Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM*

Ryszarda SOCHA

WSZYSTKIE TECZKI „BOLKA”

Historia dokumentów opatrzonych kryptonimem „Bolek” daje przedsmak tego, z czym w zwielokrotnionej formie prawdopodobnie zetkniemy się podczas lustracji. Wyzwała nieufność w stosunku do wszystkich źródeł informacji.

Najpierw w obiegu publicznym pojawiły się kserokopie donosów tajnego współpracownika „Bolka”, dużo wcześniej nim zrodził się pierwszy pomysł tropienia donosicieli, dziesięć lat przed akcją Antoniego Macierewicza. W lutym 1982 Anna Walentynowicz przebywała w kobiecym obozie dla internowanych w Gołdapi. Zrelacjonowała całe zdarzenie w mało rozpowszechnionej książce „Cień przyszłości”, przygotowanej wspólnie z Anną Baszanowską. Pewnego dnia została wywołana na widzenie – „Rodzina przyjechała”. Tymczasem stał przed nią całkiem obcy mężczyzna. Powitał czule: „Jak się masz cioteczko?” Przedstawił się jako krewniak z Poznania, gdzie nie ma żadnych krewnych.

„Stoję zdumiona” – opisuje Walentynowicz. „Patrzę, jak nieznajomy wyjmuję z torby pomidory, ogórki, pudełko czekoladek. Pochyliła się nade mną i mówi szeptem: – Cioteczko, nie jedz za dużo słodczy, mogą ci zaszkodzić, ale kolekcjonuj pudełka. Odchodzi uśmiechając się porozumiewawczo”.

Razem z żoną Andrzeja Gwiazdy Joanną przeszukały

bombonierkę. Oprócz grypsu: „Cioteczko, masz w ręku dowody”, znalazły cztery strony kserokopii dokumentów, z których wynikało, że Lech Wałęsa, pseudonim „Bolek” był tajnym współpracownikiem SB. „Naradzamy się co robić” – kontynuuje Walentynowicz. „Niewątpliwie jest to prowokacja. Chcą nas skłócić, podzielić, osłabić. Bez względu na to kim jest Wałęsa – nie wolno nam teraz sprzymierzać się z wrogiem. Ubecki donos drę na drobne kawałki, podpalam, wyrzucam tam, gdzie powinno być jego miejsce, i spuszczam wodę. Nie ma już śladów”.

Bliskie związki „krewniaka z Poznania” z Służbą Bezpieczeństwa były jedynym racjonalnym wytłumaczeniem, w jaki sposób kopie mogły przeniknąć do pilnie strzeżonego „internatu”. Czy były autentyczne? Z tym samym pytaniem, według relacji przekazanej dziennikarzowi *Sztandaru*, zwrócił się niegdyś do SB Wiesław Giełżecki, obecnie zastępcą prokuratora garnizonowego w Bydgoszczy. Prokurator Giełżecki przed laty prowadził sprawę przeciwko Markowi Mądrzejewskiemu, regionalnemu szefowi Ogólnopolskiego Komitetu Oporu „Solidarność”. W mieszkaniu Mądrzejewskiego 21 kwietnia 1982 funkcjonariusze SB między innymi „znaleźli” kopie raportów „Bolka”. Mądrzejewski uważa, że podrzucono je w trakcie rewizji. Podczas przesłuchań oficerowie SB sugerowali mu, że „Bolek” to Wałęsa. Ostatecznie tajne materiały zostały włączone do odrębnego postępowania. Na początku grudnia 1990, tuż przed pierwszą turą wyborów prezydenckich, zgłosił się po nie człowiek z UOP.

W tzw. „gwiazdozbiorze” raporty „Bolka” o nastrojach na wydziale W-4 Stoczni Gdańskiej, tudzież pokwitowania kwot po 700, po 1500 złotych trafiły jednak na podatny grunt. Może ze względu na wcześniejsze tarcia między Wałęsą a kręgiem zwolenników Andrzeja Gwiazdy. A może dlatego, że stanowiły czarno na białym potwierdzenie wcześniejszych, mglistych, nie do końca sprecyzowanych wyznań samego Wałęsy.

Były momenty, które sprzyjały spowiedziom. Cofnijmy się do lat siedemdziesiątych i do utworzonych w kwietniu 1978 Wolnych Związków Zawodowych. Trafił tam Edwin Myszk, robotnik, sprawny organizator różnych konspira-

cyjnych przedsięwzięć. Po pół roku wydało się, że Myszk jest „wtyczką” SB. Działacze opozycji po kilku wypadkach zaczęli go podejrzewać, ale nie mieli bezspornych dowodów. Dostarczył ich Adam Hodysz, wówczas oficer SB, który zdecydował się na współpracę z opozycjonistami. Informacją o Myszkę Hodysz uwiarygodnił się w tych kręgach.

Podobno w 1979 roku, podczas któregoś spotkania w gronie współtowarzyszy walki, Wałęsa wyznał, iż po grudniu 1970 był wzywany na przesłuchania. Teraz, jak się zdaje, żałuje tamtych chwil szczerości: – „Tłumaczenie na nic nie wychodziło, bo każdy sobie myślał: aha... Albo przykrawał do siebie moje zachowania czy moje przesłuchanie, do tego jak on był słaby”.

Znawca psychologii tłumy

Lech Wałęsa tuż po grudniu 1970 po raz pierwszy zaistniał publicznie. W *Głosie Wybrzeża*, wówczas organie PZPR, ukazał się cykl artykułów, zaglądających niejako w robotnicze dusze. W numerze z 6 lutego 1971 wydrukowano reportaż „W imieniu załogi”. Jej autor w Komitecie Zakładowym PZPR Stoczni Gdańskiej otrzymał nazwiska nowych liderów, których wykreowały niedawne burzliwe wydarzenia. Wałęsa, elektromonter z wydziału W-4, jest członkiem oddziałowej organizacji związkowej, „postacią budzącą kontrowersje” – charakteryzuje go dziennikarz. „Ma lat dwadzieścia siedem, naczytał się lektur traktujących o psychologii tłumy, o spontanicznym działaniu. (...) Mieszka z żoną i dzieckiem w wynajętym pokoju, za który płaci 800 złotych, z czego stocznia pokrywa ponad połowę”. Autor udziela też głosu swojemu bohaterowi: „Uważam, że rada oddziałowa powinna być zawsze z ludźmi i z ludzkiego zaufania się rozliczać, ale działać tak, aby nie dezorganizować produkcji. Już w tej dziedzinie idzie ku lepszemu, podobnie jak w stosunkach międzyludzkich. Jak ludzie swoim zaufaniem pomogą, to i my w organizacji związkowej jakoś się wywiążemy. Wszyscy przecież chcemy, żeby było lepiej”.

„Kto by inaczej mówił, to by nie przeżył” – komentuje

były prezydent. Dodaje, że od początku chciał rozwalić „komunę”, swoimi drogami, jako amator. – „Kiedy zacząłem przewodzić strajkom w 1980 roku, szukano wszelkich spraw, montowano sprawy, aby mnie pozbawić możliwości przewodzenia. Wtedy powstały te paszkwile, te dokumenty różne. Oczywiście, część była prawdziwa, bo jednak byłem przesłuchiwany, bo jednak siedziałem w więzieniu w 1970 roku, a część była fabrykowana”.

Według Lecha Wałęsy, oprócz protokołów z przesłuchań, wykorzystano do tego celu odwołania, które pisał, gdy był zwalniany z pracy. – „W tych odwołaniach – mówi – były różne rzeczy i powoływanie się na świadków. To pokombinowano jako moją współpracę z bezpieką”.

Później widział tę dokumentację, te – jak powiada – „zlepki robione”. Podkreśla, iż sporządzono ją w sposób dość zręczny. Żadnych oryginałów nie było, tylko kopie.

– „W stoczni współpracowały z nami setki ludzi” – mówią o okresie po grudniu 1970 pracownicy byłej SB. – „Przez lata, biorąc pod uwagę rotację, zbierałoby się tego może i tysiące. Jedni robili to, bo byli słabsi, dali się przekupić. Innym mówiło się, że te informacje pomogą usunąć nieprawidłowości...”

Podobno dokumenty dotyczące – nazwijmy to – wczesnego „Bolka” kilka lat przed użyciem zostały sprowadzone z Gdańska do Warszawy. Dawni gdańscy podwładni generała Czesława Kiszczaka przypisują pomysł ich ujawnienia generałowi Ciastoniowi, któremu bezpośrednio podlegała SB, aczkolwiek pewności w tej kwestii nie mają. – „To był pierwszy błąd, obrona na oślep, z naruszeniem zasad tej służby” – komentują *casus* gołdapski. – „A jeżeli zdradza się podstawowe zasady, to służba zaczyna przegrywać”.

I rzeczywiście, z perspektywy czasu widać, że tamta prowokacja zamiast doraźnych efektów, na które liczone, przyniosła skutki dalekosiężne w postaci dążeń lustracyjnych i związanych z nimi politycznych gier. Lustratorzy Antoniego Macierewicza określili granice czasowe „Bolkowej” współpracy z SB. W „liście konfidentów”, opublikowanej przez *Gazetę Polską* 4 czerwca 1993, w rocznicę tzw. afery teczkowej, której skutkiem był upadek rządu Jana Olszewskiego,

pod hasłem „LECH WAŁĘSA (Prezydent RP, TW „Bolek”) czytamy: „Figuruje w KW MO Gdańsk oraz w kartotece informacyjnej wyd. II BEiA UOP i kartotece komputerowej ZSKO. Zarejestrowany 29 XII 70 r. pod numerem 12535 przez wyd. III KW MO Gdańsk. Akta archiwalne zachowane. 19 czerwca 1976 roku zaprzestano kontaktów z powodu niechęci ‘Bolka’ do współpracy”. TW „Bolek” od 1970 do 76 r. przekazywał SB informacje dotyczące destrukcyjnej działalności niektórych pracowników stoczni. (...) W czasie prezydenckiej kampanii – przed wynikami I tury – (gdy szefem UOP był Andrzej Milczanowski) dokonano ekspertyzy zgodności pisma Lecha Wałęsy z raportami podpisanymi przez TW „Bolek”. Centralne Laboratorium Kryminalistyki, które wykonywało ekspertyzę, uchyliło się od wydania jednoznacznej opinii, ponieważ dostarczono mu jedynie kserokopie raportów, a nie oryginały. (...)”.

Promieniotwórcze zagrożenie

Były prezydent uważa, że dziennikarz, który chciałby służyć Polsce, powinien zainteresować się raczej sprawą kilkunastu tomów akt zniszczonych w Świeciu. Osiemdziesięciu pięciu tomów? Siedemdziesięciu trzech? Padają różne liczby. Funkcjonariusze b. SB wolą mówić o kilku szafach dokumentacji. Zawierały one efekty obserwacji samego tylko Lecha Wałęsy, czyli Wałęsa był tu obiektem, nie zaś źródłem informacji. Całość była opatrzona, a jakże, znanym już kryptonimem „Bolek”, co obecnie powoduje dezorientację u zwykłych obserwatorów życia politycznego, nie wprowadzonych w zawiłości teczkowych gier. Zorientowani to wykorzystują, aby jeszcze bardziej rozmazać obraz.

„‘Bolek’ – to był kryptonim walki ze mną” – konstatuje były prezydent. „Tych dokumentów – dodaje – nie trzeba było niszczyć, tylko książkę zrobić i pokazać w całości. A zostawiono ścinki, śmieci, podpuchy... Nie bądźmy śmieszni. Oni zniszczyli całą dokumentację, która była pełna. I to by mówiło, kim był Lech Wałęsa”.

Zatem pechowo dla potomnych ocalało akurat nie to,

czego pierwszy przywódca „Solidarności” by sobie życzył. Prokuratura Wojewódzka w Gdańsku nad sprawą niszczenia zasobów archiwalnych przez funkcjonariuszy b. SB (VDs 37/91) pracowała od 1991 roku. Śledztwo było ściśle tajne. Akt oskarżenia trafił do Sądu Rejonowego w Gdańsku w styczniu br. Pod koniec stycznia sąd umorzył sprawę, stwierdzając znikome społeczne niebezpieczeństwo czynu. Prokuratura wniosła zażalenie do Sądu Wojewódzkiego. Ten zaś w kwietniu uchylił postanowienie sądu pierwszej instancji. Termin rozprawy wyznaczono na wrzesień.

W czasie kiedy prokuratorzy szukali winnych destrukcji archiwaliów, funkcjonariusze UOP-u, w który wiosną 1990 przepoczwarzyła się SB, intensywnie zabiegali o odzyskanie tego, co ocalało, bo zostało ukradkiem wyniesione. UOP „odkrył” taki zbiorek w pewnym prywatnym mieszkaniu przy okazji poszukiwania niby to promieniotwórczego uranu.

Gdyby polscy filmowcy gustowali w kinie akcji, ta historia mogłaby stać się kanwą atrakcyjnego scenariusza. Czas akcji – marzec 1993. Tło – rodzą się nowe więzi gospodarcze z państwami dawnego wschodniego imperium. Tłumy mniej lub bardziej doświadczonych biznesmenów marzą, by powtórzyć sukces Wokulskiego. Krążą przekazywane z ust do ust wieści o najfantastyczniejszych substancjach, jak „czerwona rtęć” czy alfafetoproteina, na których można zrobić prawdziwe kokosowe interesy. Nierzadko wieściom towarzyszą rozmaite próbki, częściej fałszywe niż prawdziwe.

Aleksander O., prawnik, na rencie, niegdyś na eksponowanym stanowisku w jednej ze stoczni, mieszka sobie skromnie w Gdyni, w bloku przy ulicy Morskiej. Próbuje sił w biznesie. Słyszał wprawdzie o szczęśliwcach, którzy się dorobili, ale jemu idzie nie za bardzo. Pewnego dnia zgłaszają się do niego panowie Ryszard H. i Jerzy F. Mają do sprzedania tlenek uranu oraz rosyjski defektoskop, urządzenie, którego pojemnik zawiera materiały rozszczepialne. Do defektoskopu dołączony jest amerykański certyfikat. Szukają nabywcy. Aleksander O. mógłby zarobić jako pośrednik.

Podjął się zadania, uruchamiając następnego pośrednika. Ten ostatni stwierdził, że ma amatora, firmę niemiecką, która

chce sprawdzić towar i przyśle w tym celu swojego eksperta. Do pierwszego spotkania z ekspertem doszło 2 marca 1993. Następne zostało wyznaczone na 5 marca.

Aleksander O. twierdzi, że człowiek ów wydał mu się podejrzany, a w dzień, kiedy miało dojść do sfinalizowania interesu zauważył kręcących się w pobliżu ludzi z UOP-u. Trzech znał osobiście, z czasów, kiedy stoczną odwiedzali różni prominentni goście. Nie przejmował się specjalnie tym towarzystwem, bo wcześniej nasłuchiwał się opowieści o tym, że Amerykanie wykupują od Rosjan uran i pluton, po to, by nie trafiły one do Iraku. Taka transakcja miała mieć miejsce, na przykład, w Koninie i UOP ją niby osłaniał.

Jerzy F. może nie miał równie bujnej wyobraźni, dysponował za to pełnomocnictwami spółki NAT, spopularyzowanej przez tygodnik *Nie* jako „handlowe ramię” wywiadu UOP”. Jednak na widok funkcjonariuszy UOP, wkraczających 5 marca 1993 bez prokuratorskiego nakazu rewizji, na podstawie samych tylko legitymacji służbowych, do mieszkania przy Morskiej, próbował salwować się ucieczką przez okno (parter). Zrezygnował. Blok był obstawiony.

Wszyscy trzech bohaterowie (Aleksander O., Jerzy F. i Ryszard H.) trafili do aresztu, gdzie spędzili pół roku, mimo rozlicznych próśb o jego uchylenie. Mass media fetowały sukces UOP-u w walce z handlem materiałami radioaktywnymi, gdyż zostały poinformowane o rekwizycji 6 kilogramów uranu 238 i pół kilograma tlenu tegoż pierwiastka. Sprowadzony na Morską kierownik Oddziału Ochrony Radiologicznej gdańskiego Sanepidu nie stwierdził skażenia promieniotwórczego osób ani mieszkania. Defektoskop i tlenek przekazano do Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej. Tlenek okazał się nieszkodliwy, zaś o defektoskopie ekspert napisał: „Niebezpieczeństwo powstałoby w przypadku próby demontażu pojemnika poprzez obróbkę mechaniczną, na przykład cięcie, wiercenie, spawanie prowadzące do powstania wiórków uranu lub opiłków (...)”. Krótko mówiąc, trzeba by zniszczyć cenne urządzenie, które oskarżeni chcieli przecież spieniężyć.

Więcej „Bolka” niż uranu

Najciekawsze wyszło jednak w trakcie przesłuchań u prokuratora, gdzie dzielni funkcjonariusze musieli się zwrócić, by *post factum* zatwierdzić przeszukania u Aleksandra O. tudzież pozostałych delikwentów. Bez nakazu mogli wkroczyć tylko w wypadku nie cierpiącym zwłoki. Rzekome zagrożenie promieniowaniem radioaktywnym, w centrum miasta, w bloku, gdzie mieszka mnóstwo ludzi, było niezłym pretekstem. Ale z czasem wyszło na jaw, że telefony podejrzanych były na podsłuchu. Panowie z UOP-u przynajmniej dwa dni wcześniej wiedzieli, jakimi to niebezpiecznymi dobrami dysponują ich klienci. Jeśli faktycznie uważali, iż istnieje zagrożenie, powinni natychmiast wkroczyć do akcji. Jednak skoro takiej potrzeby nie było, należało prosić prokuraturę o zgodę na dokonanie rewizji.

Rzecz w tym, że defektoskop nie był głównym przedmiotem zainteresowania podwładnych, kierującego wówczas gdańską delegaturą UOP Adama Hodysza. Kluczem do tej historii jest Jerzy F. W akcie oskarżenia zapisano lakonicznie: „wykształcenie wyższe, prawnik, emeryt, bez majątku”. A Jerzy F. to ciekawa postać, emerytowany major SB, pracownik byłego Wydziału III KW MO w Gdańsku, od początku lat siedemdziesiątych miał w swojej pieczy Stocznnię Gdańską. W latach osiemdziesiątych był zastępcą naczelnika Inspektoratu II Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku, agendy SB zajmującej się inwigilacją solidarnościowej elity. To właśnie jemu przypisuje się rozpracowanie kontaktów Adama Hodysza z opozycją. W rezultacie Hodysz został skazany na 6 lat więzienia. Odsiedział cztery lata, by wyjść w glorii sprawiedliwego w Sodomie. Jerzy F. nie czekał na weryfikację, jakiej poddano pracowników SB w 1990 roku. Odszedł na emeryturę.

Przedtem w przełomowym 1989 roku, kiedy w Zakładach Celulozowo-Papierniczych w Świeciu nad Wisłą zaczęto niszczyć archiwum gdańskiej SB, major F. widąc pozałował trudu podwładnych i własnego, więc zabrał co nieco na pamiątkę. W jego mieszkaniu w Gdańsku znajdowały się

mikrofilmy i mikrofiszę obejmujące po 100 kart każda. Prokuratorowi prowadzącemu sprawę uranu ludzie z UOP-u pomachali potem tylko przed oczami dwiema kopertami, zalakowanymi i zaopatrzonymi w pieczęcie. Z opisu na kopertach wynikało, że zawierają prawdopodobnie informacje tajne i tajne specjalnego znaczenia, stanowiące własność MSW.

Senator Leszek Lackorzyński, wtedy prokurator wojewódzki w Gdańsku, też tych dokumentów nie widział. Chyba z protokołu (ale tego po latach już nie jest pewien) dowiedział się, że dotyczyły prominentnych działaczy „S”, w tym osoby o kryptonimie „Bolek”. Do tego protokołu dziś dotrzeć nie sposób. W aktach sprawy uranowej jest mizerny wyciąg. Otóż, postanowieniem z 12 marca 1993 prokurator Gdyni wyłączył oryginał protokołu z akt sprawy uranowej, by przekazać go do Wydziału Śledczego Prokuratury Wojewódzkiej do wspomnianej już utajnionej sprawy V Ds 37/91. Z uzasadnienia tej decyzji wynika, iż w wyłączonym protokole więcej było o „teczkach” niż o uranie.

Prokurator Lackorzyński bardzo się starał, aby major F. został oskarżony na podstawie artykułu 268 kodeksu karnego, przewidującego karę dla tych, którzy niszczą, uszkadzają albo chociażby tylko ukrywają dokumenty, nie mając prawa do wyłącznego nimi rozporządzania. Pisał w tej sprawie do ministra Milczanowskiego, domagając się udostępnienia prokuraturze wszystkiego, co zostało zarekwirowane w mieszkaniu majora. Odpowiedź była odmowna. Dołączył ją do akt i polecił skierować do sądu. Miał nadzieję, iż ten zechce skorzystać z autorytetu oraz praw „trzeciej władzy” i zażąda od ministra brakujących dowodów. Sąd tą drogą jednak nie poszedł.

Skończyło się zatem tylko na oskarżeniu trzech aresztowanych o to, że dysponując środkami radioaktywnymi stworzyli bezpośrednie i powszechne zagrożenie dla życia ludzkiego. Sąd uchylił wobec nich areszt. Dopatrzył się jedynie wykroczenia. Wyrok, który zapadł 13 kwietnia 1994 oddalał główny zarzut, czyli spowodowanie powszechnego niebezpieczeństwa. Panowie mieli zapłacić grzywnę po 25 mln starych złotych, na poczet której zaliczono im areszt.

Zarówno oni jak i prokurator odwołali się do Sądu Wojewódzkiego – oni od grzywny, prokurator od werdyktu, że nie było powszechnego niebezpieczeństwa. Sąd Wojewódzki zdjął ze skazanych obciążenia finansowe, a kwestię podnoszoną przez prokuratora polecił rozpatrzyć ponownie Sądowi Rejonowemu w Gdyni, co dopiero nastąpi.

Równolegle Ryszard H. i Aleksander O. wystąpili z pozwem przeciwko mediom, które użyły wobec nich określenia „esbecy”. Na wniosek sądu minister Milczanowski zaświadczył, że nie byli ani pracownikami, ani tajnymi współpracownikami podległych mu służb. Sprawę o ochronę dóbr osobistych wygrali.

Dokumentacja hipotetyczna

Adam Hodysz wkrótce po historii uranowej z wielkim hukiem został zdjęty ze stanowiska. To dało pożywkę do przypuszczeń, że chodziło o papiery na Wałęsę i innych. Jesienią 1993 miejsce Hodysza zajął Henryk Żabicki, który przez dziesięć lat zajmował się Lechem Wałęsą, kierując kilkunastoosobową grupą obserwacyjną. Jej członkowie nie odstępowali Wałęsy na krok. Z tamtego okresu (lata osiemdziesiąte) przetrwało sporo anegdot obrazujących zażyłość, jaka wytworzyła się między obserwującymi i obserwowanym. A to pomagali sobie zmienić koło na drodze, żeby podróż przebiegała sprawniej. A to, aby się nie nudzić, razem łowili ryby. Bodajże po reaktywowaniu „S” część tych ludzi została włączona do BOR-u i nadal sprawowała pieczę nad Wałęsą, najpierw przewodniczącym związku, potem prezydentem.

Hodyszowi, ci którzy go znają, przypisują cechy austriackiego urzędnika, oddanego przede wszystkim służbie. Żabicki miał opinię człowieka wiernego swemu prezydentowi. Toteż został zdjęty z funkcji, wkrótce po tym, jak upłynęła kadencja Wałęsy. Na szefa delegatury UOP w Gdańsku powrócił Hodysz.

Wcześniej jeszcze, w styczniu 1996, w nawiązaniu do sprawy Oleksego, w *Raboczej Tribunie* ukazał się artykuł o tajemnych kontaktach utrzymywanych w końcówce lat

osiemdziesiątych przez lidera „S” i jego współpracowników z ambasadorem ZSSR Browikowem. Wałęsa nazwał to „prowokacją, którą obali śmiechem”. Przy tej okazji stwierdził: „Każdy mój krok, każdą sekundę życia nadzorowała wtedy nasza Służba Bezpieczeństwa. To wszystko zapisane jest w ich raportach. Mam na to dowody – udało mi się wykupić dokumenty SB, które miały być zniszczone w Świeciu”.

Wiadomość o raportach, w których zapisana jest każda sekunda, największe wrażenie zrobiła na fachowcach, mających swój udział w produkcji tego typu dokumentów. Są święcie przekonani, że te raporty zostały zniszczone. I to wcale nie po to, żeby zatrzeć ślady. Po prostu obowiązywała taka instrukcja. Zgodnie z zaleceniem, materiały z obserwacji „brakowano”, czyli likwidowano zaraz po przetworzeniu w dokumenty wyższego rzędu.

W wyniku rozmyślań funkcjonariuszy, skąd Wałęsa mógłby zdobyć szczegółowy rejestr z kim, kiedy i gdzie – dajmy na to – pił kawę, zrodziła się śmiała hipoteza: takie papiery na potrzeby byłego prezydenta mógł odtworzyć czy wyprodukować od nowa autor wersji pierwotnej czyli wierny Żabicki. Co więcej, jeśli one rzeczywiście istnieją, nie ma żadnych możliwości, aby zakwestionować ich prawdziwość. Ot, zabawa.

Krzysztof Pusz, dawny sekretarz Wałęsy, potwierdził, że spotkanie z Browikowem, wprowadzie kurtuazyjne, ale było.

Deklarację dotyczącą odkupionych teczek trudno uznać za przejęzyczenie. Były prezydent zwierzał się z tego różnym tytułom, różnie formułując wypowiedź. Jej sedno pozostawało takie samo. Może był to blef mający uciąć raz na zawsze te i inne ewentualne ataki? Jesienią 1996, odpytywany przez Wiesława Walendziaka w ramach programu „Bez znieczulenia”, nie zaprzeczył, iż akta kupił. Zareagował unikowo: „Pan komunie chce podpowiedzieć. Tym pytaniem pan robi donos na mnie do komuny”.

Indagowany podczas zbierania materiałów do niniejszej publikacji, próbuje zbyć pytanie w podobny sposób. Nie chce ani potwierdzić ani zdementować oświadczenia sprzed roku. Wykazuje brak opanowania, zaskakujący u tak doświadczonego polityka: – „To jest moja sprawa i guzik pani do

tego”. I dalej: – „Pani jest przysłana po to, żeby pani zrobiła mi haka...”.

Z inicjatywy Adama Hodysza, tuż po jego powrocie na stanowisko szefa gdańskiej delegatury, w UOP została powołana komisja mająca zbadać okoliczności zaginięcia niektórych tajnych materiałów z zasobów UOP w Gdańsku. Czy faktycznie, jak sugeruje *Nie* chodzi o oczyszczenie teczek obiektowych Stoczni Gdańskiej ze śladów, tam także odnotowywanej działalności tajnego współpracownika „Bolka”? Tak czy owak efektem pracy komisji są doniesienia do prokuratury w Warszawie i w Gdańsku. Pojawiło się w nich stwierdzenie, że części dokumentów nie oddał Lech Wałęsa.

„Chamska, bezczelna i niepotrzebna walka trupów politycznych – komunistów” – komentuje ten fakt były prezydent.

Według szacunków Antoniego Zielińskiego, dyrektora Biura Ewidencji i Archiwum UOP, w Gdańsku zachowało się zaledwie 5 procent teczek osobowych, stanowiących najbardziej dogodny materiał dla prac przyszłej komisji lustracyjnej.

Ryszarda SOCHA

DOKUMENTY

MARSZAŁEK RYDZ-ŚMIGŁY A MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Poniższa „Notatka” dotycząca marszałka Rydza-Śmigłego została sporządzona przez kpt. M. Kozłowskiego i porucznika Wacława Króla, oficerów Biura Historycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

To biuro zostało powołane do życia na początku lat 60-tych. Jego staraniem w 1964 r. opublikowany został tajny, przeznaczony do użytku wewnętrznego, „Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944-1956”. Nie można było sprawdzić, kiedy to biuro zakończyło swoją działalność.

Oryginał „Notatki” znajduje się w archiwum Ignacego Logi-Sowińskiego przechowywanym w Instytucie Dokumentacji Historycznej PRL w Warszawie (Sygnatura LI/15).

Oddając Zeszyt do druku zorientowaliśmy się – niestety za późno – że „Notatka” ukazała się już w periodyku Karta w numerze 14 z 1994 r. Różnice w tekstach są niewielkie. Ponadto Karta zamieściła kilka zdjęć marszałka Rydza-Śmigłego. Zeszyty Historyczne z zasady unikają przedruków, ale, niestety, czasami jest to nieuniknione gdyż dokumenty, do tej pory tajne, są ujawniane przypadkowo i chaotycznie.

REDAKTOR

Warszawa, dnia ...maja 1967 r.

TAJNE

MINISTERSTWO
SPRAW WEWNĘTRZNYCH
Departament III

L. dz. OE-I-049/.../67

NOTATKA

Dotyczy: EDWARDA RYDZA-ŚMIGŁEGO

1. Metody badań oraz ocena środowiska piłsudczyków.
2. Wyniki badań nad działalnością Edwarda Rydza-Śmigłego na terenie Polski w okresie okupacji i okolicznościami jego śmierci.
3. Załączniki.

1. Metody badań oraz ocena środowiska piłsudczyków.

Głównym celem prowadzonych badań było ustalenie okoliczności zgonu Edwarda Rydza-Śmigłego oraz wyjaśnienie przyczyn jego powrotu do kraju i zamierzeń polityczno-wojskowych.

Badaniami objęto pobyt Rydza-Śmigłego w Rumunii, na Węgrzech i w Polsce (od 17 IX 1939 – 2 XII 1941 r.) ze wszystkimi wiążącymi się z jego działalnością aspektami życia politycznego i organizacyjnego emigracji i niektórych nurtów tworzącej się konspiracji w kraju.

Pracę rozpoczęto od zapoznania się z podstawowymi publikacjami zagranicznymi i krajowymi, które w swej treści dotyczyły tematu, bądź nawiązywały do działalności organizacji i grup konspiracyjnych pozostających w kontaktach lub współpracujących z Rydzem-Śmigłym i osobami z jego najbliższego otoczenia.

Jednocześnie dokonano przeglądu odpowiednich materiałów śledczych, operacyjnych i depozytowych znajdujących się w Archiwum Biura „C” MSW, niektórych zespołów akt Archiwum Zakładu Historii Partii i Wojskowego Instytutu Historycznego oraz niezbędnych akt personalnych z Centralnego Archiwum Wojskowego i spraw sądowych z Archiwum Służby Sprawiedliwości MON. Niezależnie od tego zapoznano się z głównymi organami prasowymi wydawanymi przez krajowe grupy piśsudczyków, głównie z lat 1940-1942.

W materiałach znajdujących się w resorcie MSW nie natrafiono na wiadomości szczegółowe związane z pobytem Rydza-Śmigłego w kraju w okresie okupacji. W czasie prowadzenia spraw w okresie ubiegłym (w latach 1945-1955) nie przywiązywano większej uwagi wyjaśnieniu charakteru działalności osób powiązanych z Rydzem-Śmigłym i jego grupą. W pozostałych, wspomnianych już archiwach, również nie natrafiono na dokumenty o istotnym znaczeniu dla tematu.

W związku z tym główny wysiłek skierowano na rozwinięcie pracy w celu bezpośredniego dotarcia do osób, które znajdowały się w otoczeniu Rydza-Śmigłego, wykonywały zadania na rzecz grupy pro-śmigłowskiej, bądź posiadały informacje o pobycie Rydza-Śmigłego w Polsce przed jego zgonem.

Aby uzyskać łatwiejszy dostęp do grona osób nas interesujących, a równocześnie zapobiec możliwości ujawnienia faktu, że badania prowadzone są przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, posługiwano się dokumentami legalizacyjnymi, występując jako pracownicy naukowcy Centralnego Archiwum Wojskowego, zajmujący się prywatnie zbieraniem materiałów w celu opublikowania większego artykułu nt. „Działalność organizacji i grup piśsudczykowskich w okresie okupacji”.

Początkowo zakładano przeprowadzenie rozmów z 8 osobami, które w latach 1939-1941 pozostawały w ścisłych kontaktach, bądź organizacyjnie współpracowały z Rydzem-Śmigłym. W toku dalszych badań wynikła jednak konieczność rozszerzenia tej grupy, ponieważ stwierdzono, że krąg osób znających fakty związane z ostatnim okresem życia i działalności b. Naczelnego Wodza jest znacznie większy.

Ustalono, że E. Rydz-Śmigły w okresie od grudnia

1940 r. (ucieczka z Rumunii) do grudnia 1941 r. (tj. do chwili śmierci) pozostawał w kontaktach osobistych z 49 osobami, z czego na terenie Węgier z 29 i w kraju z 25*. O działalności Rydza-Śmigłego w tym okresie wiedziało ogółem 79 osób, z tego na terenie kraju 46. W czasie okupacji poniosło śmierć lub zmarło 17 osób, po wyzwoleniu 24. Obecnie żyje łącznie 37 osób, z tego w kraju 27, na emigracji 10. Rozmowami objęto 24 osoby. Z każdej rozmowy sporządzano dokumentację w postaci relacji lub notatek. Podczas niektórych rozmów stosowano środki techniki operacyjnej. W dwóch wypadkach relacje, mające istotne znaczenie (J. Maxymowicz-Raczyńskiej i prof. dr. J. Roguskiego), zostały autoryzowane przez rozmówców.

Grupa osób, z którymi przeprowadzone zostały rozmowy, stanowi w swojej większości środowisko piśsudczyków, pozostające w dalszym ciągu w opozycji politycznej w stosunku do przemian ustrojowych dokonanych w Polsce. Środowisko to stanowi zamknięty krąg ludzi nieufnie odnoszący się do wszelkich prób nawiązywania nowych kontaktów, pozostający między sobą w stosunkach towarzyskich i wzajemnie się informujący przy zachowaniu pewnych form konspiracji. Świadczyć może o tym fakt, iż zbieranie przez nas materiałów znane było wielu rozmówcom zanim do nich dotarliśmy. Niektórych, jak np. J. Zientarskiego, cechuje wielka podejrzliwość, uważają się za jedynych nosicieli wiadomości i wykazują niechęć do ich przekazywania. Reprezentują stanowisko, że nie mogą jeszcze udzielać szerszych informacji poza podanymi w śledztwie, w czasie którego działalność w grupie pro-śmigłowskiej została przez nich zatajona.

Spotkaliśmy się z zastrzeżeniami co do celowości opracowywania tego rodzaju tematu. Jako argument wysuwano wątpliwości, czy historykom wolno pisać w sposób obiektywny motywując, że „i tak całej prawdy cenzura nie przepuści”. Równocześnie dawało się odczuć, że nie wszyscy rozmówcy ujawniają całą znaną im prawdę bądź ze względów perso-

* W pięciu wypadkach te same kontakty miały miejsce na terenie Węgier i w kraju.

nalnych (uważając, iż w wypadku ujawnienia nazwisk ludzi mogliby ich narazić na jakieś przykrości), bądź też z przyczyn niechęci poruszania spraw – ich zdaniem – drażliwych, które byłyby w sprzeczności z przyjętymi pojęciami o piłsudczykach.

Wszyscy rozmówcy wskazywali pełną znajomość emigracyjnych publikacji książkowych i artykułów dotyczących życia i działalności Rydza-Śmigłego a zamieszczonych na łamach *Kultury* paryskiej, *Wiadomości* londyńskich, *Na Antenie* i innych czasopism. Jest to związane z utrzymywaniem kontaktów z emigracją (wyjazdy, korespondencja). Ponadto dobrze orientowali się w treści bieżących audycji nadawanych przez radio „Wolna Europa” powołując się na nie oraz przyjmując oceny RWE stosunków społeczno-politycznych w Polsce.

Należy podkreślić, że jest to środowisko bardzo zaawansowane wiekiem i zdające sobie sprawę, iż to uniemożliwia im działalność polityczną. Z tych względów swoją uwagę koncentrują na śledzeniu rynku wydawniczego (krajowego, a głównie emigracyjnego), prowadzą wymianę publikacji i dyskusje nad najciekawszymi, ich zdaniem, pozycjami. Innymi czynnikami, przyczyniającymi się do zachowania więzi środowiska, są obchody rocznic, jak dzień imienin J. Piłsudskiego, E. Rydza-Śmigłego, dzień wymarszu Legionów itp., głównie poprzez organizowanie uroczystych nabożeństw i spotkań towarzyskich. Równocześnie grupa ludzi z tego środowiska, związana przez swoją późniejszą działalność okupacyjną z Armią Krajową, podtrzymuje więzi z b. członkami AK zatajając wobec nich swoją pracę w Obozie Polski Walczącej. Bierze ona udział w różnego rodzaju akcjach organizowanych przez lokalne grupy b. członków AK, głównie uroczystościach pogrzebowych i w uroczystościach odsłaniania pomników lub tablic pamiątkowych.

Uzyskano informację o przygotowaniach do utworzenia komitetu, którego zadaniem ma być zebranie funduszy na budowę pomnika-nagrobka E. Rydzowi-Śmigłemu. Ze względu na spodziewane trudności w zebraniu funduszy na ten cel na terenie kraju przewidywane jest zwrócenie się do emigracji, aby tam uzyskać odpowiednią kwotę. W związku z tym

czynione są rozważania, czy władze administracyjne wydadzą zezwolenie na budowę pomnika.

2. Wyniki badań nad działalnością Edwarda Rydza-Śmigłego na terenie Polski w okresie okupacji i okolicznościami jego śmierci.

W wyniku klęski wrześniowej rządzący obóz piłsudczykowski został rozbity jak żadne inne ugrupowanie polityczne. Wszyscy jego czołowi przywódcy i działacze znaleźli się w większości poza granicami kraju. Władzę przejęły opozycyjne partie polityczne na czele z grupą Frontu Morges. Naczelny Wódz i rząd zostali internowani w Rumunii. Internowanie to było w dużej mierze wynikiem nacisków czynników francuskich, którym w nowo wytworzonej sytuacji bardziej odpowiadała osoba gen. Wł. Sikorskiego. Znany był bowiem rządzącym kołom francuskim z długoletniej franko-filskiej postawy, a równocześnie nie miały wobec jego gabinetu żadnych zobowiązań polityczno-wojskowych.

Czołowi działacze piłsudczyzmy zostali izolowani politycznie i pozbawieni możliwości udziału w organizującej się walce zbrojnej na emigracji i w kraju. Wyższym oficerom-piłsudczykom, przebywającym na Węgrzech i w Rumunii, rząd Wł. Sikorskiego odmówił prawa wyjazdu do Francji celem wstąpienia do organizowanej armii polskiej. Na kraj wywierane są silne naciski w kierunku odsunięcia od pracy w Związku Walki Zbrojnej, czynnych już w nim legionistów, potencjalnych przeciwników nowej ekipy rządzącej.

Równolegle prowadzona na szeroką skalę propaganda, zarówno na emigracji jak i w kraju, wskazywała na Rydza-Śmigłego i sanację jako jedynych winowajców klęski wrześniowej. Dążono do uniemożliwienia na przyszłość jakiegokolwiek działalności polityczno-wojskowej piłsudczykom.

W wyniku tak ukształtowanej sytuacji legionowa kadra piłsudczyków rozpoczęła tworzenie elitarnych ośrodków politycznych z zamiarem doprowadzenia do szybkiej konsolidacji własnego ugrupowania, przeniknięcia do organizacji konspiracyjnych i przechwycenia kierownictwa całokształtem

walki z okupantem. Ośrodki powstały zarówno w kraju (grupa Z. Hempla, H. Józewskiego, E. Pfeiffera i inne drobniejsze), jak i na emigracji (grupa pro-śmigłowska na czele z J. Piaseckim) – pozostając między sobą w luźnych kontaktach. Równocześnie na terenie kraju w szeregach ZWZ znalazło się wielu wyższych oficerów – legionistów. Ośrodki polityczne piłsudczyzny wiązały z tym faktem duże nadzieje na przyszłość stojąc na stanowisku, że decydująca walka o władzę rozegra się na terenie kraju. Z tym założeniem związany był w dużym stopniu powrót do kraju Rydza-Śmigłego, jako jedyne go spadkobiercy ideologii Piłsudskiego, jak sądzono, jeszcze żywej w społeczeństwie polskim.

Jednocześnie istniejące grupy piłsudczyków rozpoczęły kontrpropagandę na rzecz pełnej rehabilitacji Rydza-Śmigłego za przegraną w kampanii wrześniowej i przypuściły gwałtowny atak na rząd Sikorskiego, zwłaszcza za jego politykę zagraniczną.

Grupa pro-śmigłowska, przebywająca na Węgrzech, rozpoczęła żywą działalność w kraju poprzez nasyłanie emisariuszy, a równocześnie przystąpiła do przygotowań mających na celu zorganizowanie przerzutu Rydza-Śmigłego i przeniesienia całej działalności na teren kraju. Organizacyjne przygotowania w tym kierunku podjęto już w końcu 1939 r. Pierwszym etapem było zorganizowanie w grudniu 1940 roku ucieczki Rydza-Śmigłego z miejsca jego internowania w Dragoslavele w Rumunii na Węgry.

Pobyt Rydza-Śmigłego na Węgrzech (15 XII 1940–25 X 1941) wykorzystany został do rozpoznania sytuacji krajowej, szczególnie sytuacji w organizacjach konspiracyjnych, wojskowych i politycznych, do przygotowania bezpiecznej trasy przerzutowej, a przede wszystkim dla wypracowania koncepcji politycznej, sformułowania programu i taktyki działania.

Równocześnie podjęto kroki zmierzające do zabezpieczenia dalszych funduszy na pracę organizacyjną. W tym celu zamierzano wysłać do Stanów Zjednoczonych grupę ludzi z misją dotarcia do ośrodków polonijnych dla uzyskania poparcia finansowego. Czerpano również fundusze od wpływowych członków Związku Legionistów Węgierskich.

Informacje z terenu kraju, jakie otrzymywało kierow-

nictwo grupy pro-śmigłowskiej, wskazywały na duże zróżnicowanie programowe wśród organizacji konspiracyjnych z zarysowującą się coraz wyraźniej hegemonią wojskowej organizacji prorządowej – Związku Walki Zbrojnej oraz na istnienie dość silnych grup dających możliwość oparcia się o nie w walce o opanowanie kierownictwa politycznego konspiracji. Oceniając sytuację kadry przywódców w kraju, grupa wychodziła z założenia, że nie ma – poza Rydzem-Śmigłym – żadnej wybitniejszej jednostki zdolnej do kierowania walką.

W życiu politycznym toczyła się ostra walka między linią reprezentowaną przez emigracyjny rząd Wł. Sikorskiego a siłami skupionymi wokół ugrupowań endecko-oenerowskich i PPS-WRN. Punktem kulminacyjnym tej walki był zawarty w lipcu 1941 r. układ polsko-radziecki, wskazujący na powstawanie nowych tendencji w otoczeniu gen. Wł. Sikorskiego. Piłsudczycy, zarówno na emigracji jak i w kraju, opowiedzieli się przeciwko temu układowi, co spotkało się z natychmiastową kontrakcją, wyrażającą się m.in. w usunięciu kilku starszych oficerów – piłsudczyków z wyższych stanowisk w ZWZ.

Komendantowi Głównemu ZWZ zabroniono przyjmowania do organizacji czołowych jednostek z obozu sanacyjnego, którzy przedwojenną działalnością byli związani z przygotowywaniem obrony państwa i skompromitowani. Prowadził on jednak elastyczną politykę nie potępiając wszystkich legionistów, aby – jak zaznaczał w raportach do gen. Wł. Sikorskiego – nie odrzucić zbyt wielkiej grupy osób i nie stworzyć niepotrzebnie ludzi rozgoryczonych, a co gorsza „zasilających być może kiedyś konsolidujący się obóz sanacji”.

Brak spójności politycznej i wojskowej był okolicznością obiektywnie sprzyjającą dla Rydza-Śmigłego i jego inicjatyw. W kadrach kierowniczych organizacji politycznych, a zwłaszcza w ich pionach wojskowych, znajdowali się b. legioniści. Kontynuowanie przez czynniki prorządowe ostrego ataku na sanację umożliwiało piłsudczykom tworzenie szerokiego frontu antyrządowego.

Grupa pro-śmigłowska od momentu swojego powstania stosowała taktykę działania przewidującą rodzaj podwójnej

konspiracji tzn. konspiracji wobec okupanta i konspiracji wobec oficjalnych organizacji rządu emigracyjnego.

W okresie sierpień-listopad 1941 r. przerzucono do kraju kilkunastu zaufanych wyższych oficerów – legionistów, którzy otrzymali polecenie wstępowania do ZWZ, co miało zapewnić kadrowe opanowanie Komendy Głównej oraz komend obszarów i okręgów. Oficerowie werbowani byli w obozach dla internowanych na terenie Węgier, zaprzysiężani, a wielu z nich osobiście meldowało się przed pójściem do kraju u Rydza-Śmigłego.

Działalność ośrodków i grup piłsudczyków była bacznie obserwowana przez czynniki rządu emigracyjnego. Na Węgrzech inwigilowano czołowych działaczy pro-śmigłowskiej grupy, zwłaszcza po ucieczce Rydza-Śmigłego z Rumunii. W związku z tym J. Piasecki w porozumieniu z Rydzem-Śmigłym odciął się od ekipy osób (ppłk R. Najsarek, płk Z. Kogut-Wyrwiński i płk A. Dudziński), która zorganizowała i dokonała przerzutu Rydza-Śmigłego na Węgry. Lokale konspiracyjne Rydza-Śmigłego były często zmieniane i wybierane głównie u zaufanych osób wywodzących się z arystokracji węgierskiej. Jednocześnie zmieniano też kilkakrotnie nazwisko i dowody osobiste używane przez Rydza-Śmigłego. Elementy te zadecydowały, że fakt jego pobytu na Węgrzech nie przeniknął poza grono najbliższych współpracowników.

Bezpośrednie przygotowania powrotu do kraju Rydza-Śmigłego podjęto latem 1941 roku. W tym celu powołano specjalną komórkę, której zadaniem było zorganizowanie bezpiecznej trasy przerzutowej. Na kierownika komórki wyznaczono płk. Jana Zientarskiego. Podczas opracowywania trasy wykorzystał on kontakty osobiste z niektórymi pracownikami bazy ZWZ w Budapeszcie. Dzięki temu przejęto do dyspozycji jednego z najlepszych wówczas przewodników – Stanisława Frączystego. O właściwym doborze przewodnika i trasy przekonano się po udanym przejściu do kraju wspomnianej grupy oficerów.

Ustalono, że Rydz-Śmigły wyruszy do kraju najpóźniej w drugiej połowie października 1941 roku, posługując się dokumentami osobistymi wystawionymi na nazwisko „ADAM ZAWISZA”. Jako ostateczny termin wyznaczono dzień 25

października i zdecydowano, że osobą towarzyszącą będzie Julian Piasecki, pełniący funkcję szefa sztabu powstającej organizacji, a uważany w kołach emigracyjnych i konspiracyjnych za oficjalnego rzecznika poglądów Rydza-Śmigłego. Poza tym postanowiono, że do granicy węgiersko-słowackiej pilotowani będą przez B. Rogowskiego i młodą Węgierkę.

Cała grupa w dniu 25 października spotkała się na dworcu kolejowym w Budapeszcie. Zorganizowane było również bojowe ubezpieczenie przez płk. J. Zientarskiego. W czasie podróży na dworzec J. Piasecki nie zdołał zgubić obserwacji. Doradziło to do incydentu, w wyniku którego przewodnik S. Frączysty otrzymał polecenie od W. Felczaka i Zalewskiego – pracowników rządowej delegatury w Budapeszcie, zabraniające przerzucenia J. Piaseckiego do kraju. Zagrozili jednocześnie, że w przeciwnym wypadku wydani zostaną w ręce żandarmerii węgierskiej. Rydz-Śmigły nie został rozpoznany. Incydent ten spowodował, że osobą towarzyszącą Rydzowi do kraju był B. Rogowski. Dalsza podróż do Polski odbyła się bez przeszkód.

Przygotowaniem kwater w Polsce zajmowali się: ppłk Marcin Zalewski – specjalny emisariusz, który działał w kraju od jesieni 1940 r. i ks. płk A. Zapała przybyły z Węgier w pierwszych dniach października 1941 r. Przeprowadzili oni również szereg rozmów sondażowych z wyższymi oficerami i działaczami politycznymi, zaangażowanymi w działalności konspiracyjnej.

Planowano, iż Rydz-Śmigły wypocznie kilka dni w rejonie Zakopanego w miejscowości Klikuszowa pow. Nowy Targ. Ze względu jednak na przeprowadzane w tej miejscowości i w okolicach aresztowania udał się bezpośrednio do Krakowa (27 października), gdzie zatrzymał się początkowo u płk. L. Lipińskiego, ul. Bogdana Zaleskiego 42, b. legionisty i Komendanta Szkoły Kadetów, a następnie u dr. Rudolfa Żaka, ul. Żółkiewskiego 14, czołowego krakowskiego działacza BBWR i Ozonu.

W Krakowie Rydz-Śmigły zetknął się, oprócz gospodarzy mieszkań, z ppłk. M. Zalewskim, ks. płk. A. Zapałą i S. Witkowskim – szefem organizacji wywiadowczej „Muszkieterowie”. Rozmowy miały charakter wprowadzający Rydza-

Śmigłego w atmosferę życia konspiracyjnego. W czasie tych rozmów poinformowany został o aktualnym układzie sił politycznych, charakterze działalności organizacji wojskowych i wywiadowczych oraz nastrojach społeczeństwa.

Po dwóch dniach pobytu w Krakowie, 30 października w godzinach rannych, Rydz-Śmigły w towarzystwie M. Zalewskiego przybył do Warszawy. Ulokowany został w odnowionym uprzednio lokalu Stanisława Jasińskiego, stanowiącym część warsztatu mebli, przy ul. Marszałkowskiej 53A, wynajętym przez płk. Emila Fieldorfa. 3 listopada zmienił lokal konspiracyjny i zamieszkał u Jadwigi Maxymowicz-Raczyńskiej przy ul. Sandomierskiej 18 m 6, wdowy po generale brygady Włodzimierzu Maxymowiczu-Raczyńskim b. dowódcy Broni Pancernej MSWoj. Ubezpieczenie kwatery zorganizowane zostało przez S. Witkowskiego, który wyznaczył specjalną grupę osłonową pod kierownictwem Cz. Sadkowskiego.

Sprawą pierwszoplanową dla Rydza-Śmigłego w pierwszym okresie pobytu w Warszawie było osobiste zorientowanie się w sytuacji politycznej konspiracji krajowej i rozeznanie swoich przyszłych zwolenników. Przeszkodą obiektywną była konieczność głębokiego zakonspirowania osoby Rydza-Śmigłego, co stwarzało istotne trudności w organizowaniu kontaktów z czołowymi działaczami politycznymi i wojskowymi.

Zasadniczym elementem utrudniającym ich nawiązanie było późniejsze, bowiem dopiero około 15 listopada, przybycie do Warszawy Juliana Piaseckiego, który skupiał w swoim ręku całość pracy organizacyjnej i wziął na siebie obowiązki zabezpieczenia odpowiedniej ilości mieszkań konspiracyjnych. Z tych względów bezpośrednie spotkania zostały ograniczone do grona ludzi najbardziej zaufanych. Nie dawało to Rydzowi-Śmigłemu gwarancji właściwego i pełnego naświetlenia wszystkich problemów polityczno-wojskowych.

Do chwili przybycia J. Piaseckiego jedynym łącznikiem między Rydzem-Śmigłym a konspiracją w kraju był ppłk Marcin Zalewski, którego możliwości były poważnie ograniczone i sprowadzały się w zasadzie do kontaktów z kilkoma oficerami – legionistami i z niektórymi działaczami politycz-

nymi ukształtowanych już grup piłsudczykowskich, do których dotarł w ciągu 1941 roku.

Do ścisłego sztabu osób, będących w stałych kontaktach z Rydzem-Śmigłym i wprowadzonych w działalność polityczno-organizacyjną grupy oraz podejmujących próby realizacji koncepcji na gruncie krajowym, należeli:

- Julian Piasecki, mjr dypl., inż., b. wiceminister komunikacji i szef sztabu Ozonu; wyznaczony jeszcze na Węgrzech na szefa sztabu przyszłej organizacji (zginął w sierpniu 1944 roku);

- Marcin Zalewski, ppłk, spełniający funkcję oficera łącznikowego i adiutanta (zginął jesienią 1942 roku);

- Stefan Witkowski, szef organizacji „Muszkietierowie” (zginął w 1942 roku);

- Antoni Zapała, ksiądz, płk, dr, kapelan osobisty Rydza-Śmigłego (zmarł w 1947 roku).

Zadania tej grupy sprowadzały się z jednej strony do zdobywania materiałów dających możliwość bieżącego informowania Rydza-Śmigłego o sytuacji na emigracji i wśród organizacji wojskowych i politycznych oraz nastrojach społeczeństwa w kraju, z drugiej zaś – docieranie do ważniejszych osób i przywódców konspiracji, co do których istniała pewność, że poprą działalność tworzonego ugrupowania.

Z kręgu tych ludzi S. Witkowski był jedyną osobą nie związaną politycznie do 1939 r. z obozem sanacji. Łączyła go natomiast z Rydzem-Śmigłym znajomość datująca się od połowy lat 30-tych, kiedy to S. Witkowski dał się poznać kołom wojskowym jako bardzo zdolny wynalazca i konstruktor z zakresu produkcji specjalnej. W 1939 r. na zlecenie Rydza-Śmigłego, Witkowski przebywał w Rumunii i na Węgrzech, a następnie opracował memoriał dotyczący sił i możliwości militarnych obu tych państw. Misja Witkowskiego związana była z przewidywaniami Rydza-Śmigłego, że z chwilą wojny z Niemcami, na skutek różnicy potencjału militarnego i ludnościowego, Polska nie zdoła zachować

swojej niepodległości i zajdzie konieczność prowadzenia i kierowania walką z terenu państw sojusznich.

Na nawiązanie kontaktu z Witkowskim duży wpływ miał charakter działalności jego organizacji, która posiadała powiązania z Watykanem i Episkopatem polskim, kontakty na *Intelligence Service* i wywiad niemiecki oraz łączność z ważniejszymi krajowymi organizacjami konspiracyjnymi, z Naczelnym Wodzem i z placówkami polskimi na Węgrzech. Dzięki temu Rydz-Śmigły uzyskiwał możliwość lepszego wglądu w zagadnienia polityczne konspiracji krajowej oraz otrzymywania bieżących informacji o składzie personalnym kierownictw poszczególnych ugrupowań polityczno-wojskowych.

Znajomość tych spraw była niezbędna przy realizowaniu koncepcji tworzenia tajnego ugrupowania celem przechwycenia inicjatywy w kierowaniu całokształtem pracy polityczno-wojskowej w kraju. Równocześnie dawało to możliwości inspirowania działalności określonych ludzi i grup.

W okresie od 10 do 25 listopada Rydz-Śmigły przeprowadził rozmowy z następującymi osobami:

- Zygmunt Hempel, mjr rez., do marca 1941 r. szef BiP okręgu stołecznego ZWZ, przywódca grupy piłsudczykowskiej skupionej wokół „Myśli Państwowej” (zginął w sierpniu 1944 r.);

- Edward Pfeiffer, płk dypl., do marca 1940 r. komendant rezerw przy KG ZWZ, a następnie dowódca samodzielnej organizacji wojskowej pn. „Grupa Wojska Polskiego” – „Edward” (zmarł w Londynie w 1964 r.);

- Emil Fieldorf, płk, inspektor KG ZWZ, późniejszy komendant Kierownictwa Dywersji – „Kedyw” (zmarł w 1953 r.);

- Stefan Zielan-Zieliński, płk, organizator konspiracji wojskowej w 1939 r. na terenie woj. łódzkiego;

- Tadeusz Knopp, mjr, członek ZWZ okręgu stołecznego.

Brak jest materiału dotyczącego treści przeprowadzanych rozmów, gdyż trzech z nich nie żyje, a o dwóch brak danych,

aby zamieszkiwali na terenie Polski (prawdopodobnie zginęli w czasie okupacji).

Na podstawie przekazów pośrednich wiadomo jednak, iż rozmowa z Z. Hempel miała charakter ostrej wymiany poglądów. Z. Hempel z całą otwartością przedstawił Rydzowi-Śmigłemu sytuację istniejącą w podziemiu wojskowym i politycznym, toczącą się ostrą walkę o zdobycie kluczowych stanowisk i stopniowe usuwanie piłsudczyków z szeregów konspiracji przrządowej.

Jednocześnie Z. Hempel przeciwstawił się niektórym założeniom koncepcyjnym Rydza-Śmigłego i wykazał ich niesłuszność. Uzasadniał, iż w warunkach pomyślnego rozwijania się ruchu podziemnego, kiedy ruch ten uzyskał szerokie poparcie społeczeństwa, realizacja koncepcji Rydza-Śmigłego może być oceniana jako dywersyjna i przyczyniająca się do osłabiania walki antyhitlerowskiej.

Po rozmowach z Hempel Rydz-Śmigły wykazywał wielkie zdenerwowanie, był w stanie wielkiego przygnębienia, a bezpośrednio po jego odejściu przez kilka godzin nie podejmował rozmowy z domownikami.

Miał powiedzieć wówczas do J. Maxymowicz-Raczyńskiej „życie mi obrzydło, słońce mi obrzydło, czuję się jak w beczce nabitej gwoździami”.

Centralną postacią w otoczeniu Rydza-Śmigłego był Julian Piasecki, wyznaczony na głównego wykonawcę koncepcji politycznej i kierownika organizacyjnego ugrupowania piłsudczyków. J. Piasecki był pierwszym poważniejszym działaczem, który od momentu internowania Naczelnego Wodza i rządu w Rumunii związał swoje nadzieje polityczne z osobą Rydza-Śmigłego. Wybór J. Piaseckiego na oficjalnego rzecznika koncepcji politycznych Rydza-Śmigłego stał się przyczyną w dużym stopniu utrudniającą konsolidację piłsudczyzny, gdyż znany był on jako zwolennik hierarchii i autorytetu, oceniający ludzi według ich stosunku do konstytucji kwietniowej i programu Ozonu. Brak umiejętności elastycznego prowadzenia działalności oraz duże aspiracje odegrania czołowej roli były czynnikami utrudniającymi J. Piaseckiemu nawiązywanie kontaktów politycznych i tworzenie zwartych ideowo grup zwolenników w poszczególnych organizacjach

konspiracyjnych. Rydz-Śmigły nie darzył jednak pełnym zaufaniem J. Piaseckiego, czemu niejednokrotnie dawał wyraz w rozmowach prowadzonych z J. Maxymowicz-Raczyńską. Według jej relacji, Rydz-Śmigły po umocnieniu swojej pozycji i stworzeniu grupy kierowniczej, nosił się nawet z zamiarem odsunięcia od pracy J. Piaseckiego. Świadczy o tym fakt niepowiadomienia go o przygotowywanym na około 15 grudnia 1941 r. przez J. Maxymowicz-Raczyńską spotkaniu Rydza-Śmigłego z komendantem głównym ZWZ. Rozmowa miała doprowadzić do określenia stanowiska gen. Stefana Roweckiego jak i całego ZWZ wobec osoby byłego Naczelnego Wodza.

W grupie pro-śmigłowskiej oceniano S. Roweckiego jako niezdecydowanego politycznie, ponieważ z jednej strony ułatwiał wprowadzenie do ZWZ legionistów na kluczowe stanowiska, z drugiej – wykazywał lojalność wobec gen. Władysława Sikorskiego. Rydz-Śmigły liczył iż S. Rowecki, jako legionista i oficer sztabowy, opowie się po jego stronie, co doprowadzi do stworzenia nowych warunków politycznych w podziemiu i poprze inicjatywy zmierzające do scentralizowania – w stosownej chwili – władzy państwowej w kraju z odsunięciem emigracji.

Ożywiona działalność grupy pro-śmigłowskiej została zahamowana niespodziewanie szybką śmiercią Rydza-Śmigłego, która nastąpiła 2 grudnia 1941 roku w godzinach rannych. Początkowo (około 15 listopada) Rydz-Śmigły skarżył się na dolegliwości żołądkowe. Zastosowana kuracja przez Maxymowicz-Raczyńską (lniane siemię plus ścisła dieta) przyczyniła się do znacznej poprawy stanu zdrowia. Wszelkie bóle zanikły.

Około 25 listopada u Rydza-Śmigłego pojawiły się nowe dolegliwości – bóle lewej strony pleców. 28 listopada, około godz. 3-ej w nocy, Rydz-Śmigły poczuł się słabo i zemdlął w czasie przechodzenia z sypialni do łazienki. Maxymowicz-Raczyńska ze służącą przeniosła go do pokoju, a następnie podała środki nasercowe, które przyniosły mu pewną ulgę. O godz. 5-ej rano (do 5-ej obowiązywała godzina policyjna) R. Barwyszewska udała się do doktora ps. „Główka”, lekarza organizacji „Muszkietierów”, lecz go nie zastała, ponieważ wyjechał on na kilka dni z Warszawy.

W związku z tym Maxymowicz-Raczyńska postanowiła zawiadomić J. Piaseckiego (Koszykowa 6, mieszkanie adw. J. Namysłowskiego) aby ten zorganizował pomoc lekarską oraz telefonicznie, za pomocą hasła alarmowego, wezwała ppłk. M. Zalewskiego.

J. Piasecki skierował przybyłą około godz. 7.30 Maxymowicz-Raczyńską do swojego brata dr. med. M. Piaseckiego, dyrektora Szpitala Wolskiego, dając jej kartkę: „Kierownik zachorował. Oddawczyni niniejszej kartki zaprowadzi Cię do niego”. Po przyjeździe do szpitala Maxymowicz-Raczyńska opisała objawy choroby i wspomniała, że może to być *angina pectoris*. Dr M. Piasecki oświadczył, że nie może osobiście pojechać ponieważ rozpoczyna bardzo ciężką operację i w swoim zastępstwie wydelegował dr. med. J. Roguskiego, ordynatora oddziału wewnętrznego.

Po powrocie do swojego mieszkania ok. godz. 9.00 Maxymowicz-Raczyńska stwierdziła obecność dr. M. Piaseckiego, który dokonał już badania Rydza-Śmigłego. Z przybyłym wraz z nią dr. J. Roguskim przeprowadził tylko krótką konsultację.

Następnego dnia z inicjatywy dr. J. Roguskiego, który początkowo w swym rozpoznaniu różnicował pomiędzy ostrą martwicą trzustki a zawałem serca, przeprowadzone zostało badanie elektrokardiograficzne przez dr. J. Trzebińskiego. Wynik tego badania pozwolił na stwierdzenie bardzo rozległego zawału serca. Lekarze ocenili, że Rydz-Śmigły posiada znikome zaledwie szanse na przeżycie tym bardziej, że jego stan napięcia psychicznego powodował pogłębianie się choroby.

W tym czasie bezustannie czuwali nad Rydzem-Śmigłym na zmianę: M. Zalewski, J. Piasecki i S. Witkowski. Funkcje pielęgniarские spełniała J. Maxymowicz-Raczyńska.

Wydawało się, że stan zdrowia Rydza-Śmigłego polepsza się. 1 grudnia po raz pierwszy w czasie choroby czytał książkę oraz jadł z apetytem. Ustąpiła również temperatura.

W nocy z 1 na 2 grudnia, w czasie dyżuru M. Zalewskiego, ponownie wystąpiły silne bóle. J. Maxymowicz-Raczyńska dała zastrzyk z morfiny, a zanim zdążyła przygotować termofor Rydz-Śmigły zmarł.

Następnego dnia (3 grudnia) prof. dr Edward Loth dokonał w obecności Juliana Piaseckiego balsamowania zwłok. W tym samym dniu J. Maxymowicz-Raczyńska zgłosiła na posterunku policji śmierć „Adama Zawiszy”.

Organizowaniem pogrzebu zajęli się ks. A. Zapała, J. Piasecki i J. Lebedowicz za pośrednictwem zakładu pogrzebowego Braci Adamskich. 4 grudnia wieczorem zwłoki Rydza-Śmigłego zostały przewiezione do kaplicy św. Boromeusza na cmentarzu cywilnym na Powązkach. W dwa dni później (6 grudnia) nastąpił pogrzeb, na którym było obecnych około 15 osób.

W kilkanaście dni później, około 20 grudnia, sporządzony został akt zgonu, pod którym podpisy swe złożyli: prof. dr Edward Loth, dr med. Jan Roguski, docent Uniwersytetu im. Piłsudskiego w Warszawie, dr med. Jan Trzebiński, dr med. Marian Piasecki, Józef Namysłowski, wiceprokurator Sądu Okręgowego w Warszawie, ppłk Marcin Zalewski, inż. Julian Piasecki.

Do ubrania zmarłego J. Maxymowicz-Raczyńska w tajemnicy przed J. Piaseckim włożyła wizytówkę ze słowami: „Oświadczam, że są to zwłoki Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, który wrócił do Polski w październiku 1941 roku, by w pracy ruchu podziemnego walczyć o wolność kraju. Oddał swą szlachetną duszę Bogu w dniu 2 grudnia 1941 roku. Zmarł w moim mieszkaniu w Warszawie przy ulicy Sandomierskiej 18 mieszkania 6 – Jadwiga Maxymowicz-Raczyńska”.

Wszystkie osoby, którym znany był fakt śmierci Rydza-Śmigłego, zostały przez J. Piaseckiego zobowiązane do zachowania tej wiadomości w ścisłej tajemnicy. W ten sposób J. Piasecki dążył do stworzenia warunków dalszego rozwijania działalności grupy pro-śmigłowskiej w oparciu o autorytet i fundusze nieżyjącego już Rydza-Śmigłego. Śmierć Rydza-Śmigłego spowodowała jednak całkowite zahamowanie działalności polityczno-organizacyjnej na okres kilku miesięcy.

Część ludzi, dotychczas będących blisko Rydza-Śmigłego, wycofała się z pracy w tej grupie. Oficerowie, którzy przeszli z Węgier do kraju w ciągu 1941 r., nie wzięli poza nie-

licznymi wyjątkami, udziału w pracach Wydziału Wojskowego Obozu Polski Walczącej.

Działalność późniejsza, powstałego w sierpniu 1942 r. Obozu Polski Walczącej, nie wykroczyła swym zasięgiem organizacyjnym poza Warszawę i Kraków. OPW, mimo rozwijania silnej akcji propagandowej poprzez szeroki serwis wydawanej prasy, nie potrafiła odegrać większej roli w życiu politycznym Polski Podziemnej.



W trakcie przeprowadzonych badań nie stwierdzono aby Rydz-Śmigły został otruty. Dr Jan Roguski, lekarz wiodący w chorobie Rydza-Śmigłego, obecnie profesor Akademii Medycznej w Poznaniu, wyklucza całkowicie możliwość otrucia. Twierdzi on, że nie było i nie ma do tej pory substancji, która swoim działaniem wywołać mogłaby zawał serca (w ówczesnej terminologii *angina pectoris*). Gdyby nawet istniał tego rodzaju preparat, to jego działanie powodowałoby zawały nie tylko serca, ale również i układu krwionośnego. Inne jednak osoby z otoczenia Rydza-Śmigłego nie wykluczają możliwości zastosowania substancji trujących. Józef Lebedowicz, nawiązując do śmierci Rydza-Śmigłego, wspominał o fakcie, że wywiad angielski dostarczał na potrzeby KG ZWZ-AK różne środki toksyczne, w tym wywołujące skutki choroby typowe dla zawału serca, a mające działać po kilku dniach od chwili ich spożycia. Przy KG ZWZ w pionie dywersyjno-sabotażowym (tzw. Związek Odwetu) działała ściśle zakonspirowana specjalna komórka bakteriologiczno-toksykologiczna. W dziale tym produkowano szereg bakterii mogących działaniem swym wywołać poważne epidemie (tyfus, czerwotka, wścieklizna, cholera itp.) oraz kilkadziesiąt różnych trucizn w tym takie, których zastosowanie dawało wyniki dopiero po dłuższym czasie. Szczytowym okresem rozwoju działu bakteriologiczno-toksykologicznego był rok 1941. Niektóre osoby z otoczenia Rydza-Śmigłego posiadały wiadomości o istnieniu tego działu, a nawet pewne kontakty (np. J. Maxymowicz-Raczyńska). Dobrze rozwiniętą komórkę podobnego typu posiadała również organizacja „Muszkieterowie”.

W otoczeniu Rydza-Śmigłego istniała atmosfera wzajemnej podejrzliwości, a nawet obawa przed spożywaniem posiłków. Jak relacjonuje J. Maxymowicz-Raczyńska, była ostrzegana nawet przez ks. A. Zapałę, by nie przyjmowała i nie podawała Rydzowi-Śmigłemu żadnych potraw otrzymywanych od J. Piaseckiego, a zwłaszcza kawy.

Maxymowicz-Raczyńska wysuwa sugestie, że w czasie choroby dr M. Piasecki, którego specjalnością była chirurgia, odsuwał innych lekarzy od bezpośredniego udzielania pomocy i badań chorego oraz stwierdza, że zastrzegł on sobie prawo osobistego dawania zastrzyków dożylnych, aby nie ujawnić rodzaju stosowanych leków. Nienaturalna miała być reakcja dr. M. Piaseckiego na użycie w trakcie opisywania objawów chorobowych Rydza-Śmigłego przez Maxymowicz-Raczyńską terminu *angina pectoris*. Miał on wówczas podniesionym głosem, wykazując przy tym silne zdenerwowanie, zapytać się: „kto powiedział, że jest to *angina pectoris*?”

W czasie zawiadamiania J. Piaseckiego o chorobie Rydza-Śmigłego J. Maxymowicz-Raczyńska odniosła wrażenie, że nie był on zaskoczony tą wiadomością. Nie wyraził również gotowości natychmiastowego udania się do chorego, bądź osobistego sprowadzenia lekarza mimo, iż posiadał brata-lekarza, a poprzez niego duże znajomości w środowisku lekarskim. Nie wyraził zgody na wysuniętą przez S. Witkowskiego propozycję dostarczenia niezbędnych leków zagranicznych.

W relacjach J. Maxymowicz-Raczyńskiej i prof. J. Roguskiego występują drobne sprzeczności odnośnie udzielenia pierwszej pomocy lekarskiej Rydzowi-Śmigłemu. J. Roguski twierdził, że przyjechał dopiero w godzinach popołudniowych i sam przeprowadził badanie Rydza-Śmigłego. Po zapoznaniu go z odnośnym fragmentem relacji J. Maxymowicz-Raczyńskiej, wycofał się z poprzedniego stanowiska i wspomniął, że jednak przybył w godzinach rannych wraz z Maxymowicz-Raczyńską, a co do faktu wcześniejszej i niespodziewanej obecności dr. M. Piaseckiego nie potrafił dać zdecydowanej odpowiedzi.

Podejrzienie, że Rydz-Śmigły mógł być otruty Maxymowicz-Raczyńska opiera także na fakcie, że podczas balsamowa-

nia zwłok Julian Piasecki skrupulatnie pilnował poplamionych krwią opatrunków i osobiście wszystkie wrzucał w ogień, a płyny wlewał do sedesu, pozostając w mieszkaniu do chwili usunięcia wszelkich śladów krwi.

Rozmówcy zaangażowani swoją były działalnością w organizacji „Muszkietierowie”, podejrzenia otrucia Rydza-Śmigłego kierują na Juliana Piaseckiego, natomiast osoby z kręgu grupy J. Piaseckiego, takie same sugestie wysuwają wobec Stefana Witkowskiego i jego organizacji.

Podnoszone są również okoliczności śmierci płk. Zygmunta Wendy, b. szefa Oddziału II Sztabu Głównego i szefa sztabu Ozonu, który towarzyszył Rydzowi-Śmigłemu w Rumunii i na Węgrzech. Miał on przeciwstawiać się podejmowanym na Węgrzech koncepcjom politycznym, formom ich realizacji i powrotowi Rydza-Śmigłego do Polski. Zmarł on nagle 16 maja 1941 roku w Budapeszcie na zawał serca. Jak niektórzy sądzą, został otruty środkami wywołującymi *angina pectoris*. Podejrzenia kierowane są na Juliana Piaseckiego, który w tym czasie był ponadto w zażyłych stosunkach z żoną płk. Wendy – Władysławą, również wtajemniczoną w działalność organizacji. Płk Z. Wenda pochowany został w Budapeszcie pod nazwiskiem Zygmunt Majewski.

Istnieją przypuszczenia, że wiadomość o pobycie w Warszawie Rydza-Śmigłego i jego miejscu zamieszkania była znana wywiadowi niemieckiemu i angielskiemu. Jak podaje wiele osób, Stefan Witkowski był w kontaktach z IS jeszcze przed wybuchem wojny. Meldunki „Muszkietierów” przekazywane były systematycznie najpierw wywiadowi angielskiemu, a następnie niektóre z nich Oddziałowi II KG ZWZ.

S. Witkowski miał także ścisły kontakt z wywiadem niemieckim, a głównie z tzw. *Sonderstab-R*, na czele którego stał płk Borys Smysłowski (b. białogwardzista), pracownik wywiadu wojskowego oraz prawdopodobnie już wówczas agent IS. Spotykał się też ze współpracownikiem płk. B. Smysłowskiego, kpt. Włodzimierzem Bondorowskim, kochankiem żony gen. Stefana Grota-Roweckiego.

Z grupą *Sonderstab-R* miał również ścisłe kontakty płk Zygmunt Polak, dowódca samodzielnej organizacji konspiracyjnej pn. Polska Organizacja Niepodległościowa. Mieszkał

on na tej samej klatce schodowej przy ul. Sandomierskiej, gdzie przebywał Rydz-Śmigły. Fakt pobytu Rydza-Śmigłego był mu znany. Płk Z. Polak utrzymywał towarzyskie stosunki z J. Maxymowicz-Raczyńską.

Na rzecz IS pracował również ks. Stanisław Łaski, członek Duszpasterstwa Polskiego w Budapeszcie, jednocześnie stały kurier między Watykanem, placówkami polskimi na Węgrzech a „Muszkietierami” w kraju. W okresie pobytu Rydza-Śmigłego na Węgrzech znajdował się w otoczeniu osób grupy pro-śmigłowskiej. Szczególnie bliskie stosunki utrzymywał z ks. A. Zapałą, kapelanem osobistym Rydza-Śmigłego.

Prawdopodobnie za pośrednictwem ks. S. Łaskiego nastąpiło skontaktowanie S. Witkowskiego z Rydzem-Śmigłym po jego powrocie do Polski. Zadanie to było tym bardziej ułatwione, gdyż kurier prowadzący Rydza-Śmigłego – S. Frączysty był wykorzystywany także przez „Muszkietierów”.

Rydz-Śmigły informowany był o działalności wywiadowczej „Muszkietierów”, a nawet konsultował raporty i wносił do nich swoje uwagi. Miało to również miejsce w czasie opracowywania zbiorczego raportu z działalności organizacji „Muszkietierowie”, który miał być dostarczony Wł. Sikorskiemu wraz z ustną wiadomością o pobycie Rydza-Śmigłego w Warszawie. Decyzji tej miał sprzeciwiać się J. Piasecki, lecz zmuszony został do podporządkowania się. Do przekazania informacji wytypowano rtm. Czesława Szadkowskiego i Klementynę Mańkowską. Przygotowania do ich przerzutu czynione były przez S. Witkowskiego już od połowy listopada 1941 r. Ostatnie spotkanie Cz. Szadkowskiego z S. Witkowskim miało miejsce 2 grudnia w mieszkaniu J. Maxymowicz-Raczyńskiej. Zastanawiającym jest, że S. Witkowski nie skorygował wiadomości nie powiadamiając Cz. Szadkowskiego o śmierci Rydza-Śmigłego. Główny cel jego misji tracił przez to swoją aktualność.

Przerzut emisariuszy dokonany został przy pomocy wywiadu niemieckiego dwoma różnymi szlakami. Emisariusze dotarli do miejsc przeznaczenia, lecz nie zdołali zameldować się u gen. Wł. Sikorskiego. K. Mańkowska została w Londy-

nie aresztowana przez Oddział II Naczelnego Wodza, a Cz. Szadkowski, który wyruszył z Warszawy 3 grudnia 1941 r., aresztowany przez NKWD, przekazany został do dyspozycji gen. Wł. Andersa, jako dowódcy polskich sił zbrojnych w ZSSR. Cz. Szadkowski poinformował Wł. Andersa tylko o chorobie Rydza-Śmigłego. Potwierdzeniem jest jego rozmowa z J. Stalinem (18 marca 1942 r.), kiedy to Anders na pytanie, gdzie znajduje się Rydz-Śmigły odpowiedział: „Jest w Warszawie i choruje na *angina pectoris*”.

W latach 1942-1944 grobem Rydza-Śmigłego opiekowała się początkowo J. Maxymowicz-Raczyńska, a następnie płk Zygmunt Polak, który występował wobec administracji cmentarza jako krewny zmarłego posiadając dokumenty na nazwisko „Zygmunt Zawisza”.

Spotkano się z nie sprawdzonymi informacjami, iż w czasie okupacji mogiła Rydza-Śmigłego była rozkopywana. Niektórzy rozmówcy przypuszczają, że ciało jego mogło zostać przeniesione w inne miejsce.

Od chwili śmierci E. Rydza-Śmigłego minęło ponad 25 lat. Wszystkie główne osoby z otoczenia Rydza-Śmigłego nie żyją i brak jest dokumentów pisanych przez Rydza-Śmigłego i jego najbliższych współpracowników. Z tych względów istnieją znikome szanse wyjaśnienia wielu dalszych problemów i istotnych szczegółów z ostatnich miesięcy i dni jego życia. Przyczyny choroby i śmierci możliwe są do ustalenia tylko poprzez ekshumację i przeprowadzenie odpowiednich badań specjalistycznych.

kpt. mgr M. KOZŁOWSKI
por. mgr W. KRÓL

PROCES TATERNIKÓW

do użytku wewnątrzpartyjnego

Komitet Warszawski PZPR
Wydział Organizacyjny
Sektor Informacji

Nr 17/II/1882

INFORMACJA

z drugiego dnia procesu w sprawie
Macieja Kozłowskiego i innych

W drugim dniu procesu rozprawa została wznowiona o godz. 9-tej. W dalszym ciągu składał wyjaśnienia M. Kozłowski, który odpowiadał na pytania Sądu.

Wyjaśnienia oskarżonego Kozłowskiego składane na rozprawie w dniu 10 lutego dotyczyły:

1. Środków finansowych udzielanych przez Giedroycia oskarżonemu Kozłowskiemu i Tworkowskiej,
2. Formy działania i celów grupy – grupy zwanej przez oskarżonego „Młodej Polski Emigracyjnej”,
3. Roli Giedroycia w działalności i celach grupy,
4. Powiązań grupy z ludźmi pracującymi dla Radia Wolna Europa i roli w tych powiązaniach Giedroycia,
5. Kontaktów z Baumanem i Kołakowskim,
6. Kontaktów oskarżonego z ludźmi wskazanymi przez Giedroycia w Czechosłowacji,
7. Wyjaśnień oskarżonego odnośnie instrukcji Giedroycia dla M. Tworkowskiej, a dotyczącej zadań jakie wyznaczył Giedroyc do wykonania na terenie Czechosłowacji.

Po przerwie od godz. 12-tej do 12.30 – składał wyjaśnienia w dalszym ciągu oskarżony M. Kozłowski odpowiadając

8. na pytania Prokuratora i obrońców.

1. W czasie składania wyjaśnień oskarżony Kozłowski oznajmił, iż Giedroyc zwracał mu dwukrotnie koszty jego wyjazdu do Czechosłowacji, na ten cel oskarżony otrzymał około 700-800 franków (w różnych walutach). Potwierdził po ujawnieniu akt śledztwa, iż Giedroyc dawał pieniądze Tworkowskiej. Przyznał, iż otrzymał honorarium od wydawnictwa Dominique Holey w wysokości 200 franków za opracowanie dotyczące więźniów politycznych w Polsce. Przyznał również, iż usiłował nawiązać kontakt z redakcją La Nouvelle Observateur.

2. Ujawnił swoje liczne kontakty w Paryżu zarówno z grupą Polaków jak i Francuzów. W skład grupy Polaków, z którą kontaktował się wchodziło: Tworkowska, Winkler Szenberg, Mróz, Olga Henner i Głogoczewski. Co do charakteru tych kontaktów przyznał, iż miały charakter polityczny. Przyznał ponadto po ujawnieniu akt śledztwa, iż sam oskarżony jak jego koledzy traktowali się jako grupa „Młodej Polskiej Emigracji”. Określił przy tym cele tej grupy mówiąc, że dążyli do zmian w ramach ustroju socjalistycznego. Pierwszą formą oddziaływania na społeczeństwo polskie miał być przerzut książek i innych opracowań do kraju. W związku z realizacją swoich zadań uznali działalność Instytutu Literackiego jak również osobę Giedroycia za pomocną, ponieważ poglądy ich były zbieżne. Przyznał fakt kontaktów Giedroycia z całą grupą. W jednym ze spotkań ze strony redakcji Kultury udział wzięli, oprócz Giedroycia małżonkowie Hertzowie i Gustaw Grudziński.

Omawiając wyjazd Tworkowskiej do Polski wykazał zarówno zorganizowaną działalność grupy – 1/ Tworkowska wyjeżdżając do Polski otrzymała adresy osób z którymi miała się skontaktować w kraju, 2/ otrzymała określone zadanie.

3. Przerzut książek i ulotki pt. „Rządźcie się sami, wybierajcie się sami”, którą to ulotkę napisał oskarżony i która później była odczytana w Radio Wolna Europa, gdzie podano, że jest dokumentem pochodzącym z Polski. Tworkowska po powrocie złożyła całej grupie sprawozdanie z pobytu w Polsce. Przy omawianiu osób z którymi się kontaktowała

w kraju nie używała nazwisk, lecz określała je za pomocą pseudonimów. Oskarżony wyjaśnił, iż „Książę” był to pseudonim, który używali mówiąc o osobie Giedroycia (ponieważ Giedroyc pochodził faktycznie z książęcego rodu).

4. Przy omawianiu celów i działalności grupy podkreślony został udział Giedroycia. Zarówno przed wyjazdem Tworowskiej do Polski jak i po powrocie jej do Francji spotykał się Giedroyc z całą grupą początkowo w celu omówienia wyjazdu, a po powrocie w celu omówienia pobytu Tworowskiej w kraju. Jednym z celów wyjazdu Tworowskiej był sondaż opinii publicznej co do tego, jakie było zapotrzebowanie w kraju na „Paryską Kulturę”. Oskarżony wyjaśnił, iż przed wyjazdem Tworowskiej do Polski Giedroyc zwrócił uwagę na celowość zajęcia się problemem ściślejszych kontaktów między studentami, a robotnikami w Polsce. Oskarżony podziela pogląd Giedroycia, iż w Polsce istnieje duża przepaść między tymi grupami. Mówiąc o celach grupy oskarżony wyjaśnił, iż miała ona zamiar nawiązać kontakty z młodzieżą innych krajów socjalistycznych. Kontakty te uważali za konieczność chwili. Giedroyc z którym zamiar ten był konsultowany, był tego samego zdania co grupa.

Odpowiadając na pytania Sądu odnośnie powiązań grupy z rozgłośnią Wolnej Europy i Giedroyciem, oskarżony wyjaśnił, iż spotykając się w towarzyskich kontaktach, zastanawiali się nad możliwością współpracy z radiem Wolna Europa. W czasie tych spotkań była mowa również o Nowaku (szefie rozgłośni Wolnej Europy), jako osobie, którą celowe byłoby poznać. Podstawowym celem wyjazdu Tworowskiej do kraju było rozeznanie, co ludzie w Polsce pomyśleliby o kontaktach grupy z radiem Wolna Europa. Giedroyc był przeciwny związaniu się z instytucją Radia Wolna Europa, proponował natomiast nawiązanie kontaktu z poszczególnymi osobami pracującymi w rozgłośni.

Oskarżony w czasie swego pobytu w Monachium, za pośrednictwem swojej siostry, spotkał się z Borysem Lewickim – jak go określił, wybitnym znawcą zagadnień rosyjskich – autorem książki pt. „Terror i rewolucja”, przyznał również, iż

otrzymał od Giedroycia adresy osób mieszkających w Monachium a współpracującymi z radiem Wolna Europa, z którymi celowe byłoby spotkanie się.

5. Przyznał, o istniejących powiązaniach grupy z Kołakowskim, Baumanem. List, który został napisany do w/w był podpisany przez całą grupę. Grupa uważała Kołakowskiego i Baumana za wybitnych przedstawicieli polskiej nauki. Grupa przedstawiła się w „Liście” do w/w jako grupa młodych Polaków na emigracji. Zarówno Kołakowski jak Bauman odpisali na list w którym to zgodzili się z ich poglądem, że w Polsce jest wiele spraw wymagających naprawy. Kontakty z Kołakowskim i Baumanem były konsultowane z Giedroyciem i przez niego aprobowane.

6. Odnośnie swoich kontaktów z ludźmi w Czechosłowacji przyznał, iż w większości wypadków adresy osób z którymi miał się skontaktować, były wskazane przez Giedroycia. Tematyka zainteresowań oskarżonego odnośnie problemów w Czechosłowacji była konsultowana z Giedroyciem. Przyznał, iż np. Stachowa była później przez Giedroycia zaproszona do Paryża.

7. Odpowiadając na pytania dotyczące instrukcji przekazanej przez Giedroycia do M. Tworkowskiej nie potrafił wyjaśnić wielu zwrotów użytych przez Giedroycia w „liście”. Wyjaśnił, że z niektórymi zadaniami poleconymi przez Giedroycia nie zgadzał się, dlatego, że były niemożliwe do wykonania. I tak np. założenie radiostacji na terenie Jugosławii, którą to Giedroyc chciał obsadzić ludźmi z grupy, uważał w danej chwili za niemożliwe. Oskarżony twierdził, jeżeli było to możliwe to we wcześniejszym okresie. Dając wiele zadań, Giedroyc chciał się po prostu zorientować w sytuacji i tak np. sugerował spotkanie z Pawłem Jasienicą, w celu wybadania, co za człowiek. Oskarżony przyznał, iż z zadań, które polecił Giedroyc, uważał za szczególnie celowe napisanie artykułu o sytuacji w Czechosłowacji.

8. Odpowiadając na pytania Prokuratora wyjaśnił, iż w Paryżu wydawał artykuły pod pseudonimem Jan Max lub J. Makowski. Nie potrafił natomiast wyjaśnić skąd Giedroyc brał środki finansowe, skoro wydawnictwo, które prowadził, było jak sam oskarżony przyznał niedochodowe. Przyznał, iż cytował z dzieł Marksa do jednej z jego prac nadesłał mu Bauman do którego zwrócił się w „liście” jako znawcy marksizmu. Na pytanie obrońcy Łojewskiego oskarżony wyjaśnił, że jego ocena sytuacji w Czechosłowacji była taka sama jak i innych środowisk, ponadto również na pytanie obrońcy oskarżony wyjaśnił, iż uważa Giedroycia za osobę interesującą, która potrafi wywierać wpływ na swoich rozmówców.

W drugim dniu procesu oskarżony Kozłowski zakończył składanie wyjaśnień.

Na sali było obecnych około 160 osób, nie licząc przedstawicieli prasy. Zainteresowanie obecnych przebiegiem procesu było duże. Zarówno na sali jak i w pomieszczeniach przyległych panował wzorowy porządek.

/z inf. Wydz. Administracyjnego KW PZPR/
SEKTOR INFORMACJI PARTYJNEJ

Warszawa, dn. 11.II.1970 r.

Otrzymują:

– Sekretarze KW PZPR

– Kier. Wydz. Adm. KC PZPR – tow. St. Kania



INFORMACJA

o przebiegu procesu grupy osób współdziałających
z paryską „Kulturą” rozpoczętego 9.II.1970 r.

Proces toczy się przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy.

Na ławie oskarżonych zasiadają:

M. Kozłowski – pochodzenie inteligenckie, mgr archeologii, absolwent Studium Dziennikarskiego UW, bezpartyjny,

M. Tworkowska – pochodzenie inteligenckie, wykształcenie średnie, lektorka języka francuskiego, bezpartyjna,

K. Szymborski – pochodzenie inteligenckie, st. asystent w Instytucie Fizyki Doświadczalnej UW, bezpartyjny,

J. Karpiński – pochodzenie inteligenckie, mgr filozofii, b. st. asystent Wydz. Filozofii UW, bezpartyjny,

M. Szpakowska – pochodzenie inteligenckie, mgr filozofii, doktorantka Wydz. Filozofii UW, bezpartyjna.

Czterem oskarżonym zarzuca się utworzenie nielegalnej organizacji i działanie, w porozumieniu z paryską „Kulturą”, na szkodę interesów politycznych PRL (według nowego kodeksu karnego przestępstwo to zagrożone jest karą od 6 mcy do 5 lat). Natomiast osk. Szpakowska stoi pod zarzutem opracowywania i kolportażu wrogich socjalizmowi materiałów (według nowego k.k. przestępstwo to zagrożone jest karą od 1-10 lat).

Rozprawa jest jawna. Obowiązują imienne karty wstępu. Na sali jest codziennie ponad 100 osob. Wśród publiczności są przedstawiciele warszawskich zakładów pracy, uczelni, organizacji młodzieżowych oraz rodziny oskarżonych. Reakcja

publiczności podczas rozprawy jest prawidłowa. W trakcie przerw publiczność żywo komentuje przebieg procesu, potępiając wrogą działalność oskarżonych.

Obok dziennikarzy krajowych w rozprawie uczestniczą korespondenci zagraniczni z ZSRR, CSRS, NRD, Danii, Francji i Finlandii. Postawa dziennikarzy zagranicznych jest właściwa.

Prasa krajów socjalistycznych zamieszcza bieżące informacje o procesie, akcentując dywersyjną rolę paryskiej „Kultury”. W prasie CSRS podkreśla się, że oskarżeni w swej przestępczej działalności korzystali z pomocy niektórych obywateli tego kraju.

Relacje w prasie krajów kapitalistycznych są, jak dotąd, powściągliwe i mają raczej charakter informacyjny. Radio Wolna Europa w swoich audycjach mówi o procesie w sposób napastliwy.

Z posiadanych informacji wynika, że sprawozdania prasy krajowej z procesu spotykają się z dużym zainteresowaniem społeczeństwa polskiego.

W dniu rozpoczęcia rozprawy na korytarzu sądowym zgromadziło się około 30-tu ludzi bez kart wstępu. Wśród nich było kilka osób znanych z okresu wydarzeń marcowych (Michnik, Smolar, Bogucka, Toruńczykówna, Blajfer, Kretkowski, Szpotański i Lipski). Przeciwno Michnikowi, który utrudniał pracę służbie porządkowej, został skierowany wniosek o ukaranie do Kolegium. W następnych dniach nie notowano gromadzenia się publiczności na korytarzu.

Dotychczas sąd wysłuchał wyjaśnień oskarżonych, przesłuchał wszystkich świadków oraz wysłuchał opinii biegłego dr J. Kolczyńskiego (dyrektor Ośrodka Badania Stosunków Wschód-Zachód), który w bogato udokumentowanym wywodzie omówił oblicze polityczne, rolę i zadania paryskiej „Kultury” w systemie imperialistycznej dywersji.

Oskarżeni Kozłowski, Szymborski i Tworowska przyznali się do winy i złożyli sądowi obszernie wyjaśnienia obrazujące ich przestępczą działalność. Osk. Szpakowska stwierdziła, że do winy się nie poczuwa, ale potwierdziła stawiane jej zarzuty. Osk. Karpiński, który już w trakcie śledztwa odmawiał jakichkolwiek zeznań, w swoich wyjaśnie-

niach przed sądem ograniczył się do krótkiego oświadczenia, w którym stwierdził między innymi, że on i jego koledzy zasiadają na ławie oskarżonych tylko dlatego, bo nie można na niej posadzić Giedroycia i paryskiej „Kultury”. Stwierdził on również, że nie będzie odpowiadał na żadne pytania sądu i prokuratora.

Dotychczasowy przebieg procesu sądowego potwierdził w pełni, że:

- oskarżeni w porozumieniu z Giedroyciem utworzyli w Paryżu nielegalną grupę, która podjęła aktywną działalność przeciwko Polsce Ludowej. Przedstawiciele „grupy paryskiej” (Kozłowski, Tworkowska, Szymborski) nawiązali bezpośrednie kontakty z grupą osób w kraju (do grupy tej, nazywanej przez oskarżonych „warszawską”, należeli między innymi oskarżeni Karpiński i Szpakowska) i przy ich pomocy zorganizowali przygotowywanie i przerzucenie do paryskiej „Kultury” materiałów szkalujących ustrój i władzę PRL. Członkowie „grupy paryskiej” i „warszawskiej” utworzyli „kanał przerzutowy” w Tatrach, poprzez który przerzucali materiały za granicę oraz przemycali do Polski i kolportowali wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu;

- wykonując polecenie Giedroycia oskarżeni Kozłowski i Tworkowska wyjeżdżali kilkakrotnie do Czechosłowacji, gdzie spotykali się z osobami zaangażowanymi w działalność kontrrewolucyjną (między innymi z J. Ledererem, Mravecem – członkiem prezydium Związku Studentów, L. Krumniklową – dziennikarką, ostatnio aresztowanymi przez władze CSRS). Przekazywali im stawiane przez Giedroycia zadania, między innymi odnośnie utworzenia nielegalnego pisma dla żołnierzy wojsk radzieckich w CSRS i zorganizowania w Jugosławii międzynarodówki młodzieży nastawionej wrogo do socjalizmu. Zbierali od kontrrewolucjonistów czechosłowackich dla Giedroycia informacje o nastrojach w społeczeństwie i wojsku CSRS;

- oskarżeni Kozłowski i Tworkowska przyznali przed sądem, że Giedroyc przekazywał im pieniądze na cele organizacyjne i finansował ich nielegalne wyjazdy do Polski i CSRS;

- osk. Szymborski krytycznie ocenił przed sądem swoją działalność, stwierdzając, że nie zdawał sobie w pełni sprawy

z dywersyjno-szpiegowskiego charakteru poczynañ paryskiej „Kultury” i konsekwencji swego zaangażowania po stronie sił, których cele nie były mu w pełni znane. Stwierdził, że po zapoznaniu się w toku śledztwa z instrukcją J. Giedroycia, odsłaniającą prawdziwe oblicze „Kultury”, uważa swą dotychczasową postawę za niewłaściwą.

Natomiast pozostali oskarżeni (Kozłowski, Tworkowska i Szpakowska) przyznając się do zarzucanych im czynów, stwierdzali, że ich zdaniem paryska „Kultura” nie jest ośrodkiem dywersji politycznej wymierzonej przeciwko socjalizmowi.



Przewód sądowy został w dniu dzisiejszym (tj. 18.II) zamknięty. Obecnie nastąpią przemówienia prokuratora, obrońców oraz ostatnie słowo oskarżonych.

Kolejną informację przedstawimy po ogłoszeniu wyroku.

WYDZIAŁ ADMINISTRACYJNY KC PZPR

Warszawa, dnia 18.II.1970 r.

DEKLARACJA POLSKO-UKRAIŃSKA Z 1979 R. NA TLE HISTORYCZNYM

W wyniku kilkuletniej wymiany poglądów rządów Rzeczypospolitej Polskiej i Ukraińskiej Republiki Narodowej na obczyźnie, podpisano w Londynie, Anglia, 28 XI 1979, Deklarację o współpracy obu rządów, zmierzającej do odzyskania niepodległości obu narodów uciemnionych przez Rosję sowiecką od r. 1920 (Ukraina) bądź 1945 (Polska). Tekst Deklaracji, podpisanej ze strony rządu RP przez prezydenta

E. Raczyńskiego, premiera K. Sabbata i śp. wiceministra spraw zagranicznych T.A. Laskę, ze strony ukraińskiej przez prezydenta Ukraińskiej Republiki Narodowej M. Liwickiego, premiera T. Leontyja i ministra spraw zagranicznych UNR J.B. Rudnyckiego, jest następujący:

Obie strony, po wymianie poglądów i omówieniu sytuacji międzynarodowej oraz sytuacji w ich krajach, zdecydowały podpisać niniejszą Deklarację, która zawiera ich uzgodnione poglądy.

Zważywszy:

1) że dominacja Moskwy nad narodami europejskimi w granicach i poza granicami Związku Sowieckiego stawia te narody wobec wspólnego celu wyzwolenia z ucisku imperia-
lizmu sowieckiego, zagrażającego ich rozwojowi i przyszłości;

2) że powyższe warunki stwarzają więzy solidarności między narodami pod dominacją sowiecką, posiadającymi wolę niezależnego bytu i wywalczenie własnego wolnego i
niepodległego państwa;

3) że wspólny cel wywalczenia wolności oraz wola nie-
podległego bytu państwowego, a w szczególności wola
zwalczania imperializmu Moskwy w każdej jego odmianie,
łączą narody Polski i Ukrainy i kształtują ich wzajemny
stosunek;

4) że w istotnym interesie Polski i Ukrainy leży wolność
i niepodległość wszystkich walczących o nie narodów we
wschodniej części Europy, dziś pod dominacją sowiecką,
ponieważ wolność całego obszaru jest niepodzielna i zamiast
obcej dominacji panować powinny na tym obszarze – wyni-
kające ze wzajemnego szacunku, solidarności i demokra-
tycznej równości narodów – sprawiedliwość społeczna i
poszanowanie praw narodu i jednostki;

5) że solidarność, zrodzona we wspólnej walce z im-
perializmem, nie ma charakteru koniunkturalnego, lecz w in-
teresie wszystkich narodów tej części Europy leży jej utrzy-
manie po osiągnięciu naszego wspólnego celu, gdyż solidar-
ność jest jednym z nieodzownych warunków zabezpieczenia
naszego obszaru Europy przed odwetem lub odrodzeniem
imperializmu;

6) że solidarność jest też podstawą stabilizacji politycznej wspomnianego wyżej obszaru Europy, niezbędnej dla przyszłych poprawnych stosunków z zachodem i wschodem Europy, opartych na wzajemnym poszanowaniu słuszných interesów.

Strony stwierdzają co następuje:

W żywotnym interesie Narodu Polskiego i Narodu Ukraińskiego odwiecznie ze sobą sąsiadujących, a pozbawionych dziś wolności i niepodległego bytu, leży wywalczenie i trwałe zabezpieczenie państwowego bytu wolnych i niepodległych Polski i Ukrainy.

Oba rządy uważają za pożądane utrzymanie wzajemnych kontaktów dla wzmocnienia współpracy.

RELACJA O ŚMIERCI MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

W czasie licznych spotkań z O. Mirewiczem w ciągu wielu lat znajomości rozmawialiśmy często o sprawach bieżących, a między innymi o książce ks. Józefa Warszawskiego SJ: „Studium nad wyznaniowością religijną Marszałka Józefa Piłsudskiego”. O. Mirewicz nie podzielał poglądów wyrażonych w tej pracy (w czym byliśmy zgodni) i w związku z tym udostępnił mi kopię poniższego listu prymasa Wyszyńskiego do niejakiego Jana Gaździckiego w sprawie odprawienia na tamten świat Marszałka przez ks. Kornilowicza.

Z.S. SIEMASZKO

Znak prymasa Polski

Warszawa, dnia 6 czerwca 1977 r.
Nr 1187/77/P.

Szanowny Pan
Jan Gaździcki
Warszawa

Dziękuję za list z dnia 13 maja 1977 roku. Z rozległej problematyki w nim poruszonej, pragnę dotknąć jednego – ostatnich chwil życia ś.p. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Może posłużą za odpowiedź na temat polemiki, toczonej w sprawie wyznania religijnego Marszałka. Dotychczas milczałem o tym, ale lękałem się, by to, co wiem, nie było ukryte przed oczyma Prawdy.

Ks. Władysław Korniłowicz, człowiek wysokiej kultury duchowej i sumienności, opowiadał mi dwa razy to, co następuje. Udzielał on sakramentu małżeństwa synowi Wacława Sieroszewskiego. Na przyjęciu u pp. Sieroszewskich spotkał się ks. Korniłowicz z Marszałkiem Piłsudskim. Zwrócił się on do Ks. Prałata Korniłowicza z następującymi słowami: „Ksiądz Prałat tak rzetelnie przygotował Młodych do sakramentu małżeństwa. Proszę pamiętać i o mnie, gdy przyjdzie chwila na ostatnią posługę”. Był przy tym obecny dr Antoni Stefanowski, którego i ja znałem z najlepszej strony.

Gdy przyszedł moment tragiczny w Belwederze, dr Stefanowski zaprosił Ks. Prałata Korniłowicza do łóża Umierającego. Zgromadzeni w holu Belwederu oficerowie zagrodzili drogę Obydwu. Ale ks. Korniłowicz energicznie odsunął Oficerów i razem z dr Stefanowskim weszli do pokoju, gdzie przebywał Marszałek Piłsudski.

Dalszą relację postaram się odtworzyć możliwie dokładnie: „Gdy wszedłem do pokoju – mówił Ks. Prałat – widziałem Marszałka leżącego z przymkniętymi oczami, głośno oświadczyłem kim jestem i po co przychodzę. Marszałek otworzył oczy i poznał mnie. Usiłował podać mi rękę, jednak nie mógł.

Skierowałem do Marszałka kilka słów pociechy, jakie

zwykł kapłan kierować do Umierającego. Po czym zapowiedziałem że udzielę rozgrzeszenia.

Marszałek ponownie uniósł dłoń i spojrzał na Wizerunek Matki Bożej Ostrobramskiej, wiszący nad łóżkiem. Po czym uczynił znak Krzyża świętego. Jeszcze chwilę pozostałem przy łożu i udzieliłem Marszałkowi Namaszczenia olejami świętymi chorych. Po krótkiej modlitwie wycofaliśmy się obydwaj z doktorem Stefanowskim”.

Relację tę słyszałem dwa razy z ust Ks. Prałata Korniłowicza w latach przedwojennych.

Wyrazy należnego szacunku łączę

Ks. Stefan Kardynał Wyszyński
Prymas Polski

WSPOMNIENIA

ZAZNAŁAM W ŻYCIU TYLE DOBROCI...

Z MYCHAJŁYNĄ KOCIUBYŃSKĄ ROZMAWIAJĄ
BOGUMIŁA BERDYCHOWSKA I ALEKSANDRA
HNATIUK

Bogumiła BERDYCHOWSKA, Aleksandra HNATIUK:
– *Jak wyglądał Pani dom rodzinny, środowisko, w którym
Pani wyrastała?*

Mychajłyna KOCIUBYŃSKA: – Urodziłam się w Winnicy w grudniu 1931 roku, w budynku, w którym mieściło się muzeum Mychajły Kociubyńskiego¹. Był to mały domek w centrum miasta. Budynek ten przetrwał wojnę i również dzisiaj jest tam muzeum. Zachowały się także niektóre drzewa w ogrodzie. W centrum dzisiejszej Winnicy stoi ten domek w otoczeniu drzew i kwiatów, które tak lubił Kociubyński, tworząc wrażenie miejsca niezwykle zacisznego i przytulnego.

1. Mychajło Kociubyński (1864-1913) – najwybitniejszy prozaik okresu modernizmu, autor m.in. noweli „Kwiecie jabłoni”, opowieści „Cienie zapomnianych przodków”, poematu prozą „Intermezzo”. W Polsce ukazały się „Utwory wybrane” (t.1-2, 1954).

Urodziłam się więc w tym domu, dokładnie w tym samym pokoju, gdzie wcześniej urodził się Mychajło Kociubyński.

Moi rodzice byli organizatorami pierwszego po rewolucji muzeum literackiego na Ukrainie, właśnie tego muzeum w Winnicy. Ojciec był młodszym bratem Mychajły. Kiedy się urodziłam, ojciec miał już 62 lata – byłam późnym dzieckiem z drugiego małżeństwa ojca. Jego dzieci z pierwszego małżeństwa mogłyby być moimi rodzicami. Kiedy przyszłam na świat, moja mama była już dojrzałą kobietą, niemniej była o dwadzieścia cztery lata młodsza od ojca. Ojciec nie otrzymał gruntownego wykształcenia. Ukończył w Moskwie Ludowy Uniwersytet Szaniawskiego – nie była to formalna edukacja; takiej ojciec nie posiadał. Nie można więc było powiedzieć o nim, że był kwiatem inteligencji. Ale miał talent gospodarza i praktyczny zmysł, przez wiele lat pracował jako urzędnik akcyzy. Dość długo mieszkał w Petersburgu, był członkiem ukraińskiego bractwa, przewodził towarzystwu „Trzeźwość”. Później przeniósł się na Ukrainę i zarządzał majątkiem księcia Sanguszki w Sławucie. W ogóle właściwie przez całe życie był urzędnikiem. Ale jego życiowym powołaniem było ogrodnictwo. Wszędzie gdzie mieszkał, natychmiast zakładał ogród i osiągał niezwykle rezultaty: hodował jakieś nowe, przepiękne gatunki kwiatów. Warzywa, posadzone jego ręką były niespotykane, na przykład kiedy posadził dynie, to ich owoce były tak wielkie, że sięgały człowiekowi do pasa; gdy uprawiał pomidory, to jeden owoc potrafił ważyć kilogram (ojciec był zresztą z takimi pomidorami na jakiejś wystawie). Zawsze mnie to intrygowało, jak mu się udawało wyczyniać takie dziwy z roślinami. Do tej pory nie wiem, na czym to polegało. W dzieciństwie wydawało mi się, że ojciec jest czarodziejem; poczucie to z biegiem lat nie zniknęło.

Po rewolucji ojciec został dyrektorem sierocińca w Kijowie. Właśnie tam poznał moją matkę. Moja mama była Ormianką z Krymu. Pochodziła z dość zrusyfikowanego środowiska ormiańskiego. Matka uczyła się w Petersburgu na Wyższych Kursach Bestużewa dla Panien – pierwszych tego typu kursach w Rosji. Poziom nauczania był bardzo wysoki, wykładowcy stanowili kwiat inteligencji rosyjskiej. Po ukoń-

czeniu Kursów mama pracowała najpierw jako guwernantka w Donbasie, a później, już w czasach sowieckich, została wychowawczynią we wspomnianym już sierocińcu w Kijowie, w którym pracował również mój ojciec. Tam się poznali, wtedy również pobrali się i matka zaczęła „przyuczać się” do ukraińskości. Myślę, że podstawowymi powodami jej zainteresowania problematyką ukraińską była z jednej strony twórczość Kociubyńskiego, z drugiej zaś osoba i twórczość Tyczyny².

B.B.-A.H.: – *A miłość do pani Ojca?*

M.K.: – Myślę, że mój ojciec nie miał wielkiego udziału w jej zainteresowaniu tą problematyką. W ogóle nie mogłabym powiedzieć, że był uosobieniem ukraińskości. Oczywiście, znał język ukraiński, ale nie był entuzjastą kultury ukraińskiej. Matka trafiła więc do kultury ukraińskiej samodzielnie. Na pewno pomogło jej to, że miała dobrą szkołę filologiczną. Myślę, że dzięki temu wykształceniu bardzo szybko nauczyła się języka ukraińskiego. Później zaś poznała twórczość Kociubyńskiego, świetnego przecież prozaika. Kociubyński z całą pewnością był doskonałym podręcznikiem kultury ukraińskiej. No i ten drugi element – osoba Tyczyny. Bywał u nas w domu, a był to jego, jako poety, najlepszy czas. Jego ówczesna poezja jest rzeczywiście świetna. Teraz mi się wydaje, że moja matka była w nim po prostu zakochana. Tak więc moja mama nauczyła się języka ukraińskiego i potem, już w Winnicy, uczyła go nawet w jakiejś szkole. Była na przykład nauczycielką Mychajły Stelmacha³. Zawsze mnie to

2. Pawło Tyczyna (1891-1967) – jeden z najwybitniejszych poetów ukraińskich XX wieku. Debiutował tomem „Soniaszni klarnety” (1918), utrzymanym w poetyce symbolizmu. W latach dwudziestych odchodzi od symbolizmu, tworzy przejmujące utwory, m.in. „Wiatr z Ukrainy”, „Zamiast sonetów i oktaw”. Po 1933 roku stał się czołowym przedstawicielem socrealistycznej poezji.

3. Mychajło Stelmach (1912-1983) – poeta i prozaik. Początki jego twórczości przypadły na okres stalinowski. W późniejszych utworach odchodzi od kanonu socrealizmu (powieści „Prawda i krzywda”, 1961, pol. tłum. „Ziarno i plewa”, 1967, „Czotyry i brody”, 1979).

bardzo bawiło, bo kto tutaj miał kogo uczyć: Stelmach moją mamę czy mama Stelmacha? Przecież Stelmach znał język ukraiński od urodzenia i to znał go świetnie. Niemniej wiem skądinąd, że Stelmach niezwykle ją szanował. To znaczy, że jednak coś istotnego przekazywała swoim uczniom.

Wyrastałam więc w winnickim muzeum, wśród ciągłych wycieczek, nauczycieli, wieśniaków – tak jak to bywało w sowieckich czasach, kiedy tak kolektywnie przyuczali ludzi do kultury. Ten winnicki okres w moim życiu pamiętam jak przez mgłę, ponieważ kiedy skończyłam trzy i pół roku, mojego ojca przeniesiono do Czernihowa, gdzie miał zorganizować następne muzeum Mychajły Kociubyńskiego. Z tymi przenosinami do Czernihowa było wiele problemów, bo były to lata trzydzieste. Nie znam wszystkich szczegółów, ojciec nigdy mi o nich nie mówił, zresztą nie bardzo się nimi interesowałam, póki ojciec żył. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że część osób, wchodzących w skład Rady Muzeum, była zamieszana w proces Związku Wyzwolenia Ukrainy, który przeprowadzono w 1929 roku. Podobno oskarżano wówczas moją mamę o ukraiński burżuazyjny nacjonalizm i o jakieś konszachty ze Związkiem Wyzwolenia Ukrainy. O tym ostatnim fakcie dowiedziałam się zupełnie niedawno, kiedy byłam na konferencji naukowej w winnickim muzeum Kociubyńskiego. Mówiła mi o tym jedna z jego uczestniczek, historyk. Po jej referacie zapytałam ją czy wie, jakiej narodowości była moja matka. Na to ona: „Jak to jakiej? Była Ukrainką”. Dopiero ode mnie dowiedziała się, że mama była Ormianką. Ta sprawa mojej mamy dobrze charakteryzuje atmosferę lat trzydziestych na Ukrainie.

Tak więc, jak powiedziałam, przenieśliśmy się do Czernihowa i ojciec zaczął organizować muzeum. Dobrze pamiętam, że wszystko tam moi rodzice robili własnoręcznie; przygotowywali pierwsze tablice, ojciec sam porządkował sad, malował dach. Bardzo szybko to miejsce dosłownie rozkwitło. Zawsze mieliśmy dużo zwiedzających. Ludzie przychodzili, zwabieni nie tyle samą ekspozycją, co jakąś ogólną atmosferą, panującą w muzeum. Moi rodzice organizowali wieczory literackie, pamiętam, że na naszej werandzie zbierali się pisarze czernihowscy. Często przyjeżdżali do nas literaci z Kijowa,

przede wszystkim Jurij Meżenko⁴, Pawło Tyczyna, Maksym Rylski⁵, Wołodymyr Sosiura⁶. Odwiedzali nas również kijowscy aktorzy i artyści. Mieliśmy bardzo bliskie kontakty z miejscowym teatrem. Pamiętam, że wielkim wydarzeniem kulturalnym w Czernihowie było wystawienie, bodajże w 1937 roku, „Fata Morgany” w inscenizacji Jakiwa Mamontowa⁷ ze scenografią Wadyma Meller⁸. Nie wiem, jak dzisiaj oceniałbym ten spektakl, ale wtedy wydawał mi się niezwykle malowniczy i prawdziwy. Mieliśmy również bardzo bliskie stosunki z Leningradem; rodzice przyjaźnili się z leningradzkim pisarzem Wołodymyrem Bocianowskim. Często bywał u nas rzeźbiarz Illa Ginzburg⁹, który *nota bene* znał osobiście Mychajłę Kociubyńskiego. Poznał go u Gorkiego na Capri. Ginzburg wykonał dla muzeum popiersie Kociubyńskiego, które do dzisiaj znajduje się w czernihowskim muzeum. Wiedliśmy bardzo aktywne życie towarzyskie i artystyczne.

4. Jurij Meżenko (1892-1969), ukr. i ros. bibliograf, historyk literatury, czołowy krytyk symbolistów w latach dwudziestych. W latach 30-ych, uciekając przed represjami, przeniósł się do Leningradu. Do Kijowa wrócił dopiero po wojnie.

5. Maksym Rylski (1895-1964) – poeta i tłumacz. Debiutował w 1918 r. tomikiem symbolistycznym – „Pid osinnimy zoriamy”. W latach dwudziestych był jednym z przedstawicieli poezji neoklasycystycznej. Wiersze z lat 1932-1956 utrzymane były w konwencji socrealistycznej. Tom „Hołosijiwska osiń” zapoczątkował odnowę poezji ukraińskiej. Przekład Rylskiego „Pana Tadeusza” uznawany jest za kongenialny.

6. Wołodymyr Sosiura (1898-1965) – poeta. Od początku lat dwudziestych piewca rewolucyjnych przemian na Ukrainie. Wiersz „Lubit’ Ukrainu” przysporzył mu jednak wiele kłopotów. Był to utwór, będący świadectwem wewnętrznej niezgody autora na rzeczywistość.

7. Jakiw Mamontow (1880-1940) – dramaturg, autor dramatów symbolistycznych („Dies irae”, 1922, „Ave Maria”, 1924) i modernistycznych („Respublika na kołesach”, 1927). W latach 30-ych jego sztuki zdjęto z repertuaru teatrów.

8. Wadym Meller (1884-1962) – scenograf. W latach 20-30-ych był scenografem charkowskiego teatru „Berezil”. Po wojnie pracował w Kijowie.

9. Illa Ginzburg (1859-1939) – rzeźbiarz. Twórca pomnika Mikołaja Gogola w jego rodzinnej wsi Welyki Soroczyni (1911), Ajwazowskiego w Feodosiji (1914-1930) i Mychajły Kociubyńskiego w Czernihowie (1939).

Tak to trwało do 1941 roku, do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Kiedy wybuchła wojna, to jakoś było dla nas wszystkich oczywiste, że trzeba się ewakuować. Na początku nam, podobnie jak wszystkim, proponowano, by spakować najpotrzebniejsze rzeczy i jak najszybciej wyjechać. Ale ojciec powiedział, że bez muzeum nigdzie nie pojedzie. I natychmiast zaczął dobijać się, by przydzielono nam cały wagon, co umożliwiłoby ewakuację całego muzeum. To była rzadka postawa i tylko dzięki niespotykanej wytrwałości mojego ojca dano mu w końcu ten wagon. Dość długo to trwało, ale wagon dostał, wprawdzie było już bardzo późno, bo Niemcy podchodzili już do Czernihowa. Pamiętam, że skończyliśmy już załadunek wagonu 21 lub 22 sierpnia, a 12 września Niemcy wkroczyli do Czernihowa. Zabraliśmy najcenniejsze eksponaty muzealne, łącznie z popiersiem wykonanym przez Ginzburga. Kiedy załadowano już wagon, dworzec w Czernihowie był zbombardowany, wszystko dookoła paliło się i to, że nam się nic nie stało, to prawdziwy cud. (A trzeba wiedzieć, że po wojnie w centrum Czernihowa nie pozostał ani jeden piętrowy budynek). Na tym zbombardowanym dworcu staliśmy trzy dni i dwie noce. Byliśmy przekonani, że już nigdzie nie wyjedziemy, że tu zginimy. Charakterystyczny szczegół: co było dla moich rodziców najważniejsze – to oczywiście rękopisy Kociubyńskiego. Znajdowały się one w okutej żelazem zielonej skrzyni i kiedy było największe bombardowanie, to najgłębiej chowano tę skrzynię, na tej skrzyni kładziono mnie, a na mnie kładli się mój ojciec i matka. Ta skrzynka była więc dla moich rodziców równie ważna, jak ja. Moi rodzice nie odróżniali swojego życia od życia muzeum.

Staliśmy na tym zbombardowanym dworcu i właściwie zdecydowaliśmy już, że następnego dnia weźmiemy samochód (choć nie bardzo było wiadomo skąd go wziąć) i wrócimy do Czernihowa. I tu wtrąciła się jakaś wyższa siła. Jeden z ostatnich, a może w ogóle ostatni pociąg sanitarny, który przejeżdżał przez Czernihów, nie pytając nikogo o zdanie, przyłączył do swojego składu nasz wagon. Kiedy obudziliśmy się, nasz wagon jechał już na wschód. Później ojciec

dogadał się z naczelnikiem tego pociągu, że my będziemy przebiegać się do Baszkirii, do Ufy, gdzie ewakuowano wcześniej Akademię Nauk Ukrainy. Nietrudno sobie wyobrazić, jak to wszystko trwało długo i jak ciężka była ta droga. Dopóki jechaliśmy przez Ukrainę, zawsze ktoś dawał nam coś do zjedzenia, potem jednak z żywnością było coraz ciężej. Na szczęście ojciec miał worek sucharów i trochę cukru. Przez większą część drogi żywiliśmy się tymi rozmoczonymi sucharami, a jechaliśmy prawie półtora miesiąca. Na stacji Wałujki na Charkowszczyźnie zapakowano do naszego wagonu chyba z dwudziestu uciekinierów. Warunki jazdy były bardzo ciężkie, ale cóż było robić? Ludzie po drodze umierali, gubili się. W końcu dostaliśmy się do Ufy. Ojciec poszedł do akademika Ołeksandra Bohomolca, który był wówczas prezesem Akademii Nauk Ukrainy. Po rozmowie z Bohomolcem przyłączono nas do Akademii, to znaczy staliśmy się jej oficjalną jednostką. Dzięki temu moi rodzice otrzymywali jakąś pensję, a co najważniejsze dostaliśmy kartki na chleb. Skład personalny muzeum wyglądał w następujący sposób: ojciec, matka, stróż, który przyjechał z nami z Czernihowa i księgowa, którą była żona Pawła Tyczyny (głównie po to, aby mieć kartkę na chleb). Znaleźliśmy jakiś dom, w którym wydzielono dla muzeum osobny pokój. I tak to muzeum funkcjonowało w składzie Akademii. Muszę powiedzieć, że nie było to fikcyjne, bo właśnie tam, w Ufie, wydano zeszyt naukowy muzeum pod tytułem „Kociubyński i zachodnia Ukraina”.

W czasie wojny Ufa była taką małą Ukrainą. W domu mieliśmy duży piec, a że ojciec na ewakuację zabrał worek kartofli, to w tym dużym piecu piekliśmy ziemniaki, kiedy przychodzili do nas znany filolog Serhej Maśłow, pisarze Jurij Janowski¹⁰, Maksym Rylski, żydowski poeta Dawid Hofstein, historyk Hlib Łazarewski (ze znanej w ukraińskiej kulturze rodziny Łazarewskich), autor niezwykle interesujących wspomnień, wydanych dopiero niedawno. Pierwszymi jego

10. Jurij Janowski (1902-1954) – pisarz, autor opowiadań i powieści utrzymanych w tonacji neoromantycznej (m.in. „Majster korabla”, 1928; „Jeźdźcy”, 1935, wyd. pol. 1982).

śluchaczami byli moi rodzice i ja, dziesięcioletnie wówczas dziecko. Podczas spotkań toczyły się niezwykle interesujące rozmowy. Tamtejsza społeczność ukraińska organizowała mnóstwo koncertów, bardzo aktywni byli ukraińscy aktorzy. Pierwsza ufińska zima była bardzo ciężka, później było już łatwiej. W Ufie chodziłam do szkoły, do trzeciej, czwartej i piątej klasy.

Z tamtych czasów pamiętam jedynie oderwane od siebie wydarzenia – niczym kadry z filmu. Przypominam sobie na przykład, jak pewnego wieczoru – to był pierwszy rok okupacji Kijowa przez Niemców – przyszedł do nas Pawło Tyczyna i przeczytał ten wiersz „Hołos materi”: *Straszna buła w zymni nicz....* W tym wierszu jest wizja okupowanego Kijowa; wszyscy zaczęli płakać, ja również płakałam, i sam Tyczyna też płakał. Wszyscy w dwójnasób odczuli swoje oderwanie od Ukrainy, niepewność losu. To był jakiś rodzaj patriotyzmu sowieckiego. O ten sowiecki patriotyzm sprzeczą się z Jewhenem Swerstiukiem¹¹. Swerstiuk uważa, że nigdy nie istniało coś takiego, jak sowiecki patriotyzm. Ale ja doskonale pamiętam, jak bardzo ludzie, którzy się u nas schodzili, przeżywali to, że Ukraina jest pod niemiecką okupacją, oni nie chcieli tych Niemców. Pomimo, że byłam wówczas dzieckiem, doskonale to pamiętam. Nie będę się upierać przy określeniu „patriotyzm sowiecki”, nie wiem, jak nazwać te uczucia, ale z całą pewnością ci ludzie byli ogarnięci falą patriotyzmu. Właśnie na tej fali patriotyzmu narodził się wspomniały wiersz Tyczyny „Pochoron druha”. To był absolutnie szczery wiersz. Nikt mu go nie narzucał.

Gdzieś w 1943 roku Akademia i pisarze wyjechali do Moskwy, my pozostaliśmy jeszcze w Baszkirii, ale kiedy tylko pierwsze skrawki Ukrainy zostały wyzwolone, ojciec zdecydował, że wracamy. Był rok 1944, wciąż trwała wojna i było

11. Jewhen Swerstiuk (ur. 1928) – pisarz, autor zbiorów esejów (m.in. „Sobor u rysztowani”, 1968; „Błudni syny Ukrajiny”, 1993; „Szewczenko i czas”, 1996). W latach 1972-1983 więziony w łagrach za literacką i społeczną działalność. W latach 80-ych zaangażowany w odnowienie cerkwi autokefalicznej. Prezes ukraińskiego PEN-Clubu.

bardzo niebezpiecznie, ale my wróciliśmy. Pamiętam, że w Niżynie niedaleko Czernihowa trafiliśmy w środek wielkiego bombardowania. Bomby padały tak gęsto, że nie wiem jakim cudem udało się nam wyjść z tego cało. Wróciliśmy do Czernihowa, do naszego budynku, który, choć zaniedbany, to jednak ocalał, głównie dlatego, że w czasie wojny mieściło się tu starostwo. Ojciec wziął się natychmiast do intensywnej pracy. Zaczęto rekonstrukcję czernihowskiego muzeum. I znów było tak jak przed wojną: dużo wycieczek, goście, a ogród wokół muzeum odzyskał swoją przedwojenną świetność. Nie był to zwykły ogród; został pomyślany jako swoista „zielona ekspozycja”. Rosły tu ulubione kwiaty i rośliny Kociubyńskiego, które widział podczas swoich licznych podróży, o których pisał. Tak więc dodatkiem do zieleni były cytaty z jego utworów, o agawie, o winogronach, o malwie – tu przywołano wspomnienie Maksyma Gorkiego o tym, jak Kociubyński goszcząc u niego na Capri ujrawszy malwę, zdjął kapelusz, uklonił się i rzekł: „Jak tam zdrowie? Jak się mieszka na obczyźnie?”.

Latem 1949 roku ukończyłam szkołę i od razu pojechałam studiować filologię ukraińską w Uniwersytecie Kijowskim. Już w czasie studiów, na każde wakacje wracałam do Czernihowa, gdzie pracowałam jako przewodnik w naszym muzeum. Studia ukończyłam w 1954 roku. Od razu po studiach rozpoczęłam studia doktoranckie. Doktorat pt. „Poetyka Szewczenki a ukraiński romantyzm” napisałam u akademika Ołeksandra Biłeckiego¹². Chociaż jeszcze jako aspirantka wykładałam (i to z powodzeniem) teorię literatury na wydziale filologicznym, to nie zaproponowano mi pracy na uniwersytecie. Natychmiast jednak przyjęto mnie do pracy w Instytucie Literatury.

B.B.-A.H.: – *Wróćmy na chwilę do Pani studiów. Rozpoczęła je Pani w 1949 roku, to znaczy w pełni stalinizmu, ukończyła je Pani już po śmierci Stalina, w 1954 roku. Proszę powiedzieć, jaka była wówczas atmosfera w środowisku studentkim?*

12. Ołeksandr BiłECKI (1886-1961) – historyk literatury, długoletni dyrektor Instytutu Literatury AN, vice-prezes AN.

M.K.: – Jak mam odpowiedzieć na to pytanie? Dziś zupełnie inaczej to widzę, ale wtedy wierzyłam w idee komunistyczne. Nie mogę powiedzieć, że byłam jakąś nadzwyczaj aktywną komsomołką, najwięcej czasu poświęcałam nauce. Całymi dniami siedziałam w bibliotece. Niemniej, nawet dla siebie nie robiłam przewartościowań obowiązujących idei. Nie mogę powiedzieć, że bardzo płakałam za Stalinem, ale przeżyłam jakiś moment trwogi. I proszę mi wierzyć, że bardzo niewiele wiedziałam o tym, co się działo w czasach stalinowskich. Jakoś to wszystko, co się wtedy działo, nie docierało do mnie.

B.B.-A.H.: – *Jak to było możliwe? Opowiadała Pani, że przechodzili do Was do domu Tyczyna, Ryłski, Janowski, a każdy z nich był przecież w jakiś sposób represjonowany. Niektórzy pod koniec lat dwudziestych, inni w trzydziestych, ale każdy z nich był w pewnym momencie zagrożony, na każdego urządzano nagonkę.*

M.K.: – Ale to jakoś mnie omijało. Może trudno zrozumieć i uwierzyć w to, ale zrozumienie i ocena tych faktów przyszło znacznie później. Wyrastałam w nurcie obowiązującej ideologii. Jak już powiedziałam, byłam komsomołką i sama się do Komsomołu zapisałam, nikt mnie do tego nie zmuszał. Nie byłam aktywistką, ale też nie dystansowałam się od panującej ideologii. To był jakiś taki ogólny nurt, a w tym nurcie i ja się znajdowałam. Muszę to przyznać, jeśli chcę być szczerą i uczciwą wobec siebie i nie projektować na te czasy późniejszego swojego doświadczenia. Jakieś nowe doświadczenia i – co za tym idzie – niepokój pojawił się we mnie dopiero po ukończeniu uniwersytetu. To było już po 1953, a nasiliło się po 1957 roku. Te nowe doświadczenia wiążą się dla mnie z przyjściem do pracy w Instytucie Literatury Akademii Nauk. Tam poznałam Iwana Switłycznego¹³, (pracował w czasopiśmie *Radiańskie Literaturoznawstwo*), który podobnie jak

13. Iwan Switłyczny (1929-1993) – poeta, czołowy krytyk literacki pokolenia lat 60-ych. Jeden z głównych animatorów niezależnego życia kulturalnego w Kijowie. Był dwukrotnie aresztowany – w 1965 i 1972 r. W obozie przeżył wylew i nigdy nie powrócił już do normalnego życia.

ja, był w zespole akademika Szamoty, jednego z najbardziej zajadłych wrogów literatury ukraińskiej. Przy okazji muszę powiedzieć, że Szamota na początku bardzo dobrze traktował mnie i Switłycznego. Na swój sposób Szamota cenił ludzi inteligentnych.

Właśnie wtedy, w Instytucie Literatury, zaczął się dla mnie nowy okres w życiu. Bardzo wiele wówczas czytałam, w tym również prohibitów. Rozpoczęły się nasze długie dyskusje ze Switłycznym, Swerstiukiem. Potem był już okres Klubu Twórczej Młodzieży.

B.B.-A.H.: – *Powróćmy do 1956 roku. W Moskwie Chruszczow czyta swój słynny tajny referat. Zaczyna się destalinizacja. Jak to wyglądało na Ukrainie?*

M.K.: – Pierwsza reakcja na referat Chruszczowa była taka, że jest to niewiarygodne, że nie może to być prawda. Ja osobiście nie byłam do tego przygotowana. Pamiętam, jak moja mama to przyjęła, w końcu dorosła osoba, która niejedno w życiu widziała. Dla mojej matki był to grom z jasnego nieba. Dopiero z biegiem czasu wraz z nowymi lekturami, poznaniem masy nie znanych mi przedtem faktów, zwolna zaczynało się w to wierzyć. Co tu dużo mówić na ten temat, o czym wiedzieliśmy, a o czym nie wiedzieliśmy, przecież ukończyłam uniwersytet, a o Płuznyku¹⁴, Zerowie¹⁵ czy Chwyłowym nic prawie nie wiedziałam. Może to wydawać się niewiarygodne, ale tak było. Wszystko to zaczęłam inaczej postrzegać pod koniec lat 50-tych i na początku 60-tych. Gdy powstał Klub Twórczej Młodzieży, to znalazłam się w nim ja i moi studenci. To znaczy i ja, i oni w tym samym czasie zaczęliśmy odkrywać dla siebie zakazaną dotychczas literaturę.

14. Jewhen Płuznyk (1898-1936) – pisarz. Jeden z najbardziej oryginalnych poetów lat 20-ych. Krytykowany za niezaangażowaną twórczość, z tego też powodu represjonowany. Zmarł na Sołowkach na gruźlicę płuc.

15. Mykoła Zerow (1890-1937) – poeta, krytyk, tłumacz, historyk literatury. Najwybitniejszy przedstawiciel neoklasycyzmu, rzecznik okcydentalizacji ukraińskiej literatury.

B.B.-A.H.: – *Przepraszamy, może to będzie bolesne pytanie, ale Wasza rodzina sama padła ofiarą represji. Brat Pani ojca, Jurij Kociubyński¹⁶, został w czasach stalinowskich aresztowany. O tym się chyba w rodzinie mówiło?*

M.K.: – Wam trudno to będzie zrozumieć, ale u nas w domu o tym się nie mówiło. Mój ojciec nie przepadał za Jurijem Kociubyńskim i nie utrzymywał z nim żadnych kontaktów. Przy okazji opowiem, w jaki sposób dowiedzieliśmy się o rehabilitacji Jurija Kociubyńskiego. Było to w 1956 roku, mój ojciec był umierający (miał ogniskowe zapalenie płuc), prawie przez dwa miesiące był nieprzytomny. I właśnie w tym czasie przyjechała do muzeum jakaś urzędowa komisja z Kijowa pod przewodnictwem takiej sekretarz do spraw ideologii Komitetu Centralnego, Iwaszczenko i kiedy mama ją oprowadzała po muzeum, to ta Iwaszczenko oskarżycielskim tonem zapytała: „Dlaczego nie macie u siebie portretu Jurija Kociubyńskiego?” A przedtem wszędzie tam, gdzie w rękopisach Mychajły Kociubyńskiego pojawiało się imię Jurija, było ono wykropkowywane. Iwaszczenko nie powiedziała tak po prostu, że Jurija zrehabilitowano, tylko stworzyła taką sytuację, jakby moja matka ze złej woli nie powiesiła tego portretu. Tak to wyglądało, choć trudno w to dziś uwierzyć.

B.B.-A.H.: – *Wróćmy teraz do czasu, kiedy ukończyła Pani uniwersytet.*

M.K.: – Ten czas po ukończeniu studiów uważam za swoje powtórne narodziny. Przedtem byłam jakby odurzona. Oczywiście, że czegoś się uczyłam, ale wciąż jeszcze nie myślałam samodzielnie. Myślę, że jestem charakterystycznym przykładem losu pewnej kategorii ludzi. Jak już mówiłam, po studiach zaczęłam czytać zakazaną wcześniej literaturę, zaczęłam spotykać nowych ludzi, w końcu zaczęłam też inaczej myśleć i nagle odkryłam całą masę faktów, których wcześniej nie

16. Jurij Kociubyński (1897-1936) – działacz partii bolszewickiej, walczył przeciwko Ukraińskiej Republice. Rozstrzelany przez NKWD bez sądu jakoby za kierowanie „ukraińskim trockistowskim centrum”.

znałam albo jakoś nie zauważałam. Bardzo dużo dały mi rozmowy z Jewhenem Swerstiukiem. Oczywiście ważne były również rozmowy ze Switłycznym, jednak jego doświadczenie było podobne do mojego, a Swerstiuk prezentował inne podejście do życia; był jakby z innego świata. Dla niego wiele rzeczy było jasnych znacznie wcześniej niż dla nas. Swerstiuk pochodził z Zachodniej Ukrainy, miał zupełnie inne niż my doświadczenie życiowe. My w końcu byliśmy od dziecka pod wpływem oficjalnej sowieckiej propagandy. Właśnie Swerstiuk moje oceny pisarzy, jakieś stereotypy brał i wywracał na nice. Czasami było to dla mnie wręcz straszne, ale to dzięki temu zaczynałam nad wieloma rzeczami się zastanawiać. Późno, ale jednak. Nie zawsze się z nim zgadzałam. Zresztą do dzisiaj nie we wszystkim się z nim zgadzam. Potem, już w ramach Klubu Twórczej Młodzieży zaczęliśmy organizować wieczory upamiętniające ukraińskich pisarzy. Wraz ze Swerstiukiem pisaliśmy do tych wieczorów scenariusze. Wtedy też zaczęliśmy jeździć po Ukrainie. Naszym niezastąpionym przewodnikiem był Hryhoryj Łohwyn, który odkrywał przed nami „malowniczą Ukrainę” – Ukrainę zabytków architektonicznych, jej pejzaż historyczny. Wtenczas poznałam także Ałłę Horską¹⁷.

B.B.-A.H.: – *A jak Pani scharakteryzowałaby rolę Switłycznego i Horskiej dla waszego środowiska? Jewhen Swerstiuk mówił, że złamali oni taki „więzienny model życia”, to znaczy model, w którym pisarz znał tylko pisarza, rzeźbiarz rzeźbiarza, muzyk muzyka itd?*

M.K.: – Istotnie tak to wyglądało, każdy sobie: muzycy z muzykami, literaci z literatami itp. Switłyczny i Horska byli takimi jednoczącymi centrami. Pamiętam, w jaki sposób poznałam Ałłę Horską. Zaszli do mnie kiedyś artyści, m.in. Hałyna Zubczenko¹⁸ z propozycją, bym przyłączyła się do pro-

17. Ałła Horska (1929-1970) – malarka. Jedna z głównych organizatorek niezależnego życia kulturalnego w Kijowie, współorganizator protestów przeciwko aresztowaniom w 1965 roku. Skrytobójczo zamordowana.

18. Hałyna Zubczenko – malarka. Brała udział w działalności kijowskiego Klubu Twórczej Młodzieży.

testu przeciwko niszczeniu zabytków w Czernihowie. Zwrócili się do mnie dlatego, że pochodziłam z tego miasta. I właśnie Hałyna Zubczenko zapytała mnie, czy znam Ałłę Horską. „Nie znam” – odpowiedziałam. „To muszę cię z nią poznać”.

Istotną rolę w zjednoczeniu środowiska odegrał również młody reżyser Łeś Taniuk. W konserwatorium rzucał się w oczy taki młody kompozytor Lonia Grabowski. Później już był okres wspólnej pracy z Jurijem Badzio¹⁹, Jewhenem Proniukiem²⁰, Iwanem Switłyčnym w biurze Klubu Twórczej Młodzieży. Na marginesie, Klub działał wówczas pod patronatem kijowskiego Komsomołu.

Switłyčnyj i Horska jednoczyli środowisko kijowskie. Switłyčnyj dokonał jeszcze jednej rzeczy – skontaktował mnie z ludźmi z Zachodniej Ukrainy. Stał się pierwszym pomostem między Kijowem a Lwowem. Na początku lat 60-tych napisał mi list polecający do młodego historyka sztuki, Bohdana Horynia²¹, z tym listem pojechałam do Lwowa. Bohdan Horyń oprowadził mnie po pracowniach lwowskich artystów: malarza Leopolda Lewyckiego, rzeźbiarki Teodozji Bryż, grafika Jewhena Bezniski i in. Wtedy właśnie odkryłam dla siebie Lwów. Tak było zresztą nie tylko ze mną. Inną zasługą Switłyčnego było nawiązanie kontaktu między nami a ukraińską diasporą. Wszyscy, którzy przyjeżdżali z Zachodu w pewnym momencie trafiali do niego i do Nadii Switłyčnej, dopiero później Switłyčnyj poznawał ich z nami. Tak było np. z Wirą Wowk²², Anną-Halą Horbach²³ i jej rodziną. Niezależnie od Switłyčnego poznałam czeską ukrainistkę

19. Jurij Badzio – historyk literatury, działacz opozycyjny. W 1979 roku skazany na maksymalny wyrok 12 lat pozbawienia wolności.

20. Jewhen Proniuk – filozof, działacz opozycyjnego ruchu lat 60-tych, autor szeregu artykułów krytycznych wobec systemu.

21. Bohdan Horyń – historyk sztuki, krytyk. Działacz opozycyjnego ruchu lat 60-ych. Aresztowany w 1965 i 1972 r. Pod koniec lat 80-ych jeden z lwowskich przywódców ruchu odrodzenia narodowego.

22. Wira Wowk (lit. pseud. Wiry Selańskiej), ur. 1926 – poetka emigracyjna, historyk literatury, tłumacz. Mieszka w Brazylii.

23. Anna-Hala Horbach – tłumacz literatury ukraińskiej na język niemiecki. Zaangażowana w organizowanie międzynarodowej pomocy ukraińskim dysydem. Jej córka, Kateryna, była działaczką Amnesty International.

Zinę Genyk-Berezowską²⁴, z którą bardzo zaprzyjaźniłyśmy się. Genyk-Berezowska przyjeżdżała do Kijowa co roku. Była jedną z tych osób, które przemyślały z Ukrainy niektóre materiały. Kiedyś w Czopie na granicy przetrzymali ją całą dobę, bo wiozła z sobą wywiad Switłycznego dla *Dukli*. Dla mnie ten czeski kanał był wyjątkowo ważny. Oprócz Ziny odegrał rolę w przewożeniu literatury językoznawca Andrij Kurymski, nie mówiąc już o Mykole Muszyncie²⁵.

Kiedy zastanawiam się, co było przełomowym momentem dla naszego środowiska, które zapoczątkowało polaryzację wśród kijowskiej inteligencji, to myślę, że jednym z takich wydarzeń było opublikowanie poematu Iwana Dracza²⁶ „Niż u sonci” w tygodniku *Literaturna Ukraina* w 1961 roku. Stosunek do tego utworu wyznaczył pewną linię demarkacyjną. A sprowadzał się on nie tylko do różnic w literackich gustach; ten kto zachwycał się tym poematem, jak się później okazało, pozostał po naszej stronie barykady, ten zaś, kto go odrzucał, później opowiedział się po stronie władzy. Z biegiem czasu ta linia demarkacyjna przekształciła się w przepaść, która mogła się już tylko pogłębiać.

B.B.-A.H.: – *Zanim przejdziemy do dalszej opowieści o losach pokolenia lat sześćdziesiątych, proszę kilka słów powiedzieć o relacjach między wami a starszym pokoleniem pisarzy. Chodzi nam o takie postaci jak Ołeksandr Dowżenko²⁷, Pawło Tyczyna, Maksym Rylski...*

24. Zina Genyk-Berezowska (1928-1991) – ukrainistka, tłumacz, wykładowca praskiego uniwersytetu Karola. W latach sześćdziesiątych związana z ruchem opozycyjnym na Ukrainie.

25. Mykoła Muszynka (ur. 1936) – słowacki ukrainista. Represjonowany za protest przeciwko wkroczeniu wojsk sowieckich do Czechosłowacji w 1968.

26. Iwan Dracz – poeta i działacz społeczno-polityczny, w l. 1989-92 – przewodniczący Narodowego Ruchu Ukrainy. Jego głośny debiut na początku lat 60-ych sprawił, że stał się najpopularniejszym poetą tego pokolenia.

27. Ołeksandr Dowżenko (1894-1956) – reżyser filmowy i pisarz; twórca ukraińskiej kinematografii (m.in. „Ziemia”). Dla pierwszych jego filmów przedstawiających wojnę domową i kolektywizację na Ukrainie charakterystyczna była maniera ekspresjonistyczna. W latach 30-ych został zmuszony do zmiany stylu i tematyki filmów. Za film „Ukraina w ogniu” poddany represjom.

M.K.: – Dla mnie osobiście obecność Tyczyny to bolesny problem. Raniły mnie żarty na jego temat. Dla mnie ważna była ta autentyczna twórczość Tyczyny, natomiast odrzucałam całą jego „usługową” działalność. Przypominam sobie takie wydarzenie: w szkole, w dziesiątej klasie, omawialiśmy wiersze Tyczyny: moi koledzy zaczęli się śmiać, ja zaś rozplakałam się i powiedziałam: „Czemu się śmiejecie, niczego przecież nie wiecie, nie znacie ‘Soniasznych klarnetów’ nie macie pojęcia o prawdziwej poezji”, po czym wybiegłam z klasy. Później zaczęłam to wszystko analizować, ale zawsze było to dla mnie bolesne. Pamiętam, że podśpiał w trakcie jakiegoś spotkania w Akademii. Patrzyłam na jego delikatną zniszczoną chorobą twarz i przychodziły mi na myśl słowa jego wiersza „Pochoron druha”: „Za życia jesteś martwy”. Było to niedługo przed jego śmiercią.

Ostatni raz widziałam go, kiedy byliśmy u niego z Ziną Genyk-Berezowską i Hryhorijem Koczurem²⁸. Podczas tego spotkania cały czas miałam wrażenie, że mam do czynienia z jurodiwym. Były momenty, kiedy Tyczyna mówił o czymś bardzo celnie, po czym znenacka w to, co mówił wkładało się coś dzikiego, niezrozumiałego, szalonego. Zaiste „Fenomen epoki”, jak nazywał swój esej o Tyczynie Wasyl Stus²⁹: osoba dramatu epoki, ale i jej ofiara.

I jeszcze jedno, dość zastanawiające zdarzenie, związane z Tyczyną. Byłam wtedy uczennicą; z okazji jakiegoś jubileuszu Tyczyny napisałam dla niego wiersz, taki sobie dziecięcy wierszyk. Tyczyna był bardzo wzruszony, tym bardziej, że bardzo mnie lubił. I właśnie na okoliczność tego telegramu przysłał mi telegram. W telegramie były takie jakieś zachwyty, że proszę, jaką mamy wspaniałą młodzież, a kończył się on

28. Hryhorij Koczur (1908-1995) – wybitny tłumacz. W latach 1943-1953 więziony, poddany represjom w latach 70-ych.

29. Wasyl Stus (1938-1985) – poeta i tłumacz. Uczestnik ruchu dysydenckiego lat 1965-1985, dwukrotnie osadzony w łagrach (1972-79 i 1980-1985). Był autorem 4 tomików poetyckich rozpowszechnianych w *samwydawie* i na emigracji. Napisał także kilka esejów, m.in. „Fenomen doby” („Fenomen epoki”), które obok poezji stały się materiałem dowodowym w śledztwie prowadzonym przeciwko niemu.

takim zdaniem: „Chwała Stalinowi, ojcu naszemu rodzone-mu”. Później, już po śmierci Tyczyny, dowiedziałam się, że na oryginale telegramu pisanym przez poetę i zachowanym w jego archiwum, takich słów nie było. Od tej pory zastanawiam się, czy i w innych sytuacjach nie dopisywano Tyczynie tych różnych Stalinów.

Muszę bardzo mocno podkreślić, że Tyczyna nigdy nikogo nie sprzedawał ani nie wydawał. Wiem, że kiedy w pierwszej połowie lat 60-tych usiłowano go skłonić do podpisania jakiegoś listu przeciwko nam, młodym, zaprotestował. Nienawidził Szamoty.

Z kolei Ryłski, chociaż był bardzo ostrożny, to jednak do końca życia bardziej aktywnie popierał młodych. Bardzo zmienił się, w sensie pozytywnym, Andrij Małyszko³⁰. Po pierwsze napisał cykl wierszy „Prozorist”, utrzymany w duchu lat 60-tych, a po drugie bardzo aktywnie nas popierał.

Gdybym miała sobie odpowiedzieć na pytanie, kto dla mnie spełniał funkcję takich ojców duchowych, to przede wszystkim musiałabym wymienić Hryhorija Koczura. Koczur był dla mnie mistrzem i przewodnikiem. Po nim zaś Borys Antonenko-Dawydowycz³¹, który był dla mnie pierwszorzędnym źródłem informacji o ukraińskiej rewolucji, o uniwersałach, o 22 stycznia. To on opowiadał nam o represjach lat 30-tych i była to opowieść od „środka”, ponieważ on sam padł ofiarą represji. Opowiadał nam o więzionych i mordowanych literatach. Tak na marginesie, nad jego stołem znajdował się swego rodzaju ikonostas złożony ze zdjęć kolegów po piórze, którzy padli ofiarą prześladowań w latach

30. Andrij Małyszko (1912-1970) – poeta, autor wierszy i poematów o tematyce rewolucyjno-patriotycznej i wojennej. Laureat wielu nagród państwowych. W latach 60-ych publikuje tomy poezji, które zmieniły oblicze jego poezji (m.in. „Wiszczyj hołos”, 1961; „Prozorist”, 1962). Napisał także wiele pieśni – ballad („Pisnia pro rusznyczok”, „Kyjiwśkyj wals”).

31. Borys Antonenko-Dawydowycz (1899-1984) – pisarz i tłumacz. Autor prozy psychologicznej („Smert”, 1928, pol. tłum. „Za parawanem”, 1963), szkiców i reportaży („Zemleju ukrajinśkoju”, 1930), tomu „Sybirśki noweli”, w którym utrwalił lata pobytu w obozie i na zesłaniu (1936-1956).

trzydziestych oraz zdjęcia Symonenki³², Switłycznego i Dziuby³³. Pewnego dnia po wystąpieniu Dziuby z samokrytyką, jego portret zniknął – Antonenko-Dawydowycz bardzo boleśnie przeżywał takie rzeczy.

Cały nasz krąg towarzyski zbierał się u Antonenki-Dawydowycza. Bywali u niego m.in. Jewhen Swerstiuk, Iwan Switłyczny i jego siostra Nadija, Ałła Horska, Wasyl Hołoborod'ko³⁴. Nie mówię o uroczystościach Borysa Antonenki, bo na jego urodziny schodziły się prawdziwe tłumy. Wśród tych, których przyciągała jego osobowość, byli nie tylko przedstawiciele inteligencji twórczej, ale i ludzie z prowincji, którzy starali się coś zrobić dla kultury ukraińskiej, jak na przykład inżynier, który opracował ukraiński słownik terminologiczny. Z Borysem Antonenką utrzymywało bliskie kontakty wiele osób represjonowanych. Prowadził on także szeroką korespondencję i pomagał ludziom, w czym tylko mógł. Wiele osób czerpało pełnymi garściami z przebogatej skarbnicy jego pamięci. To właśnie u niego poznałam Gelijsa Sniegiriowa³⁵, znanego dysydenta, zakatowanego przez KGB. Sniegiriow zbierał wtedy materiały do powieści „Naboji dla rozstrifu” o sfabrykowanym procesie Związku Wyzwolenia Ukrainy. U Borysa

32. Wasyl Symonenko (1935-1963) – poeta. Jego debiutancki tom „Tysza i him” oraz wydane pośmiertne poezje i fragmenty dziennika wywarły ogromny wpływ na pokolenie lat sześćdziesiątych dzięki swej bezpośredniości i bezkompromisowości.

33. Iwan Dziuba – (ur. 1931) – czołowy krytyk literacki w latach 60-ych, animator niezależnego życia kulturalnego w Kijowie, autor głośnej rozprawy „Internacjonalizm czy rusyfikacja”, demaskującej rusyfikacyjną politykę władz wobec republik związkowych. W 1973 roku po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu wystąpił z samokrytyką.

34. Wasyl Hołoborod'ko (ur. 1945) – poeta, autor liryków refleksyjnych utrzymanych w poetyce surrealizmu. Po debiucie na łamach pism literackich został uznany przez Dziubę za najbardziej obiecującego młodego poetę. Mimo to nie dopuszczono do druku tomiku jego poezji. W 1970 r. wydano na Zachodzie wybór wierszy, co stało się przyczyną prześladowań pisarza. Pierwszy zbiorek na Ukrainie ukazał się w 1988 r. Polski wybór „Ikar na motylach skrzydłach”, 1995.

35. Gelijs Sniegiriow – dziennikarz i pisarz, autor „Naboji dla rozstrifu” (rękopis, 1976). Aresztowany wkrótce po przekazaniu rękopisu na Zachód. Zmarł po dwóch miesiącach śledztwa.

Antonienki poznałam także inną niezwykłą postać – byłego żołnierza formacji Siczowi Strilci.

Natomiast u Hryhorijsa Koczura zbierali się głównie tłumacze, np. Anatolij Perepadia, Dmytro Czerewatenko, Dmytro Ponomarczuk, Mykoła Łukasz. Przychodzili tam również początkujący tłumacze. Z naszego kręgu towarzyskiego bywali tam Jurij Badzio, jego żona, Switłana Kyryczenko, Nadija Switłyczna, Iwan Switłycznyj wraz z żoną. U Koczura przesiadywaliśmy niemal bez przerwy. Do niego, podobnie jak do Switłycznego, zachodzili wszyscy goście z zagranicy, odwiedzający Kijów. Pamiętam wizyty Ziny Genyk-Berezowskiej, Andrija Kurymskiego, Wiry Wowk, Anny-Hali Horbacz i jej córki. Później składali tam wizyty ludzie przez nich poleceni. W ogóle wszyscy goście zagraniczni mieli ustaloną trasę; stałymi punktami programu była wizyta w muzeum Iwana Honczara i odwiedziny u Koczura. Te spotkania u Koczura (w przeciwieństwie do politycznych spotkań u Borysa Antonienki-Dawydowycza) to było prawdziwe święto erudycji, poezji, wiedzy. Koczur był człowiekiem, który absolutnie wszystko wiedział, wszystko pamiętał. Jeżeli chodzi o przekłady, to wszyscy się z nim konsultowali, tak było na przykład z tłumaczeniami Stusa „Sonetów do Orfeusza” Rilkego. Stus z obozu przysyłał swoje przekłady żonie, ona zaś przekazywała je Koczurovi, który szczegółowo je recenzował, potem zaś Stus odpowiadał na jego uwagi – zupełnie jakby nie istniały kraty i cenzura, nie było „małej” i „wielkiej zony” („wielką zoną” nazywali więźniowie obozów, warunki, w których żyliśmy my, pozostający na wolności). Już po śmierci Stusa, Koczur przekazał mi obszerny list Stusa z prawie wszystkimi jego przekładami „Sonetów do Orfeusza” ze swymi rozważaniami tłumacza na marginesach. W latach siedemdziesiątych władze zaczęły Koczura prześladować, w końcu wyrzucono go ze Związku Pisarzy za „związki z zagranicą”.

Z tamtych czasów pamiętam także, jak z Ałłą Horską oddawałyśmy matce Wasyla Symonenki oryginał jego „Dzienników”. Nie mogę powiedzieć, że blisko znałam Symonenkę. Poznałam go na trzy miesiące przed jego śmiercią, kiedy było już wiadomo, że jest nieuleczalnie chory. Przypro-

wadził go do mnie do Instytutu Literatury Iwan Swiłycznyj. Po tej pierwszej rozmowie w Instytucie kilka razy był u mnie w domu. Na dwa tygodnie przed jego śmiercią, kiedy leżał już w szpitalu, ja, Jewhen Swerstiuk i Roman Korohodski³⁶ odwiedzaliśmy go. To było niesamowite dla mnie przeżycie, kiedy obserwowałam, jak Symonenko zmagał się z bólem. Kiedy czuł, że już nie wytrzyma, prosił, bym wychodziła z sali. Wychodziłam na korytarz, płakałam i znów wracałam. Niemniej, kiedy czuł się trochę lepiej, to potrafił tak zabawnie opowiadać, że śmialiśmy się w głos. W tych chwilach dużo rozmawialiśmy. Utkwiło mi w pamięci, jak mówił, że póki człowiek jest aktywny, to wokół niego tworzy się jakieś koło ludzi, pojęć, stereotypów, tworzy się jakiś jego stały świat. Ale by żyć, człowiek powinien to koło rozerwać i pójść dalej, i znów ten proces powtarzać. Póki człowiek zdolny jest rozrywać te koła i tworzyć nowe, póty żyje.

Wszyscy pojechaliśmy na pogrzeb Symonenki: Iwan Dziuba, Jewhen Swerstiuk, krytyk Leonid Kowałenko, Ałła Horska. Był duży mróz. Niosłyśmy z Ałłą kiście kaliny i czerwoną kitajkę. W jakiś czas później zorganizowaliśmy wieczór pamięci Symonenki. Było to niezwykle poruszające wydarzenie. Ja, Nadija Swiłyczna i kilka jeszcze osób recytowało jego wiersze. Dzięki nagraniom magnetofonowym, których dokonywał Swiłycznyj, zabrzmiał na tym wieczorze również głos samego Symonenki. Ten pierwszy wieczór miał ogromne znaczenie dla całej kijowskiej inteligencji.

„Dziennik” Wasyla Symonenki ukazał się za granicą i wkrótce potem zaczęła się nagonka na Swiłycznego, że niby to on przekazał oryginał „Dziennika” na Zachód. Pojawił się artykuł szkalujący Swiłycznego pt. „Everest pidłosti”, którego autorem był Mykoła Nehoda. Wtedy postanowiono zwrócić matce i żonie Symonenki rękopis „Dziennika”, który poeta przed śmiercią przekazał Swiłycznemu. Swiłyczny poprosił mnie i Ałłę Horską, byśmy ten rękopis odwiozły matce Symonenki do Czerkas. Ta wizyta była bardzo przykra, ponie-

36. Roman Korohodski – historyk sztuki, krytyk filmowy, autor książki poświęconej twórczości Sergiusza Paradżanowa. Był jednym z organizatorów niezależnego życia kulturalnego w Kijowie.

waż wcześniej władze zmusiły matkę poety do napisania pełnego oburzenia listu otwartego w sprawie przekazania rękopisów jej syna na Zachód. Kiedy przyszedłszy, matka i żona Symonenki nie miały odwagi spojrzeć nam w oczy. Oddaliśmy rękopis „Dziennika” i natychmiast wyszliśmy, bo i nam było bardzo nieprzyjemnie. Kiedy wychodziłyśmy z budynku, w którym mieszkała rodzina Symonenki, natknęłyśmy się na autora wspomnianego artykułu (mieszkał, zdaje się, w tym samym domu). Kiedy Nehoda nas dostrzegł, momentalnie jakby się skurczył – nie wiem, może myślał, że go pobijemy? Stamtąd pojechaliśmy na grób Symonenki, wkrótce pojawili się tajniacy (mówiliśmy o nich „historycy sztuki w cywilu”), było ich chyba z sześciu. Ałła Horska miała duże poczucie humoru, więc jak tylko tajniacy się pojawili, mówiła do mnie „Michasiu, fotografują nas, pozwól, że poprawię ci fryzurę”. I odegrałyśmy taką komedię, najpierw ona mnie przyczesła, potem ja ją.

A skoro już mówię o Alle, to przypominam sobie jeszcze takie oderwane od siebie obrazy. Pamiętam, jak obchodziliśmy siedemdziesięciolecie Ałły i Iwana Switłycznego (każde z nich z osobna kończyło po trzydzieści pięć lat). To było ostatnie wydarzenie towarzyskie przed pierwszymi aresztowaniami. Utworzono Centralny Komitet Jubileuszowy, a jego przewodniczącym został Wiaczesław Czornowił³⁷. I wprawdzie miało to być święto Horskiej i Switłycznego, ale uprawialiśmy kult jednostki – przewodniczącego Komitetu. Na przykład organizowaliśmy jakiś konkurs, ktoś go zwycięża i choć to było święto, jak powiedziałam, Ałły i Iwana, ale nagrodą jest portret przewodniczącego Czornowiła. Pamiętam jak dziś: za stołem siedzi prezydium Centralnego Komitetu Jubileuszowego, w skrócie CJK, a za plecami wisi hasło: „Niech żyje CJK – natchnienie i organizator wszystkich

37. Wiaczesław Czornowił – dziennikarz z wykształcenia, autor drugoobiegowej książki o procesach 1966 r. („Łycho z rozumu”), za którą został skazany w 1967 r. Niebawem wyszedł na wolność, ale nie zaniechał działalności – został redaktorem pierwszego niezależnego pisma *Ukrajinśkyj wisnyk*. Uwięziony powtórnie w 1972 r. Łącznie odbył 17 lat łagrów. Po wyjściu na wolność w 1987 r. reaktywował *Wisnyk* i rozpoczął działalność polityczną.

naszych zwycięstw i porażek”. Czuliśmy się absolutnie wolni, żarty sypały się jak z rękawa, wymyślaliśmy niezliczoną ilość nowych parodii piosenek. To wszystko działo się w pracowni artystki Ludmiły Semykinej.

Inny obraz, związany z Ałłą Horską dotyczy zniszczenia witrażu, którego była współautorką. Witraż znajdował się w hallu Uniwersytetu Kijowskiego i przedstawiał Szewczenkę, wspierającego swym ramieniem kobietę (symbol Ukrainy). Na witrażu widniały słowa „Czy będzie sąd, czy przyjdzie kara...”. Tak się złożyło, że byłam chyba jedyną osobą, która widziała ten witraż w pełnej krasie tuż po ukończeniu. A było to tak. Mieszkałam niedaleko Uniwersytetu. Gdzieś koło północy telefon od męża Ałły Horskiej, Witi Zareckiego, który mówi: „Skończyliśmy witraż, przyjdź, zobacz jak wygląda”. Pobiegłam w środku nocy. W ten sposób zobaczyłam ten witraż. Zrobił na mnie duże wrażenie. Pożegnaliśmy się, umawiając na spotkanie nazajutrz o czwartej popołudniu na uroczystym odsłonięciu. Następnego dnia przyszłam na czwartą na Uniwersytet, ale witrażu nie było. Ze względu na to wrażenie, że Szewczenko jest za kratami (technika witrażu wymagała konstrukcji podtrzymującej elementy składowe), rektor Uniwersytetu, Szewec, własnoręcznie go rozbił. Wszyscy moi przyjaciele byli wstrząśnięci: Luda Semykina płakała, Wiktor Zarecki i Panas Załywacha³⁸ stali pobladli, a Ałła oniemiała.

I jeszcze moje ostatnie spotkanie z Ałłą Horską, tuż przed jej śmiercią. Była jesień. Ałła wraz z dwoma innymi artystami robiła wystroj jakiejś kawiarni w obwodzie czerkaskim. Za ten wystroj płacono im w naturze: jabłkami, cebulą, kartoflami... Dostali od zleceniodawców samochód i zdecydowali, że wszystkim nam przywiozą zaopatrzenie. I oto siedzę w domu i nagle słyszę dzwonek do drzwi, otwieram i widzę następujący obraz: w korytarzu stoi piękna, wysoka Ałła z burzą złotych włosów, ogorzała od słońca, z zawieszonymi na szyi dwoma wiankami złotej cebuli. Kiedy ją taką złotą, pełną

38. Panas Załywacha (ur. 1925) – malarz. Zaangażowany w ruch opozycyjny lat 1960-1989. W 1965 r. został zaaresztowany, po wyjściu z łagru nadal jednak uczestniczył w ruchu opozycyjnym.

życia zobaczyłam, od razu przyszło mi na myśl: oto bogini urodzaju Cerera. Za nią stał taki mały Saszko z torbą kartofli i jabłek. „To dla ciebie część mojej zapłaty” – mówi Ałła. Zanieśli wszystko na balkon, szybko pożegnali się ze mną i pojechali również innym zawieźć zaopatrzenie.

Później przyszła wiadomość o jej śmierci. Pogrzeb. Trzy przygarbione nieszczęściem męskie postacie (ojciec, mąż i syn). Przez jakiś czas potem przychodził do mnie mąż Ałły – długo nie mógł dojść do siebie, żeby posiedzieć, porozmawiać. Zarecki, znajdował w domu, w którym zabito Ałłę jakieś dziwne rzeczy, które nie wiadomo, skąd się tam wzięły. Próbował dociec tajemnicy śmierci Ałły – bez powodzenia. Później zajął się tym syn Ałły Horskiej, nawet dostał jakieś materiały śledcze. Niedawno w Kijowie ukazała się interesująca książka, zawierająca artykuły poświęcone Alle, wspomnienia, listy.

B.B.-A.H.: – *Ałła Horska i Iwan Swittycznij jednocyli wasze środowisko, jednak za duchowego przywódcę pokolenia lat 60-tych uznaje się Iwana Dziubę. Jaka była jego rola?*

M.K.: – Dziuba był również jedną z tych centralnych postaci naszego pokolenia ale w inny, niż Ałła i Iwan, sposób. Przecież cały nasz ruch rozpoczął się od wieczorów literackich, na których występowali Dracz, Winhranowski³⁹ i Dziuba. Dziuba zwykle miał wprowadzenie. Jego sądy były niezwykle trafne i ostre. Pamiętam jak w drugą rocznicę śmierci Symonenki na spotkaniu w Związku Pisarzy Dziuba mówił o tym, że teraz wszyscy kochamy Symonenkę, to jest teraz nawet dobrze widziane, ale zadajmy sobie pytanie, jak go kochamy. I dalej mówił, że kocha go już teraz nawet *Literaturna Ukraina*, redagowana jak gazetka ścienna w rejonowej komendzie milicji; kocha go też Leonid Nowy-

39. Mykoła Winhranowski (ur. 1936) – pisarz. Na początku lat sześćdziesiątych zdobył rozgłos dzięki wierszom rozsadzającym socrealistyczny kanon.

chenko⁴⁰... Tu sala żywiołowo zareagowała i pamiętam, jak Nowyczenko wychodzi z sali odprowadzany okrzykami „Hańba, Hańba”. Później Dziuba napisał jedną z najważniejszych rzeczy dla naszego pokolenia: – „Internacjonalizm czy rusyfikacja?”. Pierwszą osobą, która przepisywała tę pracę, byłam ja. To zadziwiające, że nawet KGB tego nie odkryło. Dziuba przychodził do mnie do biblioteki i przynosił swoje brudnopisy, a ja przepisywałam je na maszynie. Ten egzemplarz „Internacjonalizmu...”, który usiłował wywieźć na Zachód czechosłowacki ukrainista Mykoła Muszynka, był egzemplarzem przeze mnie przepisany. Zawsze się dziwiłam, iż KGB tego nie odkryło. Wśród różnych innych stawianych mi zarzutów tego oskarżenia nie było.

B.B.-A.H.: – *Jak z Pani perspektywy wyglądała pierwsza fala represji?*

M.K.: – Dowiedzieliśmy się o aresztowaniach pod koniec lata. Spośród aresztowanych najbardziej bliscy mi byli Iwan Switłyczny, Panas Załywacha i bracia Horyniowie. Wtedy zebraliśmy się – nie przypominam sobie, gdzie – i zdecydowaliśmy, że musimy o tym powiedzieć. Zaproponowałam, że ja to zrobię, ale moi przyjaciele nie zgodzili się na to, ponieważ byłam wtedy sama z pięcioletnim dzieckiem. I właśnie wtedy Dziuba zadeklarował, że on o tym powie. Na okazję nie trzeba było długo czekać, bo właśnie miała się odbyć premiera filmu Sergiusza Paradżanowa „Cienie zapomnianych przodków” w kinie „Ukraina”. Ta premiera to było wielkie wydarzenie, więc sala była wypełniona po brzegi. Przed projekcją Dziuba opowiedział o aresztowaniach, wskazał na analogię z 1937 rokiem. Jeszcze Dziuba nie skończył mówić, a już wyła syrena alarmowa. I tu muszę sprostować informację, która pojawiła się w wielu publikacjach na

40. Leonid Nowyczenko (1914-1996) – historyk literatury, krytyk. Znaczna część jego prac poświęcona jest zdobyczom socrealizmu w literaturze ukraińskiej. Po krótkim okresie odwilżowego pisania, już w 1963 r. na powrót zajął się krytyką poetów, którzy nie pasowali do socrealistycznego kanonu.

ten temat: z reguły pisze się, że po przemówieniu Dziuby, hasło „Kto przeciw tyranii, niech wstanie!” rzucił Stus. Hasło to rzucił Czornowił, Stus zaś głośno go poparł. Na wezwanie Czornowiła wstało około stu osób spośród chyba pięciuset obecnych, między innymi Stus i ja. Byłam wtedy obok Stusa i widziałam, że był cały rozedrgany. Objęłam go drżącego i pamiętam, że przyszło mi do głowy pytanie, jak ten chłopiec będzie w stanie żyć w tym świecie?! Po zakończeniu wieczoru byliśmy pewni, że Stus i Czornowił zostaną aresztowani. Dlatego Stusa odprowadzało do domu dwóch jego kolegów, asystentów. Nikogo jednak nie aresztowano, ale następnego dnia Stusa zwolniono z pracy z Instytutu za „niegodne doktoranta zachowanie w miejscach publicznych”. Kiedy Stus otrzymał pismo zwalniające go z pracy, poszedł do zastępcy dyrektora Instytutu i powiedział mu, że kiedyś będzie się tego pisma wstydził. Po zwolnieniu Stus nie mógł już znaleźć na dłużej stałego miejsca zatrudnienia: jakiś czas pracował jako palacz, próbował zatrudnić się przy budowie metra, ale nic z tego nie wyszło.

Po tej historii na premierze filmu Paradżanowa zaczęła się epopeja z wyrzucaniem mnie z partii. Najpierw sprawa stanęła na posiedzeniu organizacji partyjnej w Instytucie Literatury, następnie była Komisja Starych Bolszewików organizacji partyjnej Akademii Nauk, potem biuro organizacji partyjnej Akademii, dalej Komisja Starych Bolszewików rejonowego komitetu partii, potem posiedzenie komitetu rejonowego partii, potem Komisja Starych Bolszewików miejskiego komitetu, posiedzenie miejskiego komitetu, w końcu Komisja Starych Bolszewików obwodowego komitetu partii i wreszcie biuro obwodowego komitetu partii. Na początku tej drogi przez mękę bardzo się denerwowałam, nie było to w końcu przyjemne przeżycie. W komitecie rejonowym tak bardzo na mnie krzyczano, że w końcu poprosiłam przewodniczącego zebrania o przywołanie do porządku moich oponentów, powiedziałam: „W naszych czasach nawet śledczy zachowują się grzeczniej” i wyszłam trzaskając drzwiami. Moje zachowanie określono jako zuchwałe, ale człowiek, który na mnie krzyczał, otrzymał naganę. W miarę, jak to włączanie mnie po komitetach się

przedłużało, byłam coraz spokojniejsza. A na koniec czułam się już zupełnie swobodnie. Znajomym opowiadałam, że na komisjach mówię już aforyzmami, a jak to jeszcze chwilę potrwa, to zacznę mówić wierszem. W końcu dojrzałam do Komisji Starych Bolszewików komitetu obwodowego. Zaczyna się spotkanie, najpierw wypytują mnie o nazwisko, moje związki z Mychajłem Kociubyńskim, sytuację rodzinną, w końcu jeden z członków Komisji pyta: „Co będzie Pani myśleć jutro, kiedy złoży Pani legitymację partyjną?” Na to ja, bez specjalnego namysłu: „Wiedziecie, kiedy wstępowałam do partii w czasach studenckich, byłam jeszcze bardzo młodą osobą wierzącą w ideały. Ale jeżeli moje życie tak się złożyło, że muszę wybierać między ideałem a legitymacją partyjną, to ideały zostawiam sobie, a wam oddaję legitymację”. Komisja osłupiała, a ja spokojnie wstałam i powiedziałam: „To ja już chyba mogę odejść?”. Wyszłam i poczułam się tak jakoś lekko. Na Wzgórzu św. Włodzimierza spotkałam Stusa. Przeczytał mi swoje przekłady Garcii Lorki. Pomimo, że właśnie wyrzucono mnie z partii (a trzeba wiedzieć, co to wtedy oznaczało), czułam się po prostu szczęśliwa. Po wyrzuceniu z partii usunięto mnie z wydziału literatury i skierowano do działu szewczenkoznawstwa. Napisałam tam książkę „Etiudy o poetyce Szewczenki”, ale Rada Naukowa Instytutu nie dopuściła jej do druku. Książka ukazała się dopiero w 1990 roku.

W 1968 roku w Instytucie przeprowadzono ocenę działalności naukowej pracowników. Przed tą oceną dyrektor Instytutu, Mykoła Szamota, zebrał wszystkich członków Rady Naukowej i otwarcie ostrzegł, że kto będzie za moim pozostaniem w Instytucie, ten wystąpi przeciwko władzy radzieckiej. Kiedy przyszło co do czego, tylko jedna osoba z Instytutu głosowała za mną, a był to Leonid Nowyczenko.

B.B.-A.H.: – *Nowyczenko? Ten pogromca literatury ukraińskiej?*

M.K.: – Ten sam. Nowyczenko swój rozum miał, czytał moją pracę o Szewczenko. Nie był to człowiek pozbawiony talentu, ot, jeszcze jeden „fenomen epoki”. Poza tym nie bał się Sza-

moty. A skoro już o Szamocie mowa, to opowiem zabawną sytuację, którą przeżyłam w czasie wyrzucania mnie z partii. W komitecie zapytano mnie w pewnym momencie, kto jest kierownikiem mojego wydziału. „Szamota” – odpowiedziałam. „A kto jest kierownikiem Switłycznego?”. „Szamota”. „A Badzia?”. „Szamota”. „A kto jest promotorem Stusa?”. „Szamota”. I pomimo, że sytuacja nie była wesoła, roześmiałam się. Połowa ukraińskich dysydentów wyszła spod ręki Szamoty.

Po zwolnieniu mnie z Instytutu przez dziewięć miesięcy nie miałam pracy. Byłam sama z córką i nie było mi łatwo. Wtedy odczułam, że moje nazwisko z jednej strony mnie broni, z drugiej zaś jest źródłem moich kłopotów. Broniło dlatego, że aresztowanie mnie nie było sprawą łatwą – trzeba było mieć coś bardzo poważnego. Przeszkadzało mi, bo z moim nazwiskiem i z moją książką pracy (gdzie odnotowano szczerze mojej kariery naukowej), niełatwo było dostać posadę korektora w jakimś niewielkim wydawnictwie. Było to po prostu niemożliwe. Ostatecznie jednak dostałam pracę, podobno dzięki wstawiennictwu kanadyjskiej komunistki Mariji Skrypnyk. Miało to być tak: kiedy zostałam sama z dzieckiem, bez pracy, to Marija Skrypnyk zwróciła się z zapytaniem do Komunistycznej Partii Kanady, dlaczego taka osoba jak ja, z pięcioletnim dzieckiem i bez jakiegóż wielkiej winy tuła się bez pracy. Miałam szczęście, że był to „liberalny” 1968 rok, kiedy jeszcze nie było tak strasznie. Przez dziesiąte usta dotarła do mnie informacja z Komitetu Centralnego (wcześniej podobno monitowanego przez Kandyjczyków), że jeżeli zgłoszę się do pracy w nowo otwieranym wydawnictwie „Wyższa Szkoła”, to zostanę przyjęta. Poszłam i rzeczywiście wszystko tam było już przygotowane na moje przyjęcie. Pracowałam tam jako redaktor literacki przez osiemnaście lat. Ludzie, wśród których przyszło mi pracować, byli jakby z innego świata, jednak dobrze się do mnie odnosili. Nawet wtedy, kiedy obsmarowywano mnie w prasie.

Pamiętam, że jedną z najbardziej nieprzyjemnych kampanii przeciwko mnie oparto na przesyłkach z zagranicy. To strasznie działało na wyobraźnię *homo sovieticus*. Z tą kampanią związana jest osoba Tetiany Horochowycz, nauczycielki

z Toronto. Znałyśmy się, korespondowałyśmy ze sobą, a kiedy Tetiana przyjeżdżała na Ukrainę, zawsze przywoziła mi jakiś upominek. Przy jakiejś okazji Horochowycz zatrzymano na granicy i albo ze strachu coś zeznała, albo też jej zeznania zostały sprokurowane. Dość, że zeznania KGB przekazało mojemu dyrektorowi, z poleceniem, by przeprowadził ze mną rozmowę wyjaśniającą. Dziś nawet nie chce się w to wierzyć, ale koronnym dowodem przeciwko mnie było to, że w notatniku Tetiany był zapisek: „Dla Michasi bluzkę”. Przypominam sobie, że powiedziałam wtedy: „No i co z tego? Przecież gdybym to ja do niej jechała, też bym kupiła dla niej jakiś upominek”. Jeszcze chwilę dyskutowałam z moim dyrektorem, a w końcu powiedziałam, że na te szmaciane tematy nie będę więcej rozmawiać. Tak wyglądał wtedy mój dzień powszedni. W pracy urządzono mi mini-obóz. Na każdym kroku mnie kontrolowano. Kiedyś pojechałam do Czernihowa na grób rodziców i spóźniłam się do pracy o piętnaście minut, może pół godziny, nie więcej. To wszystko zostało skrupulatnie odnotowane i potrącono mi w związku z tym całą trzynastkę. Nie mogłam wyjść do szewca, żeby mi nie wlepiono nagany. Taki mały terror. Nasiliło się to, gdy zaczęła działać Grupa Helsińska (tj. w 1977 r.). Ja sama do niej nie należałam, ale przyjaźniłam się z założycielami Grupy – Marynowiczem, Matuszewiczem i z Marczenką. Kiedy ich aresztowano, przeprowadzono u mnie rewizję, podczas której znaleziono deklarację Grupy Helsińskiej. Wtedy organy zdecydowały, że należy mnie zastraszyć. Zorganizowano więc w moim wydawnictwie zebranie wszystkich pracowników, przy czym poinformowano mnie o tym na kilka godzin wcześniej. Zdążyłam zadzwonić tylko do córki. Córka miała wtedy trzynaście lat i zdecydowała się przyjść do wydawnictwa. Opowiadała mi później, że z tyłu nikt nie głosował. Na zebraniu wypowiadały się tylko osoby funkcyjne, wszyscy oni wypowiadali bez specjalnych emocji ten sam tekst, sprowadzający się do tego, że jestem elementem antyradzieckim. W mojej obronie wystąpiły dwie osoby, między innymi obecna żona Marynowicza – Luba. Co później z nią wyrabiali, to trudno opowiedzieć. Mnie już dano spokój, a ona wciąż jeszcze miała kłopoty, w końcu zmuszono ją do odejścia z pracy. KGB

usiłowało wytworzyć wokół mnie pustkę. Próbowano zastraszyć szefową mojego działu, moich kolegów, w szczególnie trudnej sytuacji znajdowała się moja kierowniczka. Właśnie ze względu na nią zdecydowałam się w końcu powiedzieć, że przemyśle swoje postępowanie.

Żeby Paniom uświadomić, jakie były czasy, opowiem rzecz bardzo osobistą, o której do tej pory nie mówiłam. Wspomniałam już, że jednym z najbliższych mi ludzi był Borys Antonenko-Dawydowycz. Byłam z nim blisko, więc widziałam, jak mu ciężko. Jego żona była chora psychicznie, zaś syn stał się kryminalistą (ze względu na osobę Antonenki-Dawydowicza, myślę, że KGB miało w tym udział). Kiedy zmarła jego żona, Antonenko-Dawydowycz znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Wymagał opieki, a że z kolei ja mieszkalam w jednym pokoju z córką i wnuczką, więc Borys Dmytrowycz proponował mi, bym się do niego wprowadziła. Chciał, żebyśmy się pobrali. Przeniosłam się do niego, zapewniłam mu najlepszą opiekę, na jaką było mnie stać. Nasz dom był ciepły i przytulny. Z biegiem czasu Borys Antonenko-Dawydowycz coraz bardziej się do mnie przywiązywał. Coraz bardziej chciał się ze mną ożenić i tu zaczęła się nasza epopeja. Do dziś mam teczkę z dokumentami, które dotyczą tej sprawy. Ciężko mi o tym mówić. Złożyliśmy w Urzędzie Stanu Cywilnego podanie, że chcemy się pobrać. Przyjęto je. Na trzy dni przed terminem ślubu nadeszło oświadczenie jego syna (przebywającego w więzieniu), w którym prosił, by zwrócono na mnie uwagę, ponieważ jestem aferzystką. Podobny list poszedł do mojej pracy. Kiedy przyszliśmy do Urzędu Stanu Cywilnego, by wziąć ślub, kierowniczka Urzędu wezwała mnie do swojego gabinetu i powiadomiła o oświadczeniu syna Borysa Dmytrowicza, stwierdzając, że trzeba się mu przyjrzeć. Córka zrozumiała, że coś jest nie w porządku, wpadła do gabinetu i zaczęła krzyczeć na kierowniczkę. Ja i żona Switłycznego, Lola, starałyśmy się ją wyciągnąć stamtąd. Z naszego ślubu nic nie wyszło. Ale Borys Antonenko-Dawydowycz bardzo chciał ten nasz związek sfinalizować, mawiał, że jestem ostatnią miłością jego życia, jego „kobietką”. Któregoś razu dał mi pieniądze i polecił kupić sobie obrączkę. Kiedy mówiłam, że jej nie potrzebuję, nalegał

tak długo, aż w końcu ją kupiłam. Następnego dnia po zejściu w Urzędzie Stanu Cywilnego w naszym domu zjawił się milicjant: „Czy tutaj mieszka Tania Kociubyńska? Jest trzech świadków, którzy zeznają, że usiłowaliście pobić kierowniczkę Urzędu Stanu Cywilnego”. A przecież podczas zejścia nikogo oprócz nas nie było w gabinecie! Milicjant zabrał moją córkę, miała wtedy siedemnaście lat, postawili przed kolegium, na którym pytano ją głównie o to, dlaczego mnie, swoją matkę, broniła. Ukarano ją grzywną, którą szybko zapłacił mi, żeby tylko nie pisali o tym do niej do pracy.

Trzy razy składaliśmy podanie, że chcemy się pobrać i trzy razy nasze podanie było odrzucane. Później sądownie próbowano orzec ubezwłasnowolnienie. Starano się dowieść, że Borys Dmytrowycz jest niepoczytalny. Przychodzili do nas lekarze psychiatrzy, trwała nagonka na mnie w pracy, wciągnęli w to syna Borysa Antonenki-Dawydowycza. W końcu doprowadzili do tego, że wyprowadziłam się od niego. Niemniej jednak Borys Dmytrowycz słał pisma, petycje i protesty do różnych urzędów. Pisał do prokuratury, do sądu do Komitetu Centralnego – bez skutku. Wkrótce po tej historii Antonenko-Dawydowycz umarł. A i ja z tej epopei wyszłam ledwo żywa.

Ten system nacisków przenikał we wszystkie, nawet najbardziej intymne dziedziny życia. Ta historia z Borysem Antonenką-Dawydowyczem była jedną z najtrudniejszych w moim życiu, tym bardziej, że usiłowano stworzyć wrażenie, że opiekuję się nim z wyrachowania, by przejąć jego mieszkanie.

B.B.-A.H.: – *Wydarzeniem konsolidującym kijowskie środowisko poprzez protesty była premiera filmu Paradzanowa. Dwa lata wcześniej miało miejsce zdarzenie, które wstrząsnęło opinią publiczną – był nią pożar Biblioteki Akademii Nauk. Jak Pani pamięta tamto wydarzenie?*

M.K.: – W dzień pożaru nie było mnie w Kijowie. Nazajutrz przyjechałam do miasta i od razu poszłam na pogorzelisko. Wraz z innymi pracownikami AN rozgrzebywałam ugaszone, ale miejscami tłące się góry popalonych, ociekających wodą książek. To było wstrząsające. Grzebiesz się w tym i nagle wyciągasz egzemplarz „Istorii Zaporoskojii Siczy” Beauplane’a.

Jeżeli książka trzyma się jako tako, odnosisz ją na bok, by ją wysuszone. Grzebiesz dalej i nagle natykasz się na źródło ognia. Zaczyna się gaszenie pożaru i znów rozgrzebujesz następne stosy książek. Dwa dni pracowałam przy ratowaniu książek z biblioteki, trzeciego dnia zachorowałam: nie wiem czy zatrulałam się wyziewami z tego pogorzeliska, czy było to zbyt wielkie przeżycie – dość, że zachorowałam.

B.B.-A.H.: – *Kiedy pokolenie lat sześćdziesiątych wkraczało w życie kulturalne, to obok Pani, Swerstiuka, Switłycznego, Stusa, Horyniów, Czornowola, Liny Kostenko, w jego skład wchodził również Dmytro Pawłyyczko⁴¹, Iwan Dracz, Mykoła Winhranowski, Witalij Korotycz, czyli twórcy, pozostający przez cały czas w jakiś sposób w oficjalnym obiegu życia literackiego. Czy po pierwszej fali aresztowań były jakieś kontakty między wami a nimi? Czy ci, oficjalnie uznawani poeci pomagali wam?*

M.K.: – Nie przypominam sobie takich wypadków. Jakoś tak definitywnie się rozstaliśmy. Niektórzy z nich starali się zachowywać neutralnie, na przykład Iwan Dracz. Natomiast Mykoła Winhranowski miewał zachowania nie do przyjęcia. Żona Switłycznego na przykład nie może mu wybaczyć następującej historii: przy okazji jakiejś przepustki z zesłania, Switłyczny odwiedził Mykołę Łukasza, Winhranowski zaś przy najbliższej okazji zrobił Łukaszowi awanturę za to, że ten śmiał przyjąć u siebie kogoś takiego jak Switłyczny. Takie rzeczy też miały miejsce. Jeżeli już można było na kogoś liczyć, to chyba jednak na pisarzy starszego pokolenia. Myślę, że zwracano się o pomoc do Ołesia Honczara, który jeżeli tylko było to w jego mocy, to pomagał. Ale te przypadki tonęły w morzu donosów i świństw. W publicznych donosach celowała *Literaturna Ukraina*. Pamiętam tam felietony o mnie i o Borysie Antonence-Dawydowyczu. Zaatakowano w

41. Dmytro Pawłyyczko (ur. 1929) – poeta i tłumacz. Debiutował w okresie przedodwilżowym. Wiersze publikowane w pierwszej połowie lat 60-tych były bliskie poezji szestydesiatników. Później jednak poeta powraca do twórczości o wymowie publicystycznej.

nich nawet moją córkę, że uczy się bardzo źle, ale ubiera się Bóg wie jak. Proszę sobie wyobrazić, że po tej publikacji z mojej pracy wysłano komisję do szkoły mojej córki, żeby sprawdziła, jak też jest z moją córką. Dyrektor szkoły bardzo się zdziwił tym najściem, ale się nie przestraszył: „Mamy dzieci, które się jeszcze gorzej uczą od Kociubyńskiej ale, nie wiem dlaczego, gazety o nich nie piszą. A ubiera się normalnie”. Na końcu tego artykułu była uwaga, że został on napisany na podstawie listów oburzonych ludzi pracy. Po tej historii z komisją posłałam więc do redaktora naczelnego *Literaturnej Ukrainy*, Witalija Winohradskiego, i zażądałam pokazania mi tych listów. Nie widziałam wcześniej człowieka, który aż tak bałby się spojrzeć mi prosto w oczy. Wzrok wbił w podłogę. Rzecz jasna, żadnego listu mi nie pokazał.

B.B.-A.H.: – *A jak wyglądało odchodzenie od was ludzi takich jak Dracz, Winhranowski czy Pawłyczko?*

M.K.: – Winhranowski odszedł najwcześniej, zajął się kinem. Dracz napisał samokrytykę. Przy czym jakoś tak się złożyło, że do Dracza raczej nie było w naszym środowisku żadnych pretensji. Pawłyczkę znałam najmniej, ale wydawało mi się, że był taki sprytny, iż czasami sam się przechytrzał. W ogóle nikt z naszego koła nie był z nim blisko. Oddawaliśmy mu to, co mu się należało, szczególnie za czasów, kiedy był redaktorem naczelnym *Wseswitu*. Uznawaliśmy, że wtedy jednak zrobił coś dobrego dla kultury ukraińskiej.

B.B.-A.H.: – *Ale przecież to on zwolnił z redakcji Mykołę Łukasza.*

M.K.: – Bo nie miał wyjścia. Gdyby on tego nie zrobił, zrobiłby to ktoś inny. Aby pozostać naczelnym, musiał to zrobić. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ponieważ nigdy nie byłam blisko z Pawłyczką. Podobnie szybko jak Winhranowski, odszedł Korotycz. Korotycz poddał się swoim ambicjom, a po aresztowaniu Switłycznego w 1965 roku zachowywał się po prostu nieprzyzwoicie.

B.B.-A.H.: – *Przyszedt rok 1972 i masowe aresztowania określane mianem „wielkiego pogromu”...*

M.K.: – Do wielkich aresztowań doszło w styczniu 1972 roku. Dziuba ciągle był na wolności. Mnie zaczęto wzywać na przesłuchania do KGB. Do czego chcieli mnie wykorzystać? Kaciebiści zdecydowali się wykorzystać moje nazwisko i połączyć je z nazwiskiem Zinowii Franko. Zinowię Franko natychmiast po aresztowaniach zatrzymali, choć formalnie nie została aresztowana. W trakcie rozmów KGB szantażowało Franko dziećmi, tym, że odbiorą jej mieszkanie, w którym mieszkała cała jej rodzina. To mieszkanie było dla niej sprawą życia i śmierci. Po zatrzymaniu Zinowii Franko jej mąż natychmiast zerwał z nami wszystkimi kontakty, my zaś nie mieliśmy do niej żadnego dostępu. W jakiś czas potem zaczęło się to ciągnięcie mnie do KGB, był taki okres, że wzywano mnie tam codziennie. Z początku chcieli mnie zastraszyć, na przykład pytali: „A co tam porabia Pani mała?” Moja córka miała wówczas jedenaście lat, niemniej odpowiadałam: „Nic nadzwyczajnego, gotuje ziemniaki, a w ogóle to wcale nie jest taka mała”. Potem zostawiali mnie całymi godzinami samą w gabinecie. Kiedy zaczęli mnie trzymać w KGB do szóstej, siódmej popołudniu i sytuacja ta zdawała się nie mieć końca, zdeterminowana powiedziałam: „Jeżeli chcecie mnie tu zostawić, to proszę bardzo, zostawiajcie, o proszę, mam ze sobą szczoteczkę do zębów. Jeżeli natomiast macie zamiar mnie wypuścić, to puszczajcie, bo jestem już zmęczona, mój dzień pracy już się skończył”. Później wpadłam na pewien pomysł. Kiedy wzywali mnie do KGB, a pracowałam wtedy jako redaktor, brałam ze sobą swoją robotę, długopis i redagowałam tekst. Kaciebistom mówiłam: „Chodzi wam o to, by mnie tu trzymać, a ja mam pilną robotę”. I tak to trwało.

Początkowo w tych przesłuchaniach, KGB chodziło o czeski ślad. A że często u mnie gościli Zena Genyk-Berezowska i Andrij Kurymski, więc przesłuchiowano mnie niejako z automatu. W pewnym momencie zrozumiałam, że Zina Franko zaczęła mówić, i to mówić o wszystkim. Było to tym bardziej niebezpieczne, że Zina płątała ze sobą, to co

istotnie się wydarzyło, z tym co nigdy nie miało miejsca. Oczywiście na śledztwie wszystkiemu zaprzeczałam i natychmiast uprzedziłam wszystkich, że Franko zaczęła sypać.

Pamiętam, jak wysłano mnie rzekomo w podróż służbową do Charkowa. Już tam na miejscu zabrali mnie do KGB i pokazali samokrytykę Ziny Franko, wydrukowaną w gazecie *Radianśka Ukraina*. Spojrzałam na początek i podpis i zwróciłam im gazetę. Kaciebiści nie mogli wyjść ze zdumienia: „Jak to, nie chce Pani tego przeczytać?” Ja im na to: „Jakby wam tu powiedzieć, znam ten styl. Z całą pewnością lepiej od Ho Mo Jo nie można się kajać” (w samokrytyce ten Chińczyk napisał, że musiałby wytaplać się w błocie, aby odpokutować swoje winy). Później zmuszono jeszcze Franko do wystąpienia w telewizji.

W pewnym momencie KGB zorganizowało konfrontację mnie i Franko. To było chyba najgorsze przeżycie. Zabrali mnie z pracy (szczęściem w nieszczęściu było to, że miałam wyjątkowo porządną szefową; z całą pewnością te ciągłe wezwania miały być sygnałem do nagonki na mnie w pracy, a dzięki niej nagonki nie było), zawieźli do KGB, wprowadzili do pokoju, w którym wcześniej nie bywałam, a tam już czekała Zina Franko. Rzuciła się ku mnie z otwartymi ramionami. Zbyłam to jakimś zdawkowym gestem. Był tam śledczy Mykoła Kolczyk, ten sam, który rozpracowywał Dziubę, najinteligentniejszy z kaciebistów, których spotkałam (znałam go jeszcze z uniwersytetu, był moim rówieśnikiem, studiował prawo i nasze podobizny jako najlepszych studentów zawsze wisały obok siebie na tablicy chwały/*doszka poszany*/). Kolczyk powiedział: „Wtedy to a wtedy w waszym mieszkaniu Zinowija Franko przekazała Andrijowi Kurym-skiemu *Ukraińskij Wisnyk* itd.”. Na to ja: „Pytaliście mnie o to dziesiątki razy, dziesiątki razy już na to pytanie odpowiadałam i po raz kolejny odpowiem: niczego takiego nie pamiętam”. Na to Kolczyk: „A Zinowija Tarasiwna twierdzi co innego”. Kolczyk mówi, a Franko milczy, coraz bardziej kuląc się w sobie. Kolczyk chwilę patrzył na nią wyczekująco, w końcu ryknął: „No, Tarasiwna!!!”. Franko zaczęła coś szybko mówić... Sytuacja okropna i jednocześnie zadziwiająca: do mnie, choć mieszałam im wszystkie karty, kaciebiści

odnosili się z całym szacunkiem, natomiast Zinę Franko traktowali jak śmiecia. Kiedy po tej konfrontacji wychodziłam na ulicę, to ugiwały się pode mną nogi. Pamiętam jak dzisiaj, że poszłam natychmiast do Dziuby, który pracował wówczas w wydawnictwie „Dniepro”, niedaleko KGB, i powiedziałam, że muszę dotknąć człowieka.

Wprawdzie z konfrontacji nic nie wyszło, ale przesłuchania trwały nadal. W końcu postanowiłam napisać list do Fedorczyka, który zakończyłam mniej więcej w ten sposób: „Chcecie ode mnie usłyszeć nie to, co ja mówię, lecz to, co chcecie usłyszeć. Bez względu na konsekwencje ja tego nie uczynię”. To zdanie podkreśliłam na czerwono. Proszę sobie wyobrazić, że ten list poskutkował, przestano mnie wzywać do KGB. Tak zakończyła się moja pierwsza runda z organami.

Druga runda rozpoczęła się, gdy Dziuba napisał samokrytykę, a ja nie wytrzymałam i napisałam do niego list. Przy czym umówiłam się z jednym ze znajomych, że przekaże mu ten list, kiedy w domu nie będzie żony ani teściowej Dziuby. Tak też ten mój znajomy uczynił. A następnego dnia u mnie była już rewizja. Przetrzęsnęli całe mieszkanie, ale niczego nie znaleźli: mojej jedenastoletniej córce udało się zniszczyć brudnopis listu. Później okazało się, że kiedy mój znajomy przekazywał list Dziubie, w jego mieszkaniu siedział właśnie śledczy Kolczyk. W ogóle pokajanie się Dziuby było dla nas wszystkich tragedią. Nie mogłam zrozumieć, jak Dziuba mógł ją napisać. Z tego mojego listu pamiętam jedno tylko zdanie: „Twoja samokrytyka to dla nas nóż w plecy”.

B.B.-A.H.: – *Pora teraz na pytanie o Pani korespondencję z przyjaciółmi, którzy zostali aresztowani. Kiedyś powiedziała Pani, że pisanie listów w pewnym momencie Pani życia, było jego sensem. A że i Pani była ważnym korespondentem dla więźniów, świadczą m.in. słowa z listu Iwana Switłycznego do Mykoły Bażana*⁴²: „W rzeczywistości

42. Mykoła Bażan (1904-1983) – poeta i tłumacz. Początkowo tworzył pod wpływem futuryzmu i ekspresjonizmu, po 1932 r. (wydał wówczas tomik o charakterystycznym tytule – „Śmierć Hamleta”) przeważa w jego poezji tematyka rewolucyjna i wojenna.

posiadam korespondentów, z którymi łączą mnie ściste, można nawet powiedzieć, intymne więzy. Rozumiemy się w pół słowa i im nie musiałabym wyjaśniać wiele z tego, co zmuszony jestem wyjaśniać Panu. Spośród tych korespondentów wybrałem sobie Mychajłynę Kociubyńską (nie muszę jej Panu przedstawiać) i zacząłem pisać do niej poważny list, lecz wszystko widzące oko dopatrzyło się w nim prawdopodobieństwa nieprawomyślności i rozpoczęty przed trzema miesiącami, nie ukończony list został mi odebrany, a następnie skonfiskowany”. Jak więc było z tym pisanem listów?

M.K.: – Pisanie listów było czynnością równie ważną dla tego, kto listy otrzymywał, jak i dla tego, kto listy pisał. Przede wszystkim był to życiowy wybór: jeżeli zdobywałeś się na pisanie listów pomimo, że twój korespondent siedział w łagrze, to dawałeś świadectwo odwagi i w tej odwadze się utwierdzałeś. Prawdą jest to, co Pani powiedziała, kiedy moi przyjaciele zostali aresztowani, pisanie do nich było sensem mojego życia. Ze względu na więzienny reżym, tych listów nie było tak dużo, jakbym tego chciała. Od moich korespondentów otrzymywałam głównie kartki pocztowe, czasami dostawałam jakimś cudem przemycony pozaplanowy list. Czasami list do mnie przesyłany był w korespondencji do żon, sióstr, rodziny więźniów. Zdarzały się przy tej okazji problemy. Na przykład jeden z najciekawszych i najbardziej wzruszających listów Stusa do mnie przeczytałam niedawno, kiedy przygotowywałam korespondencję Stusa do wydania. Ten list znajdował się w korespondencji do żony, nie dociekałam jak to się stało, że żona Stusa wtedy, kiedy nadszedł, nie przekazała mi go. List ten był napisany dwa lata przed śmiercią poety. Każdy list z obozu traktowałam jak prezent od losu. Najbardziej przykre sytuacje zdarzały się, gdy nie mogłam przeczytać napisanych do mnie listów: tak na przykład było dość często z listami Swerstiuka z powodu jego nieczytelnego charakteru pisma.

Kiedy człowiek zdecydował się pisać do łagrów, to natychmiast musiał odpowiedzieć sobie na pytanie: jak pisać? Nie było to banalne pytanie, bo cenzura więzienna była

bardzo ostra i pod byle pretekstem konfiskowała listy. Nie można było pisać ani otwarcie o rzeczach ważnych. Trzeba było więc znaleźć jakiś sposób. Na przykład żona Switłycznego wypracowała cały system różnych umownych znaków. Ja wybrałam inną drogę: pisałam o tematach ogólnoludzkich i ponadczasowych, dzięki czemu mogłam o wielu rzeczach informować. Większość moich listów dochodziła do adresatów. Przy czym zauważyłam jeszcze jedną prawidłowość: nie dochodziły nie tylko listy ocierające się o jakąś społeczną czy polityczną tematykę, ale również nie dochodziły po prostu najlepsze listy (niedawno wśród materiałów, które zwrócono z archiwum KGB synowi, odnalazłam jeden z takich listów). Nie doszedł np. do Stusa jeden z moich najlepszych listów poświęcony muzyce, sztuce bez żadnych aluzji politycznych. Zdarzały się też sytuacje kuriozalne. Stus, pracując nad przekładami z Goethego, poprosił o przesłanie mu schematu wiersza Aleksandryjskiego, konkretnie prosił o schemat heksametru i pentametru. Napisałam schemat, wiecie jak to wygląda: kreska kropka itd., i list, oczywiście, zatrzymała cenzura. Wtedy zrozumiałam, że cenzura potraktowała ten schemat jak tajemniczy szyfr. Napisałam więc drugi list, przy czym z boku listu zrobiłam mniej więcej taką notatkę: „Szanowny Towarzyszu Cenzorze, to jest schemat wiersza antycznego. Niezwykle gorąco proszę was, przepuście ten list”. I list dotarł do Stusa.

Jeszcze jeden szczegół dotyczący mojej strategii korespondencji. Dużo wtedy podróżowałam, oczywiście, po Związku Sowieckim. I bez względu na to, gdzie byłam, kupowałam karty pocztowe, możliwie najładniejsze, siadałam w jakimś malowniczym miejscu i pisałam na tych kartkach o tym, co widzę; opisywałam krajobraz, zabytki, zwyczaje. Kartki te z reguły dochodziły. I dopiero teraz, kiedy przygotowywałam listy Stusa, zrozumiałam, jakie ważne były one dla niego. Te kartki były dla niego jak łyk świeżego powietrza. W listach do żony opowiada te moje liściki z kart pocztowych.

Mówiąc o tym naszym korespondowaniu, muszę podkreślić, że wszyscy nasi adresaci (w moim przypadku byli to przede wszystkim Switłycznyj, Stus, Swerstiuk) prowadzili z

administracją zaciętą wojnę o każdy list. Ta walka była wyjątkowo zacięta na zesłaniu. W ogóle mieliśmy taką nie-pisaną umowę, że listy do łagrów wysyłaliśmy jako przesyłki wartościowe, przy czym ich wartość określaliśmy bardzo wysoko. Czasami to pomagało. Jeżeli w liście niczego specjalnego nie było, a jego wartość określona była bardzo wysoko, to przekazywano go adresatowi. W swoich listach starałam się systematycznie przekazywać moim adresatom informacje o tym, co się ostatnio pojawiło na rynku księgarskim.

Jestem przekonana, że korespondencja *szesydesiatnyków* jest ogromnie ważną kartą naszych najnowszych dziejów. Na szczęście wiele udało się już opublikować. Ukazała się korespondencja Jewhena Swerstiuka z Jurijem Łuckim⁴³, wzruszająca korespondencja Zinowija Krasiwskiego z działaczką *Amnesty International*, Iris Akagoshi, listy Wałerija Marczenki do matki. Wraz z synem i synową Wasyla Stusa przygotowałam do druku dwa wyjątkowo cenne tomy korespondencji Stusa z bliskimi, przyjaciółmi i znajomymi. Książkę, która ukaże się w tym roku opatrzone szczegółowymi przypisami i indeksem. Żona i siostra Iwana Switłycznego przygotowały tom jego listów i wspomnień o nim. Kilka lat temu, porządkując w Pradze archiwum Ziny Genyk-Berezowskiej po jej śmierci, natrafiłam w nim na ponad 300 listów *szesydesiatnyków* do niej (m.in. Switłycznego, Swerstiuka, Dziuby, Szewczuka, Korohodskiego i moje). Przywiozłam je do Kijowa i zamierzam opracować.

B.B.-A.H.: – *A kto w ogóle wtedy utrzymywał kontakt listowny z łagrami?*

M.K.: – Oczywiście, przede wszystkim żony i rodziny, oprócz nich cały ten krąg dysydentów. Jeszcze raz chcę podkreślić, że pisanie do obozów nie było łatwą decyzją. Nie chodziło przy tym o treść listów, a o sam fakt pisania.

43. Jurij Łucki (ur. 1919) – emigracyjny historyk literatury, tłumacz. Mieszka w Kanadzie. Przełożył m.in. eseje Jewhena Swerstiuka (1976).

B.B.-A.H.: – *Czy były wypadki, że ktoś, kto zdecydował się pisać listy, miał z tego powodu jakieś nieprzyjemności?*

M.K.: – Oczywiście. Odpowiednie organy po prostu znajdowały tych ludzi i się zaczynało. Kągiebiści przychodzili do pracy i zaczęli odpytywać: „Napisaliście kartę do Switłycznego – dlaczego?”. Zresztą co tu mówić o pisaniu do obozów, wystarczył sam kontakt z ludźmi takimi jak ja, by mieć nie kończące się kłopoty. Przykład – znajoma nauczycielka, której pomagałam i która mnie bardzo lubiła, w pewnym momencie zniknęła z mojego życia. Po latach dowiedziałam się, że z mojego powodu była wzywana do KGB. Grożono jej, że jeżeli nie zerwie ze mną stosunków, to zostanie zwolniona z pracy. Od pewnego momentu ludzie, dość mi bliscy, zaczęli na mój widok przechodzić na drugą stronę ulicy. Obserwowała to również moja córka, najpierw ze zdziwieniem, później zaś zrozumiała, o co chodzi i kiedy w jej obecności zdarzało się coś takiego, mówiła: „O, i ten też!”

B.B.-A.H.: – *U Stusa w dziennikach jest taka uwaga zapisana pod koniec 1979 roku, kiedy na krótko między jednym a drugim aresztowaniem znalazł się w Kijowie, że nie pozna-je tego miasta, że nie może znieść atmosfery serwilizmu i tchórzostwa. W tym samym zapisku jest jego deklaracja, że wstępuje do Ukraińskiej Grupy Helsińskiej, bo nie widzi innego wyjścia. Jak Pani, która pozostała jednak na wolności, pamięta atmosferę końca lat siedemdziesiątych?*

M.K.: – Na pewno nie odczuwaliśmy tego tak ostro jak Stus, bo przecież byliśmy bezustannie w tej atmosferze zanurzeni. Oczywiście, nie mieliśmy złudzeń, że jesteśmy na wolności. Było to dla nas jasne, że obóz jest małą zoną, a my żyjemy w dużej. Ci, którzy powracali z obozów odczuwali tę atmosferę gorzej, bo tam w łagrze byli wewnętrznie bardziej wolni niż my. Nam ta atmosfera weszła jednak jakoś w krew.

B.B.-A.H.: – *Jakie lektury ukształtowały wasze środowisko?*

M.K.: – Przede wszystkim literatura *samwydawu*. Nowości

literatury światowej dostępne w języku polskim: Kafka, Camus. Bardzo ważne i popularne wśród nas było pismo czechosłowackich Ukraińców *Dukla*. Z pisarzy na początku bardzo popularny był Hemingway. Następnie Saint-Exupéry, a szczególnie „Ziemia – planeta ludzi”, „Mały Książę”. Wszyscy go czytali. Dużą popularnością cieszyła się także literatura rosyjska, Stus na przykład zachwycał się Ajmatowem, Tendriakowem, Rasputinem. Rasputina zresztą czytaliśmy wszyscy. Swiłyuczny ceniał Astafjewa. No i oczywiście Sołżenicyn. „Oddział chorych na raka” przekazywaliśmy sobie z rąk do rąk. Podobnie było z „Jednym dniem Iwana Denisowicza”. Oprócz tego kolosalne znaczenie miało dla nas pismo *Nowyj Mir*. Ogromne. Zawsze je prenumerowałam. Ostatnio ukazała się bardzo ciekawa książka Łakszyna „Nowyj Mir w epoce Chruszczowa”. Kiedy z kolei się czyta książkę Ludmiły Aleksiejewnej „Inakomyslenije w SSSR”, to z kolei widać, jak wielkie znaczenie dla Rosjan mieli ukraińscy dysydenci. W tym względzie rzeczywiście istniało coś w rodzaju internacjonalistycznej przyjaźni.

B.B.-A.H.: – *A skąd czerpaliście nadzieję w te beznadziejne lata siedemdziesiąte?*

M.K.: – Gdyby na to pytanie odpowiadał człowiek z temperamentem polityka, zapewne odpowiedziałby coś innego. Jeżeli zaś chodzi o mnie, to czerpałam nadzieję z samej istoty człowieczeństwa. Zawsze byłam przekonana, że jakieś takie podstawowe ludzkie wartości muszą zwyciężyć. Bo gdyby nie zwyciężyły, to w ogóle życie musiałoby zamarść. Ja sama zaznałam w życiu tyle dobroci, tyle przyjaźni, tyle czegoś czystego, jasnego. Zawsze mi się wydawało, że właśnie to jest autentyczne, że to jest prawdziwe życie. I jeżeli życie będzie trwać, a ono tak czy owak będzie trwać, to w końcu właśnie to zwycięży. Taki to był mój pasywny optymizm. A gdyby mówić bardziej generalnie, to wszyscyśmy wyrosli na takiej fali odrodzenia narodowego i byliśmy pewni, że to co było dla nas najistotniejsze, jest nie do zduszenia i przy następnej nadarzającej się okazji jeszcze się rozwinie. To była jakaś taka metafizyczna wiara.

B.B.-A.H.: – *Dziękujemy serdecznie za rozmowę.*

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Zbigniew T. WIERZBICKI

ANTONI PERETIATKOWICZ 1884-1956

Zmarły 18 grudnia 1956 roku profesor zwyczajny dr Antoni Peretiatkowicz, ściśle związany swoją działalnością z Uniwersytetem Poznańskim oraz Wyższą Szkołą Handlową – Akademią Handlową w Poznaniu i wielce zasłużony dla rozwoju obu tych uczelni, należał do najwybitniejszych prawników polskich ostatniego stulecia, znany był również za granicą¹. Był twórczym uczonym i wybitnym organizatorem nauki; był również zasłużonym popularyzatorem prawa i problemów życia politycznego, kształtując świadomość i kulturę prawa inteligencji, zwłaszcza młodego pokolenia. Był niewątpliwie najwybitniejszym „roussoistą” w Polsce, a drążąc

1. Jurij Fedynskij charakteryzuje działalność A. Peretiatkowicza słowami: *an incredible record* (nieprawdopodobne osiągnięcie), gdy omawia wydawany przez niego *Ruch Ekonomiczny...*; *a valuable addition* (cenne uzupełnienie), gdy omawia jego prace o Rousseau; *a rare abilities as an administrator, teacher and writer* (rzadkie połączenie zdolności administratora, nauczyciela i pisarza), gdy ogólnie ocenia jego osobowość, zob. tenże, „Prominent Legal Scholars of the Last One Hundred Years” w: J. Wagner, „Polish Law Throughout the Ages”, Hoover Institute Press, Stanford University 1993.

ten temat przez cały niemal okres swojej twórczości, wpisał się w poczet europejskich znawców koncepcji Rousseau.

Wielkość Profesora polegała na trzech jego cechach: naukowej wszechstronności w zakresie prawoznawstwa, nieprzeciętnym zmyśle organizacyjnym i na posiadaniu pewnych cech charakteru szczególnie cennych w życiu publicznym i społecznym.

Urodził się 13 czerwca 1884 roku w Boruchowie na Wołyniu. Ukończył gimnazjum w Kamieńcu Podolskim, po czym podjął studia prawnicze na uniwersytecie rosyjskim i polskim tajnym w Warszawie. W latach 1905/6-1906/7 studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, a w okresie 1907/8-1909/10 na Uniwersytecie Jagiellońskim. Stopień doktora praw uzyskał na tymże Uniwersytecie w roku 1909. Dalsze studia odbywał za granicą – w Heidelbergu, Paryżu i Genewie. Studia te owocowały zarówno poważnymi publikacjami, jak i bezpośrednimi kontaktami z ówczesnymi wybitnymi uczonymi niemieckimi (G. Radbuch, G. Jellinek) i francuskimi (A. Esmein, L. Deguit), oraz wykorzystaniem zasobnych bibliotek i archiwów zagranicznych. Najważniejszym rezultatem jego studiów zagranicznych, zwłaszcza w Genewie, była praca: „Filozofia prawa Jana Jakuba Rousseau” (1913). Na jej podstawie habilitował się na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Od kwietnia 1919 r. związał się na stałe z Poznaniem, gdzie rozporządzeniem Naczelnej Rady Ludowej (z dnia 8 lipca 1919 r.) został mianowany profesorem zwyczajnym i kierownikiem Katedry Nauki o Państwie i Prawa Publicznego w nowo otwartym Uniwersytecie Poznańskim (wówczas pod nazwą Wszechnicy Piastowskiej).



Od początku swojej kariery naukowej wyróżnia się Profesor jako świetny organizator studiów uniwersyteckich: oto w latach 1919-20 organizuje Wydział Prawno-Ekonomiczny Uniwersytetu jako pierwszy dziekan; w latach 20-ych pełni funkcję prorektora; od 1936 do 1939 piastuje godność rektora Uniwersytetu. Jednocześnie bierze czynny udział w utwo-

zeniu w Poznaniu w 1926 r. drugiej uczelni: Wyższej Szkoły Handlowej, w której zostaje profesorem zwyczajnym, obejmując Katedrę Prawa Publicznego, zaś w l. 1930-1938 pełni funkcję dyrektora, przeprowadzając zasadniczą reformę studiów, dzięki której Uczelnia wychodzi pomyślnie z kryzysu. Reforma ta, wprowadzająca szeroki profil nauczania stała się wzorem dla innych uczelni tego typu w Polsce. Podnosząc wytrwale poziom nauczania stwarza podstawy dla starań o przyznanie Uczelni praw akademickich, a gdy Uczelnia je otrzymuje, zostaje w 1938 r. pierwszym jej rektorem już jako Akademii Handlowej, pełniąc jednocześnie nadal funkcję rektora Uniwersytetu Poznańskiego.

W połowie 1939 roku rezygnuje z profesury na Uniwersytecie Poznańskim i ze stanowiska rektora Akademii Handlowej, przenosi się w sierpniu 1939 roku do Warszawy, gdzie obejmuje stanowisko sędziego w Najwyższym Trybunale Administracyjnym². Po zajęciu Poznania przez Niemców jest poszukiwany przez gestapo. Po wojnie powraca do Poznania i podejmuje pracę na Uniwersytecie i w Akademii Handlowej (zlikwidowanej z przyczyn politycznych w 1951 r.), w której obejmuje znowu Katedrę Prawa Publicznego.

Wielkim osiągnięciem zarówno naukowym, jak i organizacyjnym, było założenie przez Profesora w roku 1921 kwartalnika *Ruch Prawniczy i Ekonomiczny*, od roku 1925 również *Socjologiczny*, przy czym od samego początku aż do roku 1939 był Peretiatkowicz naczelnym redaktorem tego pisma, należącego do najpoważniejszych kwartalników naukowych w Polsce. Gdy w czasie wielkiego kryzysu inne czasopisma naukowe w II RP borykały się z trudnościami,

2. Peretiatkowicz wyróżniał się wyjątkową, na tle społeczeństwa polskiego, intuicją polityczną, wspartą dużą wiedzą, m.in. już w 1938 r. twierdził, iż Hitler podejmuje ryzyko wojny; w początkach 39 roku wybuch wojny przewidywał – na wrzesień (po żniwach) i likwidację polskich elit politycznych; w 1940 r. nie wierzył w zwycięstwo Francji, a po Stalingradzie spodziewał się już okupacji sowieckiej w Polsce; wreszcie nie łudził się nadzieją wybuchu III wojny światowej, a wiarę w nią uważał za typowe *wishful thinking*, wynikające m.in. ze słabej znajomości psychiki Anglosasów i historii ich dyplomacji.

Ruch trwał i wychodził do końca II RP (ukazało się około 80 tomów), zadziwiając środowiską naukową nie tylko regularnością ukazywania się, lecz również poziomem naukowym. Publikowali w nim nie tylko znani uczeni polscy jak Edward Taylor, Czesław Znamierowski czy Florian Znaniecki, lecz również autorzy innych ośrodków naukowych w Polsce, a nawet z zagranicy (np. H. Poincaré – b. prezydent Francji, J. Bartholémy – profesor prawa z Paryża, H. Kelson – światowej sławy prawnik i G. Leibholz – profesor z Getyngi).

Profesor Antoni Peretiatkowicz brał również żywy udział w organizacjach i imprezach naukowych w Poznaniu. Przez wiele lat (1919-1927) był prezesem Towarzystwa Prawniczego i Ekonomicznego. Podtrzymywał starannie stosunki z prawnikami krajów słowiańskich i Francji. Był współzałożycielem i prezesem Towarzystwa Polsko-Francuskiego (odznaczony w roku 1936 Legią Honorową), inicjatorem i organizatorem Zjazdu Prawników i Ekonomistów w Poznaniu w roku 1929, w roku 1937 – Instytutu Prawa Publicznego.

Profesor dzielił bardzo umiejętnie swój czas i wysiłki między pracę ściśle naukową, popularyzatorską, naukowo-organizacyjną, a nawet społeczno-towarzyską. Jego dorobek ściśle naukowy do roku 1939 liczy wiele poważnych pozycji książkowych, w tym kilkuczęściowa „Encyklopedia prawnicza”.

Specjalizował się w teorii i filozofii prawa, historii doktryn politycznych oraz prawie konstytucyjnym. Interesował się szczególnie ustrojami politycznymi państw współczesnych, m.in. faszystowskim („Państwo faszystowskie, Bilans rządów pięcioletnich”, Poznań 1927) i sowieckim, oceniając oba negatywnie. Ustrój sowiecko-komunistyczny w pełni dyskwalifikował. Będąc zawsze przeciwnikiem ustrojów totalitarnych, krytycznie odnosił się również do ustrojów parlamentarnych skrajnie demokratycznych, pisząc: „historia jest wiecznym ścieraniem się idei porządku z ideą wolności. Zapewne, wolność bez porządku prowadzi do anarchii, ale porządek bez wolności prowadzi do despotyzmu... Autorytet i wolność winny być ze sobą harmonijnie zespolone” („Państwo faszystowskie...”, s. 26).

Jako pierwszy w Polsce zajął się Profesor francuskim socjologiem Georgem Sorelem, teoretykiem rewolucyjnego syndykalizmu. Pisał również o Machiavellim (1938), Andrzej Fryczu-Modrzewskim (1952). Z opracowań z teorii prawa warto wymienić przede wszystkim jego wnikliwe rozważania nad koncepcjami austriackiego uczonego H. Kelsena.

Uważa się, iż na poglądy Profesora oddziaływały silnie: neokantyzm, normatywizm Kelsena oraz psychologizm Petrażyckiego. Był, najogólniej ujmując, najbliższy kierunkowi pozytywizmu prawnego związanego z rzeczywistością, z faktami, przypisując zasadnicze znaczenie do pojęcia zwierzchnictwa państwowego oraz państwa. Jest ono – zdaniem Profesora – podmiotem praw i obowiązków, co stosunkowo najlepiej gwarantuje regulowanie stosunków prawnych między państwami oraz państwem i obywatelem. Być może był zbyt krytyczny i konsekwentnie logiczny w analizie różnych kierunków, by utworzyć własną szkołę. Natomiast istniały wyraźne przesłanki na utworzenie przez Profesora szkoły filozofii prawa i doktryn politycznych, gdyby nie wybuch wojny, a następnie zmiana ustroju politycznego.

W początkach PRL, w okresie względnej liberalizacji i... „cichej wojny domowej”..., Profesor opublikował kilka prac, będących rozszerzonymi bądź częściowo zmienionymi wznowieniami przedwojennych opracowań. Kolejno ukazywały się: „Wstęp do nauk prawnych” (1947, wyd. 6), „Podstawowe pojęcia prawa administracyjnego” (1947, wyd. 2), „Państwo współczesne” (1948, wyd. 9). „Kodeks polityczny” (Konstytucja Lutowa i ważniejsze ustawy polityczne wraz ze statutem Organizacji Narodów Zjednoczonych, 1948, wyd. 2), Rousseau: „Umowa społeczna” (tłum. z objaśnieniami, 1948, wyd. 3), wreszcie najpoważniejsza publikacja o myślicielu genewskim, pod zmienionym nieco tytułem: „Jan Jakub Rousseau. Filozof demokracji społecznej” (1949).

Ostatnie przebieżki względnej swobody istniały do roku 1949. Powołano wtedy jeszcze Profesora na rzeczoznawcę w procesie Arthura Greisera; jeszcze wygłaszał odczyty i brał udział w publicznych dyskusjach naukowych; lecz wykłady jego były coraz częściej, zwyczajem sowieckim, bardziej

czytane niż wygłaszane i... coraz bardziej zajmował się problematyką bezpieczną, niekontrowersyjną, mniej aktualną, np. tłumaczeniami klasyków lub pisał... „do szuflady”.

Po roku 1950 presja na „starą profesurę” wzrasta. Ci, którzy nie mieli jakiegoś oparcia w Kościele, wstępowali do Stronnictwa Demokratycznego, formalnie współrządzającego krajem, lecz nazywanym w społeczeństwie żartobliwie „Stronnictwem Drżących”. Skupiało ono przeważnie inteligencję i resztki inicjatywy prywatnej. Wstąpił doń i Profesor, co jednak nie uchroniło go od groźnego nacisku „od góry”, oraz mniej groźnego „oddolnego”, lecz bardziej bolesnego, bo z kategorii „hańby domowej”. Ostatni polegał na wykorzystaniu istniejącej sytuacji politycznej przez niektórych młodszych pracowników naukowych, by kosztem „starej profesury” przyspieszyć swe kariery naukowe. Jako swoisty przypadek modelowy można potraktować próbę szantażu Profesora celem zmiany recenzji pracy habilitacyjnej i dorobku naukowego z negatywnej na pozytywną, a w razie odmowy – grożenie interwencją polityczną w Komitecie Partii, oczywiście w imię walki z „reakcyjną profesurą”, hamującą „awans” młodych postępowych pracowników nauki. Zbyteczne nadmieniać jak chętnie było to przyjmowane przez Partię, zwłaszcza gdy młody adept ułatwionej kariery naukowej był bezpartyjny. Wzmacniało to jej „legitymację moralną” w oczach społeczeństwa, gdyż występowała w roli obrońcy młodych, w większości przecież bezpartyjnych naukowców, a nie tylko nielicznych partyjnych. Sprawą samą dla siebie był wpływ „upolitycznionych” pracowników nauki (nie zawsze byli to członkowie PZPR, nieraz użyteczniejsi dla niej bywali tzw. bezpartyjni bolszewicy) na funkcjonowanie Uniwersytetu, poziom naukowy oraz panującą w nim atmosferę pedagogiczną. Odpowiedź, która się tu nasuwa *prima facie*, brzmi: wpływ był negatywny. Rzecz wymaga jednak pewnych badań, których brak. I tak np. osobą o wyjątkowo silnym zapleczu politycznym był profesor, a następnie rektor UP, p. A. Kląfkowski, formalnie bezpartyjny, lecz piastujący znaczące stanowiska polityczne (m.in. poseł na Sejm, członek Rady

Państwa). Były na UP i inne osoby o podobnym zapleczu, lecz na mniej eksponowanych stanowiskach. Miały one – niezależnie od swej pozycji naukowej – z reguły decydujący głos w sprawach personalnych jak i samego Uniwersytetu.

W tej sytuacji wielu uczonych przechodziło (bądź ich przenoszono) na wcześniejsze emerytury, nie uzyskując należnych im stopni i tytułów naukowych, co miało dla nich bolesne konsekwencje finansowe. Znaczniejsze zmiany dokonały się dopiero po 1956 r. Nie doczekał ich już Antoni Peretiatkowicz, umierając w grudniu 1956 r. w szpitalu miejskim w Poznaniu w wyniku nieudanej operacji.

Zbigniew T. WIERZBICKI

KSIĄŻKI

Tadeusz WYRWA

OD NAPOLEONA DO DE GAULLE'A

W paryskiej Stacji Naukowej PAN, odbyło się 6 maja br. kolokwium pt. „Od Bonapartego do de Gaulle'a. Historia stosunków wojskowych francusko-polskich”. Organizatorami były tutejsze władze Stacji: jej dyrektor, prof. Henryk Ratajczak, zastępca dyrektora prof. Michał Tymowski, oraz wicedyrektor Stacji PAN prof. Wanda Krzemińska. Kolokwium przygotowali: Wojskowy Instytut Historyczny (WIH) w Warszawie, a ze strony francuskiej – Service Historique de l'Armée de Terre (SHAT) w Paryżu-Vincennes. Patronat nad kolokwium objęli: prof. Stefan Meller, ambasador RP we Francji i gen. Jean-Louis Mourrut, szef SHAT. Rannej sesji przewodniczył prof. Andrzej Ajnenkiel ze współudziałem prof. Wandy Krzemińskiej, a sesja popołudniowa toczyła się pod przewodnictwem gen. André Cousine'a. Materiały kolokwialne będą być może opublikowane, stąd w mojej tutaj relacji, oprócz krótkich wzmianek kto i o czym mówił, uwagę szczególną zwracam – zwłaszcza gdy chodzi o okres drugiej wojny światowej i wypadki, które ją poprzedzały – na to co, zdaniem moim, należałoby uzupełnić lub skorygować.

Po przywitaniu uczestników przez dyr. H. Ratajczaka i po zwięzłym wprowadzeniu, przez amb. S. Mellera do stosunków polsko-francuskich, pierwszy odczyt pt. „Polsko-francuskie współdziałanie wojskowe w epoce napoleońskiej” (w programie tytuł ujęty był trochę inaczej), wygłosił prof. Andrzej Rzepniewski. Autor dał biograficzny zarys gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, jego starań o utworzenie Legionów Polskich, uwieńczonych podpisaniem w styczniu 1797 roku w Mediolanie układu z rządem Lombardii, potwierdzonym następnie przez naczelnego wodza armii francuskiej we Włoszech, którym był Napoleon Bonaparte. Odtąd, przez następnych szesnaście lat, splotyły się losy Napoleona i Dąbrowskiego, dwu postaci historycznych, z których jedna usiłowała przeciwstawić się zagładzie Polski a druga zapewnić wielkość Francji i swoją własną. Na tle wzajemnych sprzeczności, które wynikły w trakcie realizowania dążeń każdego z nich, Rzepniewski podkreślił wagę jaką przywiązywał Dąbrowski do tworzenia typu żołnierza-obywatela, przedstawił etapy rozwoju Legionów i ich dramatu, oraz przypomniał znaczenie armii Księstwa Warszawskiego.

Następny odczyt dotyczący okresu napoleońskiego wygłosił kpt. Pierre-Louis Garnier. W prelekcji pt. „Polacy w armiach Napoleona”, autor dał przegląd poszczególnych faz organizowania jednostek wojska polskiego i ich wojenną działalność, gdzie odnotował, stosownie do faktów, trzy podstawowe fazy: 1. Tworzenie (w latach 1806-1807) różnych kategorii jednostek w złudnej nadziei na odzyskanie niepodległej Polski. 2. Użycie Polaków w armiach Imperium, gdy było ono u swojego zenitu (1808-1809). 3. Odwrót wojsk Imperium (1813-1815) i wierność Polaków wbrew wszystkiemu, co ich spotkało. W motywacji tej wierności, autor podkreśla, że wywodziła się głównie z pobudek ideologicznych i patriotyzmu połączonego z ideałami Rewolucji Francuskiej. „To nie byli najemnicy, ale żołnierze, którzy tworzyli armię narodową i która z powodów natury politycznej przeszła na służbę cudzoziemską”.

W dalszej kolejności odczyt pt. „Wojskowe stosunki polsko-francuskie w latach 1918-1939” wygłosił prof. Andrzej

Ajnenkiel. Znaczna część jego obszernej prelekcji¹ dotyczyła okresu wojny polsko-sowieckiej, która była również tematem innego odczytu, stąd potrzeba skrótów i uzgodnienia treści przed publikacją. W tej części odczytu, autor wspomina, że wśród Francuzów, którzy znaleźli się wówczas w Polsce był gen. de Gaulle i są ślady, że był tam również ojciec Jacquesa Chiraca, prezydenta Francji, ale szkoda, że nie rozwinął tego tematu, który jest przecież ciekawym przyczynkiem do stosunków obydwu krajów. Przedstawiając fluktuację tych stosunków w latach międzywojennych, prof. Andrzej Ajnenkiel dał szkicowy zarys tworzenia armii Hallera, działalności francuskiej misji wojskowej i gen. Maxime'a Weyganda, polityki Marszałka Józefa Piłsudskiego, skutków traktatów lokarneńskich i odrzucenia propozycji tzw. „wojny prewencyjnej” w 1933 r., po dojściu Hitlera do władzy, a później odrzucenia propozycji interwencji po zajęciu w 1936 r. przez Niemców zdemilitaryzowanej strefy Nadrenii. Następnie mowa jest o zawarciu paktu polsko-sowieckiego w 1932 r. i podpisaniu w 1934 r. deklaracji o niestosowaniu przemocy między Polską a Niemcami. Ostatnie przedwojenne lata, po śmierci Marszałka Piłsudskiego, warto byłoby rozszerzyć, zwłaszcza wydarzeniami z roku 1939, gdzie w odczycie brak np. nawet wzmianki o rokowaniach francusko-sowieckich w Moskwie w sierpniu 1939, które dzisiaj dobrze już udokumentowane² lepiej przemawiają do świadomości Francuzów niż nasze naświetlenie faktów.

Została też zupełnie pominięta osoba płk./gen. Louisa Faury, postaci dobrze znanej i cenionej w Polsce międzywojennej, z którą był związany od chwili odzyskania niepodległości. W 1919 roku, w randze podpułkownika Louis

1. Fotokopię tekstu tej prelekcji, podobnie jak i niektórych odczytów innych autorów, łaskawie mi użyczonych, zrobił mi dr Adam Gałkowski, pracownik paryskiej Stacji PAN, za co pragnę mu na tym miejscu szczerze podziękować.

2. Zob. np. François Delpla, „Les papiers secrets du général Doumenc. Un autre regard sur 39-40”. Ed. Olivier Orban, Paryż 1991, oraz omówienie tej książki w: *Zeszyty Historyczne* nr 102, Paryż 1992, str. 172-180.

Faury przyjeżdża do Polski z francuską misją wojskową. Wykłada najpierw w Szkole Sztabu Głównego a później do 1928 roku w nowo utworzonej Wyższej Szkole Wojennej. W 1920 r. odbył kampanię wojenną w sztabie IV Armii, dowodzonej przez gen. Leopolda Skierskiego. Dnia 23 sierpnia 1939 roku, z polecenia gen. Gamelina przyjeżdża do Warszawy na czele francuskiej misji wojskowej³.

Odczyt pt. „Udział Francji w wojnie rosyjsko-polskiej z 1920”, o którym wyżej wspomniałem, wygłosił ppłk Frédéric Guelton. Prelegent przedstawił najpierw rolę Komitetu Narodowego Polski⁴, armii gen. Józefa Hallera, oraz misji francuskiej pod dowództwem gen. Paula Henrysa, której zadaniem – w myśl umowy z 25 kwietnia 1919 – była działalność szkoleniowa i organizacyjna, bardzo wówczas cenna, co podkreślał ppłk F. Guelton, mówiąc o skomplikowanej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska, kiedy to Brytyjczycy nalegali na Polaków, żeby akceptowali rosyjskie warunki zawarcia pokoju, a rząd francuski A. Milleranda zachęcał do dalszej walki i obiecywał pomoc. Następnie prelegent mówił o niechętnym początkowo stosunku Marszałka Piłsudskiego do misji francuskiej, który jednak szybko uległ zmianie głównie dzięki fascynacji osobowością Piłsudskiego, jakiej uległ gen. Henrys i to nawet do tego stopnia, że marszałek Foch miał mu zarzucać, iż „ślepo ulega rządowi polskiemu w prowadzonej przez niego niezależnej i nierozsądnej polityce, która odstręcza go od Ententy”. Przechodząc z kolei do misji, na czele której stał gen. Weygand, ppłk F. Guelton potwierdził animozję gen. Weyganda do Marszałka Piłsudskiego, przytaczając jednocześnie słowa generała, jeśli chodzi o kontrofensywę i obronę Warszawy: „plan był polski, armia polska, zwycięstwo polskie z udziałem francuskim”.

Warto przypomnieć, że Weygand przyjechał do Polski w ramach misji francusko-brytyjskiej, jaką rządy Francji i Wielkiej Brytanii wysłały do Polski w lipcu 1920 roku. W misji

3. Zob. „Ze wspomnień generała Louisa Faury, szefa wojskowej misji francuskiej w Polsce w 1939 roku” w: *Zeszyty Historyczne* nr 85, Paryż 1988, str. 68-74.

4. Komitet Narodowy Polski, założony w Lozannie w sierpniu 1917 z siedzibą w Paryżu, działał pod kierownictwem Romana Dmowskiego.

tej Francję reprezentował gen. Weygand i ambasador Jusserand a Wielką Brytanię lord d'Abernon i gen. Radcliffe. Początkowo kompetencje gen. Henrysa i gen. Weyganda nie zostały odpowiednio rozgraniczone, co dość szybko uzgodniono i w zasadzie ze sobą nie kolidowały. Niemniej jednak przyjazd misji francusko-brytyjskiej osłabił pozycję gen. Henrysa, do czego prawdopodobnie przyczynił się niechętny stosunek Weyganda do Piłsudskiego, w przeciwieństwie do Henrysa, lojalnie zawsze oddanego Marszałkowi.

Okres drugiej wojny światowej został zapoczątkowany referatem pt. „Dowództwo francuskie i doświadczenie z kampanii wrześniowej 1939 w Polsce” (w programie był podany nieco inny tytuł), który wygłosił Thierry Sarmant, archiwista-konserwator SHAT. Referat tym ciekawszy, że jego autor, z powojennego pokolenia, nie jest obciążony stereotypami, których Francuzom też nie jest brak, szczególnie w ocenie tego ciągle kontrowersyjnego okresu. Dlatego referatowi temu więcej poświęcam miejsca.

Na wstępie T. Sarmant przypomina, że historia kampanii wrześniowej była już wielokrotnie opisywana bez wysnuć końcowych wniosków. Podobnie gdy chodzi o przyczyny klęski Francji, to historycy rozwodzą się przede wszystkim nad odpowiedzialnością naczelnego dowództwa, bez gruntowniejszego przebadania intelektualnych mechanizmów, które – świadomie lub nie – były powodem błędnych analiz. Przechodząc następnie do faktów, prelegent podaje, że w chwili wybuchu wojny w Polsce znajdowało się trzech generałów francuskich: Musse, *attaché* militarny, Faury, *chef* wojskowej misji francuskiej i Armengaud, szef lotnictwa w Europie centralnej. Telegramem z 4 września gen. Musse przekazał dowództwu francuskiemu charakterystykę taktyki niemieckiej: rolę czołgów, wspieranych intensywnie przez lotnictwo. Dnia 13 września gen. Gamelin, szef francuskich sił zbrojnych, zażądał telegraficznie od gen. Faury sprecyzowania strategicznego użycia przez Niemców czołgów i wyników zastosowania broni przeciwpancernej. Gen. Faury, znajdujący się już w Bukareszcie, dokąd przyjechał z rządem RP, wysłał 23 września do gen. Gamelina raport zatytułowany: „Rola dużych jednostek pancernych w kampanii polskiej i ich akcja

wspierana przez lotnictwo”, gdzie podkreślał, że ścisłe współdziałanie tych dwu rodzajów broni, lotnictwa i dużych jednostek pancernych, zadecydowało o sukcesie armii niemieckiej. Raport ten posłużył do opracowania przez francuski sztab główny instrukcji rozesłanej do jednostek pancernych. Od pierwszych przeto dni września 1939 roku szefowie armii francuskiej wiedzieli o zastosowaniu przez Niemców nowych metod prowadzenia wojny.

Raport gen. Faury i sprawozdania oficerów polskich, którzy przybyli do Paryża, stanowiły cenny materiał dla francuskiego 2. Biura do opracowania strategii *Blitzkriegu*. W pierwszych tygodniach po zakończeniu kampanii wrześniowej generałowie mieli się zastanawiać nad tym czy kampania we Francji będzie miała podobny charakter? Dnia 9 października gen. Faury pisał do gen. Gamelina: „czy chodzi o strategię lub taktykę, Niemcy użyją prawdopodobnie na froncie zachodnim tych samych metod, które zapewniły im sukces w Polsce, jedyne co może się różnić to sposób ich zastosowania, a to z uwagi na to, że gra będzie bardziej napięta”.

W końcu października 1939 roku 2. Biuro Głównej Kwatery zreagowało notę o „Kampanii polskiej”, w której jedynie bardzo nieśmiało wspomniano o możliwości strategicznego użycia na Zachodzie jednostek pancernych. Podczas gdy gen. Faury ześrodkował swój raport wokół pierwszorzędnego znaczenia, jakie przedstawiały jednostki pancerne, to w oficjalnej nocie jednostki te stanowiły jeden element wśród wielu innych. Prelegent wyjaśnił następnie, że oficjalne przedstawienie kampanii wrześniowej, zawarte w wyżej wspomnianej nocie, mające być przysłowiową kropką nad „i” tej kampanii, było nie tyle wymysłem tego Biura, ile skutkiem powszechnego utrwalania spaczonej oceny zwycięstwa Niemiec, które – według tej oceny – mogło mieć miejsce tylko w Polsce, ale nie powtórzy się we Francji, co stanowiło zwykłą manipulację, gdzie istotne fakty zagubiono w różnych detalach. Dla dowództwa francuskiego obowiązywała nadal doktryna obrony oparta na linii Maginota.

Podczas kampanii wrześniowej i kilka tygodni po jej zakończeniu, było – niewielkie, ale było – zainteresowanie stra-

tegią *Blitzkriegu*. Gen. J. Georges zaczął badać taktykę i środki jakie należy zastosować w obronie przed masowym atakiem czołgów i lotnictwa, ale później nie wrócił już do tego zagadnienia. Dyskusja trwała jednak jeszcze przez jakiś czas. Z datą 11 listopada 1939, ówczesny płk Charles de Gaulle zredagował dla Głównej Kwatery raport zawierający wnioski, jakie należy wyciągnąć z kampanii w Polsce. De Gaulle zalecał utworzenie dużych jednostek złożonych z czołgów, czego nie zrobiono tłumacząc to brakiem środków. Podobnego zdania był gen. G.-H. Billotte. Przewidując możliwość ataku na granicy belgijsko-luksemburskiej, taktyką zastosowaną w Polsce, gen. Billotte rekomendował, również bez skutku, utworzenie dodatkowych trzech dywizji pancernych. Był to rezultat panującej wówczas atmosfery, którą oddaje jedno tylko zdanie z tego, co gen. Dufieux, inspektor generalny piechoty i czołgów, odnotował na wyżej wspomnianym raporcie de Gaulle'a: „Jakże sobie wyobrazić, żeby jednostki pancerne mogły, tak jak w Polsce, uderzyć same na siły nieprzyjacielskie i wdrzeć się w głąb bez ryzyka całkowitego zniszczenia?”

W konkluzji T. Sarmant postawił pytanie: czy klęska z czerwca 1940 roku była do uniknięcia? Odpowiedź – zdaniem prelegenta – wydaje się być negatywna, zaznaczając jednocześnie, że winą nie można obciążać jednego tylko człowieka, gen. Gamelina, lub też wyłącznie naczelne dowództwo. Winę ponoszą bowiem zespoły odpowiedzialne za serwis informacyjny i ośrodki pobierania decyzji, szefowie cywilni i wojskowi, o wspólnym im wszystkim sposobie myślenia. Szefowie francuscy nie wyciągnęli nauki z kampanii wrześniowej w Polsce z dwu głównie powodów: „przede wszystkim dlatego, że *Blitzkrieg* była strategią ryzyka, a sama idea ryzyka była dla nich nie do zniesienia; następnie dlatego, że oni stanowczo odrzucali możliwość zejścia z raz ustalonej drogi i zakwestionowania oficjalnej doktryny obronnej, dziedzictwa wojny 1914-18. Niewątpliwie nie czuli się na siłach, żeby tego dokonać i to wyrażone półsłówkami wyznanie słabości zawierało zarodek klęski 1940 roku. Jakikolwiek byłby wynik wystawionych na próbę faktów, moralnie nasi szefowie byli już pokonani, bo zdani na bezruch tak w doktrynie, jak i w terenie”.

Następny odczyt pt. „Polacy w walce o wolność Francji 1940-1945” wygłosił płk Tadeusz Panecki. Sam już tytuł⁵ wymaga komentarza, gdyż niepotrzebna w nim unizoność wobec Francuzów, którzy tego nie wymagają. Na wszystkich bowiem frontach drugiej wojny światowej żołnierz polski bił się, przy boku sprzymierzeńców, przede wszystkim z myślą o wolności Polski, co było jednocześnie walką o wolność całej Europy, czego nie można ograniczać do walki o wolność Francji. Na wstępie odczytu płk T. Panecki wspomniał o nadziei Polaków na zbrojną pomoc Francji, braku reakcji aliantów na froncie zachodnim, pomimo sprzyjającej dla nich sytuacji, zawartych układach polsko-francuskich i tworzeniu armii polskiej przez gen. Sikorskiego, oraz później – o walce jednostek tej armii w 1940 r., a Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka w 1944 r. Całkowicie natomiast zostały pominięte sieci wywiadu, o kryptonimach *Famille-Interallié* a później F2, zorganizowane i kierowane przez Polaków a składające się przeważnie z Francuzów⁶. W ciągu pierwszych zwłaszcza dwu lat wojny, dzięki temu wywiadowi była zapewniona łączność Francji z Londynem. Wywiad ten działał do zakończenia wojny. Dużą również luką odczytu był brak nawet wzmianki o wkładzie trzech polskich wybitnych matematyków – Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Żygalskiego – w złamanie niemieckiego systemu szyfrów „Enigma”. Przed wojną współpracowali z wywiadem francuskim, po wrześniu 1939 kontynuowali rozszyfrowywanie depesz niemieckich we Francji i następnie w Anglii. Jeżeli Polacy o tym dzisiaj nie mówią, to kto ma za nich to zrobić?

Trudno też nie wyrazić ubolewania z powodu załączonej do tego odczytu bibliografii. Płk T. Panecki podaje 7 publikacji: „Pamiętniki wojenne” (w przekładzie na jęz. polski) gen. Ch. de Gaulle’a; „Wspomnienia żołnierza”, przekład z języka francuskiego książki H. Guderiana, generała niemiec-

5. W programie kolokwium tytuł tego referatu był: „Polacy w walkach o wyzwolenie (*libération*) Francji (1939-1945)”, później został zmieniony na: „Polacy w walce o wolność (*liberté*) Francji (1940-1945)” i tak też brzmi w przygotowanym przez płk. Paneckiego maszynopisie.

6. Zob. „Los wywiadu polskiego we Francji 1940-1945” w: *Zeszyty Historyczne* Nr 97, Paryż 1991, str. 193-202.

kiego, która ukazała się w Paryżu w 1958 r.; książkę w jęz. francuskim, francuskiego autora F. Bedarida o Najwyższej Wojennej Radzie Międzyaliantkiej i następnie 4 książki w jęz. polskim: E. Duraczyńskiego, W. Biegańskiego, T. Paneckiego i Yvesa Beauvois, bez zaznaczenia, że książka tego ostatniego autora jest przekładem z francuskiego i że ukazała się w Paryżu w 1989 roku. Nie trzeba przecież zapominać, że bibliografia jest przeznaczona dla czytelnika francuskiego, a nie polskiego. O innych publikacjach płk Panecki zapewne nie słyszał – a szkoda!

Osobny odczyt został poświęcony kampanii w Normandii (północna Francja), jaka miała miejsce w sierpniu 1944 roku. Odczyt pt. „Kilka spostrzeżeń o walkach pod Mont-Ormel (Bitwa o Normandię, 1944, Operacja Falaise)” wygłosił gen. Jean Delmas. Prelegent, z bardzo dobrą znajomością tematu i przy pomocy wykresów, przedstawił czołową rolę, jaką odegrała 1. Dywizja Pancerna pod dowództwem gen. Maczka, zwłaszcza w bitwie w rejonie Chambois-Mont Ormel (wzgórze Mont Ormel otrzymało później sławną nazwę „Maczuga”), która była decydującą bitwą w oswobodzeniu Normandii i początkiem klęski armii niemieckiej we Francji. W dyskusji po odczycie głos zabrano trzech żołnierzy tej Dywizji: Jan Winczakiewicz, Bogdan Korab-Brzozowski i Leszek Talko, co stanowiło cenne uzupełnienie odczytu, przyjęte rzęsiстыми oklaskami.

Ostatni odczyt wygłosił dr Andrzej Nieuważny, adiunkt Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i Uniwersytetu Nancy II. Historyk młodego pokolenia, dobrze władający językiem francuskim i umiejący z niego zrobić odpowiedni użytek, jak wykazał zabieraniem głosu w dyskusji i formą wygłoszenia nowatorsko ujętego odczytu o „Mazurku Dąbrowskiego” i „Marsyliance”. Prelekcję dr A. Nieuważny zaczął od pytania: Czy można porównać dwa hymny narodów, których historie są nieporównywalne: pieśń symbolizującą Rewolucję Francuską i jej wartości uniwersalne z mazurkiem o charakterze „lokalnym”, będącym odbiciem rzeczywistości Polski z końca XVIII wieku? Prelegent, potwierdził, że można i w dobrze udokumentowanym odczycie przedstawił, na tle dziejów obu krajów, to co łączyło i dzieliło

żołnierskie pieśni, francuską z 1792, polską z 1797, które oficjalnie stały się nieprzerwanie hymnami państwowymi: Francji od 1879, Polski od 1927 roku.



Kolokwium, o którym jest tutaj mowa, siłą rzeczy było ograniczone do małego grona osób i nadto – przeważnie do tych, którzy bądź to byli świadkami opisywanych wydarzeń, bądź też tematy kolokwialne, tak jak zostały przedstawione, były im już z grubsza znane. Kolokwium spełni swoją rolę, jeżeli materiał zostanie opublikowany i trafi do szerszego ogółu. Gdyby doszło do publikacji, to odczyty prelegentów polskich – z wyjątkiem referatu dr. Andrzeja Nieuważnego – wymagają wygładzenia języka francuskiego i pogłębienia tematów.

Ze strony polskiej, o czym była mowa, kolokwium przygotował Wojskowy Instytut Historyczny, ongiś im. Wandy Wasilewskiej, który został przeorganizowany, czy też jest w trakcie reorganizacji. Jak można wywnioskować, chociażby z wygłoszonych odczytów, do Instytutu tego nie docierają (?) publikacje z Zachodu, nie tylko w językach obcych, ale również wydawnictwa polskie, nawet chyba *Zeszyty Historyczne* red. Jerzego Giedroycia, na łamach których ukazały się dość liczne artykuły dotyczące stosunków polsko-francuskich. O tym też należy przypomnieć z okazji kolokwium, które byłoby tematycznie bogatsze, gdyby zostały wykorzystane opracowania, jakie ukazały się we Francji i w innych krajach, co już dzisiaj nie jest przecież objęte żadnym zakazem i zależy jedynie od dobrej woli historyków i ich chęci poznania dziejów ojczystych bardziej wszechstronnie, z czym w Polsce wciąż jest jeszcze trudno.

Tadeusz WYRWA

PROBLEM NIEMCY-POLSKA

Problem Niemcy-Polska i geneza granicy na Odrze i Nysie od wielu lat absorbują uwagę historyków niemieckich i polskich, i nie tylko ich. Literatura na ten temat jest stosunkowo obszerna a nowe prace pojawiają się w miarę tego, jak ukazują się nowe dokumenty źródłowe.

Ambicją autora recenzowanej pracy* było przedstawienie problemu granicy polsko-niemieckiej od momentu wskrzeszenia po 123 latach niewoli państwa polskiego w 1918 roku do zakończenia drugiej wojny światowej. O kształcie tych granic decydował nie tyle stosunek sił między Polską a Niemcami ale postawa zwyciężczych państw zachodnich po pierwszej wojnie światowej, przy czym istniała różnica postaw Anglii i Francji wobec Niemiec i Polski. Ten problem mógłby być szerzej naświetlony w pracy gdyby autor sięgnął do książki opracowanej przez Kay Lungreen-Nielsen pt. „The Polish Problem at the Paris Peace Conference. A Study of the policies of the Great Powers and Poles 1918-1919 (Odense, 1979).

Nie było przypadkiem, że wśród dokumentów opublikowanych w pracy znalazł się tekst traktatu zawartego między Niemcami i ZSSR w Rapallo w 1922. Traktat ten zapoczątkował współpracę niemiecko-sowiecką w dziedzinie politycznej, gospodarczej, technicznej i wojskowej a ostrze jego obiektywnie miało aspekty antypolskie, ponieważ oba państwa zainteresowane były rewizją granic z Polską, a niemieccy politycy i niemiecka opinia publiczna, nie wyłączając partii komunistycznej wyrażały swój sprzeciw przeciwko granicy z Polską permanentnie. Autor przytacza wiele tego przykładów¹.

* Arnon Gill, „Eine tragische Staatsgrenze. Geschichte der deutsch-polnischen Grenze von 1918-1945”. Peter Lang Europäischer Verlag der Wissenschaften, 1997. s. 277.

1. Por. rez Edmund Spevack, „Borderland Nationalism, Westward Migration and Anti-Polish Aggression. The Case of the Grenzmark Posen-Westpreussen, 1919-1939” w: *East European Quarterly*. 1996/3, s. 300-330.

Poza krótkim okresem bezpośrednio po dojściu Hitlera do władzy, współpraca niemiecko-sowiecka znowu odnowiła się i antypolskie jej ostrze wyraziło się najdobitniej w podpisanym w sierpniu pakcie Ribbentrop-Mołotow i w kolejnym rozbiorze Polski w 1939 roku.

Literatura na której oparł swe wywody jest szeroka, ale zastanawia dlaczego pominął wiele bardzo wartościowych prac, jak np. Waltera Laqueura „Russia and Germany. A Century of Conflict” (1965) czy też dorobek wybitnego specjalisty, profesora Henryka Batowskiego „Między dwiema wojnami 1919-1939” (1988), „Zachód wobec granic Polski 1920-1940” (1995).

Omawiając różne aspekty paktu o nieagresji z 1934 roku nie sposób nie nadmienić, że było to zwycięstwo strategiczne Hitlera, jako że zabezpieczał się w razie konfliktu z Zachodem i do tego jeszcze Polska popełniła błąd, nie informując o kontaktach z Niemcami swego sojusznika Francji. Nie mniejszy błąd popełniła Polska w 1938 roku współpracując z Hitlerem przy zaborze Zaolzia. Przyniosło to niewątpliwie ujemne skutki w 1939 roku gdy istnienie Polski stało się pod znakiem zapytania.

„Polityka ta w stosunku do Czechosłowacji – jak pisze Jerzy Tomaszewski – okazała się wówczas zbieżna z zamierzeniami III Rzeszy, toteż Polska, dostosowała swe postępowanie do działań zachodniego sąsiada” („Polska wobec Czechosłowacji w 1938 r.”, *Przegląd Historyczny* I 1996 s. 59 oraz H. Batowski, „Stosunki polsko-czesko-słowackie w l. 1918-1939”, Rzeszów, 1992, s. 13). Stąd też i niechętny stosunek Benesa do współpracy z polskim rządem emigracyjnym, o czym mowa w pracy A. Gilla. Nie wspomniano, że konflikt sięga lat 1920-tych.

Szczegółowo opracowane są w książce problemy związane z polityką mocarstw zachodnich wobec sprawy polskiej i problemem jej przyszłych granic po upadku państwa polskiego w 1939 r. Podobnie jak i przywódcy Zachodu, tak i polscy politycy w Londynie i członkowie rządu emigracyjnego nie mieli jednolitego stanowiska wobec sprawy granic. Jedni – minimaliści – żądali Prus Wschodnich, Gdańska, Górnego Śląska i Opola, a nie żądali ani Wrocławia ani Szczecina. Inni

zaś kategorycznie wypowiadali się za granicą nad Odrą i Nysą. Wszyscy zaś domagali się zwrotu Lwowa i Wilna zagarniętych przez ZSSR w 1939/40 r. Istotne różnice zdań zaistniały między Rooseveltem i Churchillem jak też wśród brytyjskich parlamentarzystów i opinii publicznej. Stalin natomiast od końca 1943 r. zdecydowanie wypowiadał się za granicą na Odrze i Nysie, upatrując w niej strategiczną granicę ZSSR. Sprawy te są na ogół dobrze już znane i pisano o tym wielokrotnie. Autor uważa, że *der illusionare optimist* tj. Roosevelt, szedł za daleko w ustępstwach wobec żądań Stalina, podobnie jak i Churchill. W Teheranie i Jałcie, jego zdaniem, istniały jeszcze możliwości zahamowania imperialnych planów Stalina. Można było dokonać tego gdyby ze strony państw zachodnich podjęte były w stosunku do ZSSR w porę odpowiednie kroki. Wylicza je autor w następującej kolejności. Gdyby 1) zrealizowano plan Churchilla i wysadzono wojska alianckie na Półwyspie Bałkańskim a następnie uderzono na północ aż do Memla i tym samym zatrzymano natarcie wojsk sowieckich na granicy polsko-sowieckiej z 1939 roku; 2) ograniczono ogromne dostawy amerykańskie, zdążające do Murmańska i Archangielska; 3) dogadano się w porę co do tego, że Armia Czerwona zajmie tereny do Odry a pozostałe tereny niemieckie obsadzą wojska angielskie, amerykańskie i francuskie (ss. 105, 135). W czasie konferencji w Poczdamie było już za późno, bo Armia Czerwona dotarła do środkowych Niemiec.

Uważam ten sposób dowodzenia za nieuzasadniony, ponieważ abstrahując od tego, co w czasie wojny miało dla aliantów decydujące znaczenie, a mianowicie jak najszybsze pokonanie Niemiec i zakończenie wojny. A jeśli chodzi o wkład wojsk sowieckich to niewątpliwie był największy. Nawet w czasie ofensywy wojsk alianckich w Ardenach napotkały one na nieprzewidziany opór Niemców i musiano zwrócić się do Stalina, aby przyspieszył moment rozpoczęcia ofensywy styczniowej.

Nie bez znaczenia dla aliantów był też oczekiwany udział Armii Czerwonej w wojnie na Dalekim Wschodzie.

Nie przekonująco brzmi też porównanie sytuacji w Europie z tą, jaka wytworzyła się w 1944 r. w Persji, gdy Rosjanie zgodnie wycofali swe wojska.

Wiele miejsca poświęca się w pracy przebiegowi konferencji w Poczdamie i podjętej ostatecznie decyzji o wysiedleniu Niemców z terenów przekazanych Polsce. I tu autor znów krytykuje Churchilla za ustępstwa i nieprzeciwstawianie się w sposób zasadniczy Stalinowi. Przymusowe wysiedlenie Niemców autor traktuje jako tragedię jaka spotkała Niemców i wskazuje, że antyhumanitarne aspekty tej akcji powodowały protesty, zwłaszcza w Anglii.

Od strony 167 do strony 245 przytoczone są pełne teksty lub urywki z dokumentów dotyczących polityki zagranicznej Niemiec, poczynając od Traktatu w Rapallo do traktatów zawartych z ZSSR w 1939 r. oraz teksty przedstawiające stanowisko polityków zachodnich, w tym de Gaulle'a, oraz sowieckich odnośnie spraw polskich, ze szczególnym uwzględnieniem spraw terytorialnych. W końcu wyciągi z protokołów z posiedzeń w Teheranie, Jałcie i Poczdamie oraz z korespondencji między trzema przywódcami antyniemieckiej koalicji.

Po tych okrutnych doświadczeniach w stosunkach niemiecko-polskich powinna – zdaniem autora – nastąpić nowa era. A w ocenie przeszłości kierować się tym, co zawarte było w piśmie polskich biskupów do biskupów niemieckich w 1965 r. „Przebaczamy i o przebaczenie prosimy”. Akt ten – jak dowodzi autor – zmusił Niemców do zastanowienia się. A ostatnie lata potwierdziły nieodzowność postępowania w myśl tych zaleceń.

Emanuel HALICZ

NADESŁANE NOWOŚCI WYDAWNICZE

- Lubelska lista katyńska.* Oprac. A. Winiarz. Str. 427. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Lublin 1997.
- Stanisław Car – polska koncepcja autorytaryzmu.* Oprac. J.M. Majchrowski. Str. 209. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.
- Władysław Leopold Jaworski o prawie, państwie i konstytucji.* Oprac. M. Jaskólski. Str. 136. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.
- CHŁAPOWSKI (Krzysztof). *Elita senatorsko-dygnitarska Korony za czasów Zygmunta III i Władysława IV.* Str. 218. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.
- Zagadki Sejmu Czteroletniego.* Str. 253. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.
- OSTASZ (Grzegorz). *Krakowska Okręgowa Delegatura Rządu na Kraj 1941-1945.* Str. 401. Oficyna Wydawnicza Politechniki Rzeszowskiej, Rzeszów 1996.
- SIWEK (Władysław). *Kazimierza Żana-Zajęca droga do kariery śpiewaczki oraz udział w kulturalnym i artystycznym życiu Polonii.* Str. 86. Warszawa – Nowy Jork, 1996.
- Orzeł Biały. Godło państwa polskiego.* Oprac. M. Woźniakowa. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1995.
- PODGÓRSKI (Wojciech Jerzy). *Pieśń Ojczyzny pełna.* Mazurek Dąbrowskiego w dziejowych rolach. Str. 281. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1994.
- Sejm Królestwa Polskiego o działalności rządu i stanie kraju (1816-1830).* Oprac. J. Leskiewiczowa, F. Ramotowska. Str. 453. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1995.
- GIŻEJEWSKA (Małgorzata). *Polacy na Kółmie 1940-1943.* Str. 269. Seria: Biblioteka Ziemi Wschodnich. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1997.
- KRAWCZYK (Andrzej). *Pierwsza próba indoktrynacji.* Działalność Ministerstwa Informacji i Propagandy w latach 1994-1947. Seria: Dokumenty do Dziejów PRL, z. 7. Str. 106. Wyd. ISP PAN, Warszawa 1994.
- Z kresów wschodnich RP na wygnaniu.* Opowieści zesłańców 1940-1946. Str. 706. Wyd. Ognisko Rodzin Osadników Kresowych, Londyn 1996.
- BUSZKO (Józef). *Polacy w parlamencie wiedeńskim 1848-1918.* Str. 459. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.
- KOCHAŃSKI (Aleksander). *Polska 1944-1991.* Informator historyczny. Tom I: Podział administracyjny. Ważniejsze akty prawne, decyzje i enuncjacje państwowe (1944-1956). Str. 724. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1996.
- KIELASIŃSKI (Marek). *Raport o zabijaniu.* Zbrodnie sądów wojskowych na Zamku w Lublinie. Str. 350. Wyd. TEST. Lublin 1997.
- Generał Ludwik Mieczysław Boruta-Spiechowicz.* Oprac. K. Chmielewski, Z. Węclawik. Str. 220. Wyd. Rady Kombatantów i Osób Represjonowanych Województwa Szczecińskiego, Szczecin 1997.
- Z badań nad polskimi księgozbiorami historycznymi.* Studia i materiały. Tom 17. Str. 301. Wyd. Wydział Historyczny, Instytut Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej UW. Warszawa 1996.

- Lietuvos Metrika*. Knyga Nr 10 (1440-1523). Str. 178. Wyd. Mok-sło ir enciklopediju leidybos insti-tutas, Vilnius 1997.
- POLISZCZUK (Wiktor). *Ocena po-lityczna i prawna OUN i UPA*. Str. 173. Toronto 1997.
- Główny Urząd Kontroli Prasy 1945-1949. Seria: Dokumenty do dzie-jów PRL, z. 6. Oprac. Daria Na-łęcz. Wyd. ISP PAN, Warszawa 1994.
- Protokół obrad KC PPR w maju 1945 roku*. Seria: Dokumenty do dziejów PRL, z. 1. Oprac. Aleksan-der Kochański. Str. 94. Wyd. ISP PAN, Warszawa 1992.
- GŁOGOWSKA (Helena). *Białoruś 1914-1929*. Kultura pod presją po-lityki. Wyd. Białoruskie Towarzy-stwo Historyczne, Białystok 1996.
- Okupacja sowiecka (1939-1941) w świetle tajnych dokumentów*. Oby-watele polscy na kresach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką w latach 1939-1941. Red. T. Strzembosz. Str. 258. Wyd. ISP PAN, Warsza-wa 1996.
- CHOJNACKI (Władysław). *Biblio-grafia polskich publikacji pod-ziemnych wydanych pod rządami komunistycznymi w latach 1939-1941 i 1944-1953*. Czasopisma, druki zwarte, druki ulotne. Red. W. Chojnacki i M. Jastrzębski. Str. 352. Literackie Towarzystwo Wy-dawnicze, Warszawa 1996.
- ZIELIŃSKA (Teresa). *Poczet pol-skich rodów arystokratycznych*. Str. 591. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1997.
- MIGURSKI (Ryszard Roman). *Prze-wodnik po miejscach i formach upamiętniających chwałę jazdy polskiej 1914-1947*. Str. 296. Wyd. Stowarzyszenie Kombatan-tów – Duszpasterstwo Weteranów Kawalerii i Artylerii Konnej, Warszawa 1997.
- SEREDNICKI (Antoni). *Symon Petlura*. Str. 102. Stowarzyszenie Warszawa-Kijów. Warszawa 1997.
- BIBLIOTHEC DISSIDENTIUM *Répertoire des non-conformistes religieux des seizième et dix-septième siècles*. Tom XVIII: Andrzej Frycz Modrzewski (*Mo-dreuius*). Oprac. A. Séguenny & W. Urban. Str. 215. Editions Valentin Koerner, Baden-Baden, Bouxwiller 1997.
- MARCZAK (Józef), PAWŁOWSKI (Jacek). *O obronie militarnej Pol-ski przetomu XX-XXI wieku*. Str. 219. Wydawnictwo Bellona, War-szawa 1995.
- POKSINŚKI (Jerzy). *„my, sędziowie, nie od Boga...”*. Z dziejów sądown-ictwa wojskowego PRL 1944-1956. Materiały i dokumenty. Str. 302. Warszawska Oficyna Wydaw-nicza „Gryf”, Warszawa 1996.
- ARIES (Philippe). *Czas historii*. Str. 270. Wyd. MARABUT, Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, Gdańsk -Warszawa 1996.
- Antyhitlerowska opozycja 1933-1939*. Wolne Miasto Gdańsk, Pru-sy Wschodnie, Śląsk, Łódź. Red. prof. M. Andrzejewski. Str. 171. Fundacja im. Ericha Brosta, Ofi-cyna Wydawnicza VOLUMEN, Warszawa 1996.
- STARZYŃSKI (Krzysztof). *Uśpiony agent*. Str. 236. Wyd. TENTEN, Warszawa 1996.
- Wiek Oświecenia*. Tom 12: *Wojciech Bogusławski i teatr polski w XVIII wieku*. Str. 249. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, War-szawa 1996.
- MACKIEWICZ (Józef). *Katyń – zbrodnia bez sądu i kary*. Oprac. J. Trznadel. Str. 496. Wyd. AN-TYK, Warszawa 1997.
- WAKAR (Andrzej). *Olsztyn – dzieje miasta*. Str. 367. Wyd. Radio War-mia-Mazury „WA-MA”, Olsztyn 1997.

OKRUCHY HISTORII

Tomasz MIANOWICZ

OCENY I ZALECENIA: WIZYTA MICHAŁA SUSŁOWA W WARSZAWIE W KWIETNIU 1981 R.

W dniach 23-26 kwietnia 1981 r. przebywała z wizytą w Warszawie delegacja KC KPZS pod przewodnictwem głównego ideologa sowieckiej partii – Michaiła Susłowa. Można uznać, że delegację tworzyła tzw. Komisja Susłowa, aliści w mocno zawężonym składzie. Zarówno sekretarz KC KPZS – Rusakow jak i ambasador sowiecki w PRL – Aristow – wchodzili w skład tego gremium, utworzonego we wrześniu 1980 r. Zadaniem komisji, która, jak się zdaje, była raczej grupą roboczą¹, była obserwacja sytuacji w Polsce i opracowywanie zaleceń w sprawie sowieckich reakcji na wydarzenia nad Wisłą.

Polityczny rozwój wydarzeń w PRL w pierwszej połowie 1981 r. zdominowany był przez przygotowania do IX nadzwyczajnego zjazdu PZPR. W tym okresie dwie najważniejsze wizyty przedstawicieli KPZS w Warszawie to właśnie pobyt

1. Zwano ją ponoć „klubem polskim”; por. W. Jaruzelski: „Stan wojenny dlaczego...” Warszawa 1992, s. 124.

Susłowa i towarzyszy oraz rozmowy Gromyki z kierownictwem PZPR w dniach 3-5 lipca 1981 r.². W obu wypadkach celem pobytu sowieckich delegacji było wywarcie nacisku na polskie kierownictwo i skłonienie go do podjęcia bardziej konsekwentnych działań przeciwko „Solidarności”, Susłow przybył bezpośrednio przed X plenum KC, zaś Gromyko – krótko przed rozpoczęciem IX zjazdu PZPR. Łatwo zauważyć, że instrukcje, które wydawał Gromyko na początku lipca 1981 r. były bardziej konkretne i formułowane w zdecydowanym tonie. Z pewnością łączyło się to z przebiegiem X plenum KC PZPR (9-10 czerwca), na którym Grabski podjął nieudaną próbę obalenia Kani. Z punktu widzenia Sowietów sytuacja w lipcu była zatem znacznie gorsza niż w kwietniu. Zalecenia, które przekazał Susłow, były stosunkowo ogólnikowe – zachowanie jedności politbiura i zapewnienia przewagi „prawdziwych komunistów” na IX zjeździe. Natomiast Gromyko przedstawił konkretne dezyderaty personalne w sprawie składu KC PZPR. W obu jednak wypadkach sowieccy towarzysze mówią – w kontekście zbliżającego się zjazdu – o „bitwie o partię”.

Wizytę Susłowa w Warszawie relacjonuje w swych memuarach Wojciech Jaruzelski³; jego tekst jest w znacznej części zgodny z publikowaną poniżej informacją. W analizie źródeł warto uwzględnić również dokument KC KPZS z 16 kwietnia 1981 r.⁴, który bez wątpienia stanowił podstawę do „ocen i zaleceń”, przedstawionych przez Susłowa w Warszawie. Z polskich materiałów archiwalnych znany jest protokół z posiedzenia Biura Politycznego KC z 23 kwietnia⁵, które poświęcone było właśnie przygotowaniu rozmów z delegacją sowiecką.

Ani wizyta Susłowa, ani późniejszy pobyt Gromyki nie miały wpływu na fatalny z punktu widzenia Kremla rozwój wydarzeń w PRL. Po lipcowym zjeździe PZPR sprawą kluczową stała się wymiana kierownictwa polskiej partii. Oko-

2. Szczegóły podaje w: „Instrukcje dla bratniej partii: Rozmowy Andrieja Gromyki w Warszawie przed IX zjazdem PZPR”. *Zeszyty Historyczne* 120. Paryż 1997, s. 194-201.

3. por. dz.cyt. przyp. 1, s. 124-131.

4. „O rozwoju obstanowki w Polsce i niektórych szagach s naszej storony”. Dokumenty, Teczka Susłowa. Warszawa 1993, s. 30-42.

5. Z. Włodek (opr.): „Tajne dokumenty Biura Politycznego. PZPR a ‘Solidarność’ 1980-1981”. Londyn 1992, s. 347-350.

liczności usunięcia Kani i rolę Sowietów w wyniesieniu Jaruzelskiego na stanowisko szefa PZPR, znamy dzięki zachowanemu w archiwum SED sprawozdaniu z rozmowy Honneckera z Rusakowem dnia 21 października 1981 r.⁶ Dokumenty partii wschodnioniemieckiej są bez wątpienia najważniejszym źródłem archiwalnym do burzliwej historii okresu „pierwszej ‘Solidarności’”. Tym bardziej dziwi znikome zainteresowanie polskich badaczy tymi materiałami.

Tomasz MIANOWICZ



4 egz.
6.5.1981

Poufne

INFORMACJA
na temat rozmów delegacji KPZS
z kierownictwem PZPR w Warszawie⁷

Już w czasie spotkania w Moskwie i [w czasie] rozmów telefonicznych towarzysza Breżniewa z towarzyszem Kanią była mowa o tym, że przebieg wydarzeń w Polsce wywołuje poważne zaniepokojenie nie tylko u nas, lecz także wśród czołowych towarzyszy innych bratnich partii. Po rozważeniu tej sprawy Biuro Polityczne uznało za konieczne, raz jeszcze przedstawić kierownictwu PZPR nasz pogląd na to, dokąd prowadzi ten rozwój wydarzeń. W tym celu, po ustaleniach

6. Arbeitsprotokoll Nr 26/81 der Politbürositzung vom 27.10.1981 (Protokół roboczy nr 26/81 z posiedzenia politbiura dn. 27.10.1981). Stiftung Archiv der Parteien und Massenorganisationen der DDR im Bundesarchiv (dalej: SAPMO-BArch), DY 30: J IV 2/2/A-2431 (Bd. I). Obszerne fragmenty dokumentu przytoczyłem w: „Stan wyższej konieczności”. *Zeszyty Historyczne* 116. Paryż 1996, s. 58-82 (por. też sprostowanie zawartych tamże błędów drukarskich: *Zeszyty Historyczne* 117, s. 235).

7. Information über die Gespräche der Delegation der KPdSU mit der Führung der PVAP in Warschau. SAPMO-BArch, DY 30: J IV 2/202-550. Za udostępnienie kopii dokumentu dziękuję p. Michaelowi Kubinie.

z polskim kierownictwem, wysłano do Warszawy delegację KPZS pod przewodnictwem członka politbiura i sekretarza KC KPZS towarzysza Susłowa. W skład delegacji wchodził ponadto sekretarz KC KPZS towarzysz Rusakow i ambasador ZSRS w PRL towarzysz Aristow.

W rozmowach ze stroną polską wzięli udział wszyscy członkowie i kandydaci politbiura a także sekretarze i członkowie sekretariatu KC PZPR. W ten sposób mogliśmy zapoznać wszystkich członków polskiego kierownictwa z naszą oceną rozwoju sytuacji w PRL oraz mogliśmy przedstawić nasze rosnące zaniepokojenie z powodu trwającego naporu sił antysocjalistycznych.

W naszej ocenie była mowa o tym, że kontrrewolucja trzyma partię w morderczym uścisku i obecnie stawką jest los socjalizmu w Polsce. „Solidarność” stała się praktycznie zorganizowaną siłą polityczną, która jest w stanie w szeregu wypadków paraliżować działalność organów partyjnych i państwowych. Jeżeli opozycja chwilowo nie żąda jeszcze przekazania władzy państwowej w jej ręce, to oczywiście dzieje się tak dlatego, że obawia się wkroczenia wojsk sowieckich i liczy na to, że osiągnie swe cele na drodze „pokojoyej kontrrewolucji”, jak towarzysz Breżniew wyłożył już towarzyszowi Kani.

Kolejnym frontem ataku sił wrogich socjalizmowi stały się wysiłki na rzecz rozbicia partii od środka, socjaldemokratycznej a nawet chrześcijańskiej transformacji PZPR. Taktyczny plan opozycji obliczony jest na rozłam w partii i w [jej] kierownictwie. Koncentrując ostrzał na część towarzyszy i przeciwstawiając ich innym, przeciwnik stawia sobie za cel pozbawienie partii kierownictwa.

Uwagę polskich towarzyszy skierowano z naciskiem na konieczność zachowania jedności politbiura KC PZPR na gruncie trwałych zasad marksistowsko-leninowskich.

Szczególnie podkreślaliśmy, że decydująca bitwa o partię rozegra się na IX zjeździe PZPR. Szczególnie ważne jest uczynienie wszystkiego, aby na zjeździe prawdziwi komuniści uzyskali przeważającą większość. Oprócz znacznej pracy organizacyjnej wymaga to zdecydowanej walki ideologicznej przeciwko tendencjom oportunistycznym i rewizjonistycznym, które w ostatnim czasie występują coraz wyraźniej. W

tym kontekście podkreślono konieczność podjęcia zdecydowanych działań przeciwko tak zwanym strukturom poziomym wewnątrz partii, tzn. przeciwko nowym, nie podlegającym KC centrom partyjnym.

Ponadto nasza delegacja przedstawiła naszą ocenę programowego dokumentu „Solidarności” jako materiału jednoznacznie antysocjalistycznego, którego cel polega na demonatażu socjalistycznego porządku społecznego w Polsce.

Postawiliśmy pytanie, jak może dochodzić do tego, że siły antysocjalistyczne podnoszą coraz beczelniej głowę, bez osłonek propagują swe zamiary i wymuszają zgodę na swe żądania. Przyczyna leży w tym, że postępowanie opozycji nie natrafia na należyty opór, że partia ustępuje i tym samym stwarza przeciwnikowi możliwości ataku.

Polskie kierownictwo, powiedziano na spotkaniu, trzyma się linii wychodzenia z kryzysu na pomocą środków politycznych i moglibyśmy się cieszyć, gdyby udało się osiągnąć sukces na tej drodze. Nie wolno jednak zapominać, że formy walki zależą również od przeciwnika. Lenin uczył komunistów, że należy być gotowym do wszelkich form walki – politycznych, ideologicznych i zbrojnych.

Polskim towarzyszom postawiono pytanie, jaką treść nadają pojęciu „odnowa”, na czym polega zasadnicza różnica pomiędzy partyjną koncepcją odnowy a [koncepcją], którą posługują się obecnie ludzie KOR-u i Kościoła oraz umiarkowane koła „Solidarności”. Nie mogą istnieć rozbieżne opinie [na temat tego], że w celu przezwyciężenia obecnego kryzysu należy rozwijać demokrację, odtworzyć leninowskie normy partyjne i państwowe i umacniać związki z klasą robotniczą i ogółem ludzi pracy. Problem polega na tym, że nie można dopuścić do odejścia od uniwersalnych praw socjalizmu i że kierownicza rola partii nie może w żaden sposób ucierpieć.

Nasze wywody przyjęto z dużą uwagą, dało się zauważyć, że oceny KC KPZS wywarły na obecnych silne wrażenie i dotychczas nie były wszystkim znane.

Po naszym wystąpieniu towarzysze S. Kania i W. Jaruzelski udzielili informacji na temat sytuacji w Polsce. Głos zabrali również towarzysze S. Olszowski, T. Grabski, A. Żabiński, K. Barcikowski i T. Fiszbach.

Wszyscy wypowiadający się polscy towarzysze podkreślali, że w celu przezwyciężenia kryzysu możliwe są obecnie wyłącznie środki polityczne. W ich opinii najpilniejszym zadaniem jest obecnie wzmocnienie PZPR, dzięki czemu uzyska się z czasem możliwość podjęcia zdecydowanych działań przeciwko opozycji.

Co się tyczy odpowiedzi na kilka postawionych przez nas naglących pytań, to następujące momenty w przedstawionych ocenach zasługują na uwagę.

Wyrażono poważne zaniepokojenie rejestracją „Solidarności Wiejskiej”. Towarzysze Kania i Jaruzelski przyznali, że jest to znacznym ustępstwem wobec opozycji.

Równocześnie twierdzili jednak, że nie mieli innego wyjścia, ponieważ PZPR musiałoby się liczyć z otwarciem nowego frontu, mianowicie [frontu] walki z Kościołem. Towarzysz W. Jaruzelski, mówiąc o zastosowanych obecnie środkach, które mają zredukować do minimum konsekwencje legalizacji „Solidarności Wiejskiej”, powoływał się między innymi na możliwość „wykorzystania walki klasowej na wsi, w celu wyrwania ‘Solidarności Wiejskiej’ politycznych zębów”. Miał na myśli uzyskanie oparcia wśród chłopów małych i średniorolnych jako przeciwwagi dla kułaków, którzy tworzą większość w nowym związku zawodowym rolników indywidualnych.

Mówiono również o rozpętanej przez „Solidarność” kampanii na rzecz obrony więźniów politycznych. Towarzysz Kania zapewnił, że proces w sprawie tak zwanej Konfederacji Polski Niepodległej (KPN) odbędzie się w drugiej dekadzie maja, niezależnie od wszystkich pogroźek ze strony kontrrewolucji.

W wypowiedziach polskich przyjaciół sytuacja w partii zajmowała dużo miejsca. Przyznali, że nasza ocena niebezpieczeństwa „struktur poziomych” jest uzasadniona. Aby przeciwdziałać ich dalszemu rozwojowi planuje się włączenie przedstawicieli poszczególnych organizacji partyjnych do komisji wojewódzkich przygotowujących zjazd partii, aby w ten sposób udaremnić kolejne spotkanie orędowników „struktur poziomych”.

Mówiono o zamiarze wystąpienia z krytyką programu

„Solidarności”. Przewidziany jest między innymi artykuł w *Trybunie Ludu* na ten temat.

W swej wypowiedzi tow. W. Jaruzelski scharakteryzował krótko sytuację w polskiej gospodarce. Podkreślił, że stale się ona pogarsza i osiągnęła prawie punkt krytyczny; oprócz dotkliwych braków artykułów spożywczych dla ludności, daje się coraz wyraźniej odczuć deficyt surowców oraz materiałów i części zamiennych dla przemysłu.

(...)

Ogólnie należy powiedzieć, że niezależnie od atmosfery wspólnego spotkania, wyraźnie zaznaczyły się niuanse stanowisk poszczególnych członków polskiego kierownictwa. Ostrzeższą ocenę sytuacji przedstawili towarzysze Grabski i Żabiński. Inaczej brzmiały wywody T. Fiszbacha, który z naciskiem podkreślał możliwość i konieczność kontynuowania taktyki kompromisów z „Solidarnością”.

Po polskich towarzyszach nasza delegacja złożyła wypowiedź końcową. Wyrażono zaniepokojenie faktem, że wiele działań które przyjaciele chcieli urzeczywistnić i o których mówiono podczas rozmów naszych czołowych towarzyszy z towarzyszami S. Kanią i W. Jaruzelskim, tak jak uprzednio, nie zostało zrealizowanych. Wielokrotnie wyrażono pogląd, że kluczem do przezwyciężenia kryzysu jest umocnienie partii na gruncie marksistowsko-leninowskim, zwartość kierownictwa PZPR i konieczność energicznych skoordynowanych akcji przeciwko kontrrewolucji. Raz jeszcze przypomniano wskazanie Lenina, że konieczna jest gotowość do wszelkich form walki. Podkreślono, że KPZS a także inne bratnie partie krajów wspólnoty socjalistycznej udzielą polskim towarzyszom wszelkiego niezbędnego wsparcia.

Według informacji, które otrzymaliśmy, aktyw partyjny PZPR uważa, że spotkanie, które odbyło się w przeddzień X plenum KC PZPR, było pożyteczne; oceny i zalecenia wyrażone w imieniu tow. L.I. Breżniewa i Biura Politycznego KC KPZS nadają walce w obronie podstaw socjalizmu w Polsce właściwy kierunek.

Marek RUDZKI

WINIETKI DRUGIEJ OKUPACJI I EMIGRACJI

PRZYJACIEL I OPRAWCA

Od początku września 1944 zaczęło w Nałęczowie działać gimnazjum ogólnokształcące, a wkrótce potem również liceum. Podczas tworzenia tej placówki i w pierwszych miesiącach istnienia szkoły, wuj Adam Nagórski brał czynny udział w pracach organizacyjnych. Został wybrany przewodniczącym Koła Rodziców i Opiekunów Gimnazjum. Wobec wielkich trudności lokalowych, gimnazjum mieściło się w tej samej willi „Pod Matką Boską”, której część zajęta była przez sowiecki szpital wojskowy. Kilka pokoi przeznaczonych na klasy wykorzystywano od wczesnego ranka przez cały dzień, a uczniowie, których wciąż przybywało, przynosić musieli własne krzesła. Po ewakuacji wojskowego szpitala na początku 1945 roku, gimnazjum zajęło prawie całą willę. Wśród wykładowców byli ci sami nauczyciele, którzy przez całą okupację niemiecką prowadzili na terenie Nałęczowa tajne komplety, na które i ja uczęszczałem.

Pod koniec października zwróciła się do nas p. Maria Śliwińska, właścicielka majątku Antopol, z prośbą czy mógłby u nas przez jakiś czas zamieszkać syn jej znajomej z Lublina, Marek Wiszniowski, uczeń IV klasy nałęczowskiego gimnazjum. Marek pojawił się 26 października. Starszy ode mnie o niecałe dwa lata, ledwo ukończył 17 lat. Sprawiał dobre wrażenie, inteligentny, przystojny, dobrze wychowany. Miał trudności ze znalezieniem mieszkania na stałe, wobec czego kilka dni później, w czasie pobytu w Lublinie, wuj zaproponował p. Wiszniowskiej, by Marek pozostał u nas na stacji do końca roku szkolnego. Było to połączone z jakąś miesięczną opłatą, a nasz budżet bardzo był skromny. Do

czasu zanim rosyjscy wojskowi zwolnili zajmowaną część naszej willi, mieliśmy do dyspozycji cztery pokoje i Marek Wiszniowski najczęściej sypiał w jednym pokoju ze mną. Chodziłem do klasy licealnej – dwuletni program liceum przerabialiśmy w jednym roku – i czasem pomagałem Markowi w nauce. Polubiliśmy się i zaprzyjaźnili, odbywając wieczorami długie młodzieńcze dyskusje. Dowiedziałem się, że jego ojciec rozstrzelany został na samym początku okupacji, był podobno członkiem Gwardii Ludowej, a więc organizacji komunistycznej. Już w czasie tych rozmów raz i mnie trochę cynizm Marka, brak jakiegokolwiek idealizmu.

Jedna z tych wieczornych rozmów, w grudniu czy styczniu, przybrała charakter dramatyczny, przynajmniej dla mnie. Marek oświadczył, jakby nigdy nic, że pracuje dla lubelskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. „Skąd Ci coś podobnego przyszło do głowy?” Wtedy Marek opowiedział historię, która była dla mnie jeszcze bardziej szokująca. Podczas okupacji niemieckiej przebywał jakiś czas w Antopolu. Dwór zajęty był przez Niemców, pp. Śliwińskim zostawiono jeden pokój. Marek mieszkał w dworskich zabudowaniach. Na terenie majątku znajdował się mały żydowski obóz pracy. „Pewnego poranka – mówił Marek – przyjechała niemiecka ekipa w celu likwidacji obozu¹. Rozstrzelali Żydów na miejscu. Wybiegłem na dwór. Poszczególni Żydzi usiłowali uciekać, chować się w polu lub pobliskim zagajniku. Kilku zauważyłem i wskazałem Niemcom, którzy położyli ich trupem celnymi strzałami”. Czemu to zrobił? Na to nie umiał odpowiedzieć. Była to dla niego świetna zabawa, coś w rodzaju polowania. „Zaraz po wejściu Rosjan zostałem w Lublinie aresztowany. Ktoś widział, ktoś doniósł. Dano mi do wyboru: albo będę współpracował z Urzędem Bezpieczeństwa, albo zostanę rozstrzelany lub zesłany do Rosji. Czyż mogłem się wahać?” Powiedział dalej, że obecnie współpracuje z U.B., dojeżdżając do Lublina, a kiedy zrobi w Nałęczowie małą maturę przejdzie do pracy w Bezpieczeństwie. Na końcu tej rozmowy Marek zapewnił mnie, że ani ja, ani

1. Według Michała Tarki, „Dzieje Nałęczowa”, Nałęczów 1989, w obozie w Antopolu było około 20 Żydów; obóz zlikwidowany został pod koniec 1943 roku.

moja rodzina, nie musimy się niczego z jego strony obawiać. „Słyszę przecież co się mówi u Was przy stole. Możesz być pewien, że nigdy nie zrobię z tego żadnego użytku”. Tej obietnicy dotrzymał przez cały okres naszej znajomości.

Następnego ranka powiedziałem wszystko wujowi Adamowi i matce. Zastanawialiśmy się, jak należy postąpić. Doszliśmy do wniosku, że wyrzucenie Marka Wiszniowskiego z domu, w atmosferze coraz częstszych aresztowań, byłoby zbyt ryzykowne. Nie pozostawało nic innego, jak pozwolić mu mieszkać u nas dalej, jak było ustalone, do końca roku szkolnego, udając, że nic nie zaszło, a jedynie ostrożniej przy nim rozmawiać. Tak zaczął się drugi okres moich kontaktów z Markiem, zewnętrznie dalej przyjaznych, choć oczywiście od tego momentu za przyjaciela nie mogłem go już uważać. W jakiś czas później, wczesną wiosną, wziął mnie na stronę syn naszego dozorczy, Edward Ciozda, też mieszkający w naszej willi. Edek miał 18 lat, znaliśmy się od dziecka i mieliśmy do siebie kompletne zaufanie. Wiedziałem, że jest zaangażowany w jakiejś podziemnej pracy. „Czy wiesz, kim jest Marek Wiszniowski?” „Wiem”. „Jesteś z nim zaprzyjaźniony. Czy chcesz z nami współpracować? Chcielibyśmy, żebyś utrzymywał z nim jak najbliższe stosunki, towarzyszył mu, kiedy jedzie do Lublina, starał się dowiedzieć od niego jak najwięcej i informacje te mnie przekazywał”. Bez wahania zgodziłem się na tę propozycję. Poza wszystkim innym, miałem teraz moralne usprawiedliwienie dla utrzymywania z Markiem przyjaznych stosunków. Muszę zaś przyznać, że jeśli się zapomniało o tamtej dramatycznej rozmowie, do której Marek rzadko wracał, był on kolegą i kompanem atrakcyjnym. Mam pamiętnik z tamtego okresu. Ze względów zrozumiałych nie ma w nim żadnej wzmianki o tych zasadniczych sprawach, jest natomiast wiele notatek o wspólnych eskapadach, plotkach szkolnych, panienkach i wyprawach do Lublina, które teraz miały dla mnie specjalny cel. Nie mogłem tej wiosny towarzyszyć Markowi w każdym jego tam wyjeździe, jeździłem w tym czasie do Warszawy i Sopotu. Byliśmy jednak razem w Lublinie czterokrotnie w kwietniu i maju 1945. W rezultacie tych wyjazdów zacząłem mieć wątpliwości, czy Marek rzeczywiście jest agentem U.B. Wpraw-

dzie w Lublinie zniknął na parę godzin, twierdząc, że czas ten spędza w Urzędzie Bezpieczeństwa, ale nie miał nic na ten temat do powiedzenia – ja więc nie miałem żadnych konkretnych informacji do przekazania. Tak jak ja, był chronicznie bez pieniędzy. Podróżowaliśmy przysłowiowym rzemiennym dyszlem. Kiedyś wracaliśmy z Lublina piechotą (28 kilometrów), innym razem pojechaliśmy we dwóch na jednym rowerze. Wiedziałem już, że Marek umie przekonująco kłamać. Wiedziałem, że nie ma żadnych zasad moralnych. Myślałem chwilami, że może, chcąc pokazać jaki jest „ważny”, całą tę historię wymyślił, a jego opowiadania zaalarmowały osoby z kręgu Edwarda Ciozdy.

Jak się wkrótce okazało, moje wrażenie nie było słuszne. Któregoś dnia szliśmy z Markiem późnym popołudniem nałęczowską ulicą Głęboznica, dziś Partyzantów. Był to wtedy piaszczysty wąwóz, ze ścieżką dla pieszych po obu stronach. Po przeciwnej od nas stronie pojawiło się dwóch czy trzech młodych ludzi. Zaczęli nas zagadywać, zatrzymaliśmy się. W pewnym momencie jeden zapytał, czy mam ogień. Ich zachowanie wydało mi się podejrzanе. Odpowiedziałem, że nie mam i szybkim krokiem odeszliśmy. Marek też instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo, zdecydowaliśmy, że wracać będziemy inną drogą. Następnego ranka pojawił się Edek Ciozda: „Miałeś wczoraj szczęście. Oni mieli zastrzelić Wiszniowskiego. Bali się, że ich rozpoznasz, a nie byli początkowo zdecydowani, by strzelać i do ciebie. Wahali się, ale doszli do wniosku, że wydajesz się być jego przyjacielem, może z nim współpracujesz, więc zastrzelą was obu. Prosim o ogień, żebyście przeszli na ich stronę wąwozu...”. „To oni nie wiedzieli?” – zapytałem. „Nie wiedzieli. Teraz już wiedzą, więc się nie musisz obawiać”. Incydent ten był dla mnie ostrzeżeniem, żeby na każdym kroku mieć się na baczności, z drugiej zaś strony wskazywał, że Marka przechwałki o U.B. brać trzeba poważnie. Dziś zdaję sobie sprawę, jak dalece tego rodzaju akcja, na pograniczu samowoli, zaplanowana czy spontaniczna, różniła się od podobnych akcji w czasie okupacji niemieckiej. Tym niemniej, musiały być jakieś konkretne powody, dla których chciano Wiszniowskiego zlikwidować.

Coraz częściej słyszało się o działalności oddziałów partyzanckich w okolicach Nałęczowa. Byłem w podróży na Wybrzeżu, kiedy w nocy z 18 na 19 maja 1945 oddział „Szatana” zaatakował posterunek Milicji Obywatelskiej w Nałęczowie. W rok później, będąc już w Londynie, sporządziłem memorandum dla emigracyjnych władz polskich na temat sytuacji w kraju. Cytuję opis tego wydarzenia, napisany na podstawie informacji jakie uzyskałem na świeżo, po powrocie do Nałęczowa: „Mimo przeważających sił partyzanckich, posterunku nie zdołano zdobyć. Jego komendant, ppor. Morgut (*ex* koniokrada, karany przed wojną) obronił go po parogodzinnej strzelaninie; nad ranem partyzanci wycofali się do pobliskiego lasu we wsi Charz. Tam rozłożyli obóz, lecz byli tak pewni siebie, że nie uznali za stosowne rozstawić pikiet. Tymczasem Morgut wezwał pomoc z Lublina, w godzinę przyjechał sowiecki samochód pancerny i kilka aut ciężarowych z wojskiem sowieckim. Zupełnie nie przygotowani do walki partyzanci zaczęli uciekać w nieładzie, porzuciwszy broń i sprzęt. Zginęło kilkunastu, w tym młoda kobieta, żona ‘Szatana’, w randze porucznika, bardzo zasłużona w szeregu akcji”. W miejscu tym, na pięknej leśnej polanie, którą jeszcze przed wojną moja matka nazywała Doliną Łez, odsłonięto w 1996 roku pomnik „w hołdzie żołnierzom Armii Krajowej poległym w walce z NKWD”².

Pod datą 20 czerwca 1945 zanotowałem lakonicznie w dzienniku: „Nie śpię od 3.30 rano, bo jest obława i pacyfikacja. O 8-ej kończy się”. W londyńskim memorandum obszerniej opisałem ten incydent: „Trzech młodych chłopców z Nałęczowa (wśród nich Jerzy Kosidło, lat 18 i Smaga lat 16, uczeń II kl. gimnazjum) w biały dzień na ulicy, będąc

2. W okresie poprzedzającym ufundowanie pomnika odzywały się głosy, że polegli żołnierze „Szatana” byli może zwykłymi bandytami. Moim zdaniem, były to echa komunistycznej propagandy. W latach „wojny domowej” strona komunistyczna, naśladując w tym Niemców, nazywała bandytyzmem każdą akcję zbrojnego podziemia. W czasie obu okupacji były oczywiście wypadki napadów bandyckich, których ofiarami padali najczęściej zwykli obywatele. Działalność partyzancką scharakteryzowałem w moim memorandum jako „napady na instytucje rządowe, jak Urzędy Gminy, stacje kolejowe, spółdzielnie, itd., w celu zdobycia pieniędzy koniecznych na utrzymanie oddziałów w lesie i uzbrajanie ich”.

lekko pod gazem, rozbroiło dwóch oficerów W.P. Skutkiem tego była wielka pacyfikacja Nałęczowa i wsi okolicznych w dniu 20 czerwca 1945. O 2-giej nad ranem wojsko ('polskie') i Bezpieka otoczyły cały pacyfikowany teren i przecięły wszystkie drogi, a od wczesnego ranka zaczęto aresztować wszystkich bez wyjątku mężczyzn, od 15 do 70 lat. Ja schowałem się, rewizji zresztą u nas nie robiono. W ten sam sposób uniknęło aresztowania około 20% mężczyzn. Aresztowanych zaprowadzono na plac przed kościołem. Tam oficer polityczny miał do nich przemowę (rosyjskim akcentem, wtrącając od czasu do czasu rosyjskie słowa), w której podkreślał szkodliwość bandytyzmu dla społeczeństwa i wzywał ludność do współpracy z U.B. w likwidowaniu band. Przemówienie zakończył groźbą, że jeśli powtórzy się jeszcze jeden wypadek napadu na wojsko, milicję czy U.B., to *tej wioski nie budiet, bo zostanie ze wsiem spalona*. Następnie wszystkich aresztowanych, z wyjątkiem kilku, których papiery nie były w porządku, zwolniono. Z trzech zamachowców dwóch zbiegło, a jeden, Smaga, został ujęty. Znaleziono przy nim rewolwer. Aresztujący go Sowietci mieli ochotę zastrzelić go na miejscu, ale polski oficer nie pozwolił, zaczął go natomiast bić kastetem po głowie i twarzy wybijając mu parę zębów i powodując omdlenie. Przewieziono go do więzienia na Zamku w Lublinie, gdzie dzięki okolicznościom łagodzającym (nieletni) skazany został tylko na parę lat więzienia”.

W świetle tych wydarzeń można było przypuszczać, że Marek Wiszniowski pełni jakąś rolę dla U.B. na nałęczowskim terenie. Nie martwiliśmy się z wujem i matką, że rok szkolny dobiega końca, a wraz z nim pobyt Marka w naszym domu. W dzień po pacyfikacji odwiedził mnie na kilka dni przyjaciel z Warszawy, starszy ode mnie o niecałe dwa lata. Uznałem za konieczne ostrzec go, by był ostrożny w rozmowach przy Marku Wiszniowskim. Reakcja mego przyjaciela była nieoczekiwana. „On jest z U.B.? Namówmy go na kąpiel w antopolskich stawach. Napoimy go wódką i utopimy, będzie wyglądało jak wypadek!” Pomysł ten, rzecz jasna, stanowczo odrzuciłem twierdząc, że nie mamy żadnego prawa wydawać wyroków ani ich wykonywać. Trudno mi dziś powiedzieć, do jakiego stopnia sugestia ta była naprawdę

poważna, a odnotowuję ten incydent, żeby zilustrować jakie było wtedy podejście młodzieży, jak ostra wytwarzała się polaryzacja między większością narodu i tą małą grupką aktywnie współpracującą z systemem, który był nam narzućany. Podczas pierwszej okupacji, od pierwszego dnia wszystko było białe lub czarne. Po wkroczeniu Rosjan zaczęło się od różnych odcieni szarości, ale w rok później było już zdecydowanie inaczej.

Pewnego dnia na przełomie czerwca i lipca – dokładnej daty nie umiem niestety ustalić – kiedy termin małej matury i wyjazd Marka na stałe bardzo się już przybliżał, Edward Ciozda zgłosił się z ważną sprawą. „Na Wiszniowskiego zapadł wyrok śmierci. Dziś w nocy ma być wykonany. Przyjdą po niego do domu i wyprowadzą go. Wszelki ślad po nim zaginie. Prośba do ciebie: czy możesz zostawić drzwi od podwórza nie zamknięte na klucz? Chodzi o to by wejść cicho, bez potrzeby włamywania się, zastać go śpiącego, uniknąć strzelaniny”. W tym czasie Marek mieszkał w jednym z pokoi na parterze, a ja w pokoju na piętrze. Schody z górnego piętra prowadziły na korytarz przy drzwiach wyjściowych. Korzystaliśmy z wygodki na podwórzu, wieczorem osoba która wracała przekręcała klucz w zamku. Moim zadaniem było zostawić na noc drzwi nie zamknięte. Zgodziłem się to zadanie wykonać. Nie wiedziałem, za co Wiszniowski został skazany, ani jaki sąd wydał na niego wyrok. Wiedziałem natomiast, że według wszelkich zasad podziemnego sądownictwa z czasów okupacji niemieckiej, zasłużył na karę śmierci za incydent z Żydami w Antopolu, incydent do którego sam się przyznał. Nie miałem więc żadnych moralnych wątpliwości, a zdawałem sobie sprawę, że zamach i tak będzie wykonany, nawet jeśli drzwi będą zamknięte! Edek dodał jeszcze: „Usłyszysz w alei Lipowej piosenkę partyzancką: ‘Tę piosenkę, tę jedyną...’. Będzie to sygnał, że akcja się zbliża. W żadnym wypadku nie schodź na dół. Jeśli będzie stosunkowo cicho, powiesz, że spałeś i nic nie słyszałeś, a jeśli będą krzyki, nawet strzały, powiesz, że bałeś się zejść, że schowałeś się na strychu”. Wieczorem udałem się do mego górnego pokoju. Gdy cały dom poszedł spać, zszedłem na dół i otworzyłem drzwi. Nie czytałem, jak

zwykle, długo w noc. Położyłem się do łóżka, zgasilem światło i czekałem. Gdzieś w środku nocy usłyszałem zapowiedzianą piosenkę-hasło. W napięciu oczekiwałem dalszych wydarzeń, ale czas upływał, robiło się szaro, rozśpiewały się ptaki. Wiedziałem, że nic nie nastąpi. rano pojawił się Edek: „Po przejściu aleją Lipową zebrali się na melinie i wypili dla dodania sobie odwagi. Wypili trochę za dużo...”. Marek Wiszniowski musiał się zorientować, że coś mu zagraża. Może słyszał piosenkę na alei Lipowej. Wcześniej tego ranka wyjechał do Lublina.

Wkrótce wszystko wróciło do normy. Marek wrócił do Nałęczowa, zdał małą maturę i przeniósł się do Lublina na stałe, choć w Nałęczowie był jeszcze na krótko kilkakrotnie, w lipcu i sierpniu, a raz odwiedziłem go w Lublinie. Twierdził, że ma jechać do podchorążówki, a potem, że zostanie na miejscu w służbie polityczno-wychowawczej w wojsku. Nie miałem informacji o ewentualnych dalszych planach powtórzenia próby zamachu. Może próba nie udana osłabiła zapał zamachowców, może przyczyniła się do tego niedawna pacyfikacja. Nie ulega wątpliwości, że działania skierowane przeciw Markowi Wiszniowskiemu na terenie Nałęczowa prowadzone były bardzo po amatorsku.

Ostatni raz Marek zjawił się w Nałęczowie 27 sierpnia 1945. Przyjechał nieoczekiwanie na kilka godzin w towarzystwie swego przyjaciela, Zbigniewa Karpa, którego poznałem przedtem w Lublinie. Widziałem Marka pierwszy raz w mundurze wojskowym. Karp – młody, przystojny brunet, który w przeciwieństwie do Marka robił wrażenie chuligana, był w mundurze marynarskim. Marek zabierał swoje rzeczy, proponował mi bym odkupił od niego marynarkę. Za skromne, uzyskane z tej transakcji pieniądze zakupił ćwiartkę bimbru. Musiałem wypić z nimi kieliszek. Atmosfera nie była przyjemna. Zanotowałem w dzienniku: „Oni mają spluwę, z której raz strzelają, a ciągle bawią się i grożą”. Nie zapomnę sceny, która rozegrała się w naszym ogrodzie, gdzie ich przyjmowałem. Karp chciał, żebym dał pieniądze na następny zakup wódki. Odpowiedziałem, że nie mam. Wyjął wtedy z tylnej kieszeni spodni rewolwer, pokazał, że jest załadowany, odebzpeczył i przyłożył mi do

skroni: „No to dajesz te sto złotych?” Spokojnie wyjąłem portfel i sto złotych mu wręczyłem. Obaj wybuchnęli śmiechem: „Widzisz, jak poskutkowało? A przecież to był tylko żart!”. Marek oznajmił, że za dwa dni jedzie do szkoły oficerskiej w Łodzi. Nie był to już ten sam Marek, z którym pół roku wcześniej odbywałem interesujące dyskusje. Więcej na terenie Nałęczowa go nie widziałem.

Spotkaliśmy się raz jeszcze, zupełnym przypadkiem, wśród ruin ulicy Marszałkowskiej w Warszawie, w końcu 1945 lub na początku 1946 roku. Marek był w mundurze, powiedział, że jest w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Jeleniej Górze. Bardzo namawiał, żebym przyjechał go tam odwiedzić. Z mojej strony nie wchodziło to oczywiście w rachubę. Wymawiałem się brakiem czasu, miałem właśnie zdawać maturę. Spotkanie to było mi nie na rękę, bo w tym czasie przygotowywałem już swoją ucieczkę z Polski i obawiałem się, by nie powstały z jego strony jakieś podejrzenia. Wiedział, że mam w Anglii ojca. Uznałem, że muszę póki czas utrzymywać normalny kontakt na odległość i w początku marca napisałem do niego list. Jednocześnie on napisał do mnie. Dalej zapraszał do Jeleniej Góry, opisywał jakieś wspaniałe możliwości z obecnymi tam jeszcze niemieckimi panienkami. List ten nie zachował się, zachowała się tylko fotografia Marka w mundurze podporucznika, z napisem: „W tydzień po awansie jako Oficer Inspekcyjny Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego”.

Dostałem później jeszcze dwa listy, które mam w moim archiwum z których podaję obszernie cytaty. Marek tytułował mnie żartobliwie mecenasem i często zwracał się *per* „wy” lub *per* „pan”.

„Jelenia Góra, 16 III 46. Mecenasie! [...] Piszecie mi, że zdaliście maturę. Wobec tego składam Wam moje gratulacje. Całą sprawę (mówię tu również o swoim awansie) oblejemy jak przyjadę na urlop. Ciekawi mnie, czym się będziecie zajmowali po Waszym przyjeździe do Nałęczowa, bo przecież na uniwersytet chyba teraz nie pójdziecie. Przyślijcie mi jeśli chcecie parę swoich utworów lub też jakieś referaty, bo ciekaw jestem jakie sprawy obecnie rozpatrujecie. [...] Co do naszego wspólnego znajomego, tow. Karpa Zbigniewa, to

donoszę Panu, iż zginął na posterunku 4-tego lutego roku pańskiego 1946 otrzymawszy sześć kul z automatu. Tak, tak, Panie, wszystko się kończy, nawet tacy marynarze jak tow. Karp. Poprzysiągłem sobie zemstę i dwóch spośród tej bandy ująłem w terenie i własnoręcznie ubić raczyłem. Kończę i czekam na list. Podp. Wiszniowski Marek, ref. IV Referatu”.

„Jelenia Góra, dnia 30-31 III 46, godz. 1 w nocy. Mecenasie! Dziś doręczono mi Wasz list z dnia 26 III 46. Cały dzień nie miałem go czasu przeczytać i dopiero teraz rozpieczętowałem kopertę i przeczytałem list od deski do deski. Od wczoraj nie śpię już drugą noc, bo odkryłem uzbrojoną bandę dywersyjną na terenie Jeleniej Góry (N.S.Z.) i całą ubiegłą noc jeździłem z chłopakami i aresztowałem masę ludzi. Teraz właśnie prowadzę przesłuchania, a o 6 rano znowu po paru gości. Ot, siedzi przede mną *prima* 18-letnia dziewczyna, członek bandy, oskarżona o napady z bronią w ręku i akcję dywersyjną, aż mi szkoda się dziewczynki zrobiło, bo chętnie bym ją [wykropkowanie w oryginale Wiszniowskiego], ale przesłuchanie dało takie materiały, że ma murowane 8 lat. Właśnie ją klucznik zabiera, ha trudno, trzeba szukać panienek na wolności. [...] Co do wódki, to stale mam przy sobie w teczce i piję tylko przed jakąś akcją. Ostatnio miałem jechać na aresztowanie z 6-cioma żołnierzami, ale wychyliwszy około 1/2 litra, sam nabrałem takiej odwagi, że siadłem na motor, rozbiłem się dwa razy o fury, ale 4 gości z bronią aresztowałem. W ogóle p. Wiszniowski zaczyna być sławny w Jeleniej Górze jako znany siepacz, jak wejdę do restauracji to zaraz tłum leci żeby panu fundować. Ale ja tego nie lubię. Piję zazwyczaj sam lub w towarzystwie kolegi. Teraz zacząłem nosić ubrania cywilne, bo w wojskowym za bardzo jestem już znany. Co do urlopu, to na razie chyba nie dostanę, bo dla oficerów U.B. są cofnięte (wybory itp.) Bardzo żałuję, ale trudno, wcześniej czy później będziemy musieli wszystko opić. [...] Piszecie, że tak rajcujecie, może na jakiś czas wpadniecie do mnie do Jeleniej Góry, wprawdzie tu teraz u mnie dość krucho z forszą, ale za jakiś czas, jak spłacę swoje długi, to pewno będę miał. Napiszcie, co zamierzacie obecnie robić, bo ja zostaję w moim obecnym fachu. Mówię Wam, że tak mi robota idzie jak

nikomu. [...] Mam wybitną ochotę pochodzić sobie po cywilnemu po nałęczowskim bruku, złapać kilku tych, którzy mi robili wstręty jak tam byłem i dać im, mówiąc po naszymu, 'napierdol', to znaczy łać gumą po tyłku oblanym wodą i przykrytym koszulą, delikwent leży na ziemi, a jeden stoi mu nogami na szyi, żeby nie krzyczał. Jak Pan widzi, nie przestałem być sadystą, czy i Pan nim jest? A no kończę, zapalę Camela i zadzwonię po nowego gościa do przesłuchania. Odpiszcie. Czołem, Wiszniowski”.

Na ten list już nie odpisałem. W miesiąc po otrzymaniu go opuściłem nielegalnie Polskę. Zdawaliśmy sobie z wujem sprawę, że prędzej czy później Marek dowie się o moim wyjeździe. Obawialiśmy się, zwłaszcza po tych listach, czy nie spowoduje to jakichś represji w stosunku do pozostałych w kraju członków rodziny. Nic takiego nie nastąpiło. Kiedy jechałem do Polski pierwszy raz po piętnastu latach, w 1961 roku, zastanawiałem się, czy spotkam gdzieś Marka i jakie to będzie spotkanie. W Nałęczowie dowiedziałem się, że Marek Wiszniowski nie żyje. Został aresztowany za popełnione nadużycia czy zbrodnie, nie wiem czy w okresie stalinowskim, czy już po 1956 roku. Zwolniony po kilku latach z więzienia, zmarł wkrótce potem na gruźlicę.

GŁODNI OKUPANCI

Pod datą 9 maja 1945 zanotowałem w dzienniku: „Koniec wojny!!! Wiadomość o kapitulacji doszła wczoraj rano. Rozniósł ją po Nałęczowie telefon, który otrzymano w Gminie. Wybieramy się z Mamą w najbliższym czasie do Gdańska i Sopotu, by coś stamtąd uratować”. Ostatnie dwa lata przed wojną mieszkaliśmy w Sopocie. Ojciec był dyrektorem Rady Portu w Gdańsku. Na dwa dni przed wybuchem wojny opuścił naszą wynajętą willę, pozostawiając piękne meble i rodzinne pamiątki. Trochę naiwnie wyobrażaliśmy sobie z matką, że nasze rzeczy mogły przez lata wojny w tej willi pozostać, że może udałoby się coś odzyskać. Na koniec wojny czekało się tyle lat, a dzień ten, kiedy wreszcie przyszedł, nic w naszej sytuacji nie znaczył, ani

niczego naprawdę nie zmienić. Można jednak było pojechać na Wybrzeże i należało z tej możliwości skorzystać, jak najprędzej.

Wyprawa nie była łatwa, przy bardzo trudnej sytuacji transportowej i bardzo skromnym zasobie gotówki. Już 12 maja pojechaliśmy z matką koleją do Lublina, by tam zrobić przygotowania do dalszej podróży. Zaczęło się od małej przygody. Wczesnym rankiem trzeba było pójść piechotą na odległą o trzy kilometry stację kolejową. Dość blisko za nami posuwała się grupka pijanych żołnierzy sowieckich, którzy od czasu do czasu strzelali w górę z pepeszy. Można było zejść z drogi, przeczekać w polu, ale to oznaczało spóźnienie się na pociąg. Przyspieszyliśmy więc kroku, dyskretnie patrząc za siebie. Żołnierze nie mieli najwidoczniej zamiaru zrobić nam żadnej krzywdy i do stacji dotarliśmy bez szwanku. W Lublinie dwa dni zajęły formalności w Polskim Związku Zachodnim – pozwolenie na przejazd i darmowy bilet. Wyjazd nastąpił dopiero 14 maja po południu, bezpośrednim pociągiem do Łodzi, który dowiózł nas tam następnego ranka. Udało się wcisnąć do wagonu pocztowego, na twardej półce spało się jak w sleepingu. W projekcie był nocleg u znajomych, ale trafił się popołudniowy pociąg do Kutna, dokąd dojechaliśmy o 11-tej wieczorem. Dalej linia była przerwana. Na dworcu jakaś pani zapraszała „na nocleg”. Dało to kilka godzin snu pokotem na podłodze, z kilkunastu innymi pasażerami.

Po wstaniu o 4-tej rano 16 maja czekało nas przejście trzech kilometrów piechotą wzdłuż uszkodzonego toru, niosąc niewielkie walizeczki, by dostać się do pociągu do Torunia, gdzie dojechaliśmy w południe. Coraz trudniej było z żywnością. W toruńskiej stołówce Czerwonego Krzyża podawali grochówkę, której pyszny smak pamiętam do dziś dnia. Kosztowała 5 złotych, lub darmo dla tych, którzy tej sumy nie mieli. W nie zniszczonym mieście, po zwiedzeniu pięknych kościołów, odszukaliśmy mego stryja, Stefana Burhardta, który właśnie przybył z Wilna i pracował w Związku Zachodnim. Zaprosił nas na noc i opowiadał o wojennych przeżyciach rodziny na wileńszczyźnie. Z trudem zdobyło się coś na skromną kolację. Wczesnym rankiem 17

maja odjechaliśmy do Bydgoszczy. Tam w południe udało się w ostatniej chwili wskoczyć do gdyńskiego pociągu. Jazda otwartym towarowym wagonem trwała do 11-tej wieczorem, kiedy ukazał się dobrze nam sprzed wojny znany dworzec w Sopocie. Podróż z Lublina zajęła trzy i pół dnia. W ulewny deszcz przeszliśmy na wartownię milicji kolejowej, gdzie zgodzono się nas „przenocować”. Nie było bezpiecznie wychodzić o tej porze na miasto i nie było dokąd pójść. Noc upłynęła na składanych krzeselkach, wśród tłumów ludzi.

Okazało się rano, że jest już w Sopocie hotel, „Dom Polski”, dawny *Deutsches Haus*, przy Südstrasse, wzdłuż morza. Tam udało się dostać pokój za bardzo, jak na nasze możliwości, wygórowaną cenę 160 złotych. W dzienniku zanotowałem, że hotel jest „wykwintny”, choć małą miałem wtedy skalę porównawczą. Pierwszym moim pragnieniem było dojść do morza, za którym tęskniłem przez lata wojny. Niestety, dostępu nie było. Zabarykadowanych zasiekami plaż pilnowali rosyjscy żołnierze. Na placu u wylotu Seestrasse (dzisiejszego Monte Cassino), przy ruinach zburzonego kasyna i zapamiętanego z dzieciństwa sklepu z czekoladkami Mixa, walały się na ziemi długie czerwone flagi ze swastykami, jak te, które zwisały z gdańskich budynków jeszcze przed wojną. Deptaliśmy je z mamą systematycznie, z dużą przyjemnością. W naszej willi przy Hubertusallee 29 (dziś Abrahama) mieszkał pułkownik Anatol, wice-wojewoda gdański. Jego żona przyjęła nas grzecznie, poinformowała, że meble zostały rozszabrowane nim oni się wnieśli, ale zaprosiła, by przejść się po willi. Nie było śladu żadnych naszych rzeczy. Po południu pojechaliśmy autobusem do Gdyni. Tam, przy Kamiennej Górze, udało się zejść na samą plażę, dotknąć do morza. W jakimś urzędzie powiedziano nam, że mamy prawo do zastępczych mebli, możemy je wybrać w dowolnym niemieckim mieszkaniu lub willi. Mieszkając w Nałęczowie, nie było sensu korzystać z tej propozycji.

Ludność w Sopocie była jeszcze wtedy prawie całkowicie niemiecka, Polaków spotykało się stosunkowo mało. W jednym z dawnych sopockich kin przy Seestrasse, nazywającym się wtedy „Polonia”, wyświetlano dokumentalny

film „Majdanek”. W czasie seansu na który poszedłem, sala była prawie pusta, siedziało tylko kilkanaście starszawych Niemek. Patrząc na wstrząsające zdjęcia zasłaniały oczy, wołały *Herr Jesus!* Miałem wrażenie, że naprawdę nie zdawały sobie z tych rzeczy sprawy. Dawne eleganckie kawiarnie przy Seestrasse też były czynne, ale nie podawano słynnych ciastek *mit Schlagsahne*, a tylko kawę zbożową i sucharki. Kiedy siedzieliśmy w ławce w oczekiwaniu na autobus przy dawnej Hitlerstrasse, ukazała się grupa aresztowanych Niemców, prowadzonych przez polskich żołnierzy na jakieś roboty. Nasi żołnierze trochę ich poszturchiwali. Siedzące obok Niemki zaczęły się oburzać, my zaś z matką głośno wyrażaliśmy nasze z tego widoku zadowolenie, dodając nawet parę słów po niemiecku, by nie było wątpliwości. Może nie należało tak się zachowywać, ale widok, na Hitlerstrasse, był piękny. Przez tyle lat byliśmy okupowani, przez te dwa dni w Sopocie poczuliśmy się okupantami.

Byliśmy może okupantami, ale okupantami raczej głodnymi. Sklepy stały pustką, udało się dostać kartkowy chleb. Drugiego wieczoru zdecydowaliśmy zaryzykować obiad w naszej hotelowej restauracji. Po zupie wniesiono półmisek z pysznymi wędlinami. Każdy jednak plasterek miał swoją cenę, a ceny były bająnskie. Wybrałem jeden kawałek najtańszego boczk, choć bez trudności zjadłbym wszystko, co leżało na półmisku. Ze smutkiem patrzyłem, jak go kelner odnosił. Mimo to rachunek wyniósł 310 złotych. Pieniądze się kończyły, nie było nic więcej do zrobienia w Sopocie. O 5-ej rano 21 maja zaczęła się droga powrotna. Z dużymi trudnościami udało się znów załatwić darmowe bilety, bez nich trzeba by jechać na gapę. Tą samą trasą, ale już bez zatrzymywania, przesiadając się z pociągu na pociąg, dotarliśmy 23 maja w południe do Nałęczowa. Nie udało się przywieść złotego runa, ale wyprawa była ciekawa i warta poniesienia trudów.

ZRĘCZNA ROZMOWA

W jednym z moich poprzednich wspomnień z czasów pierwszej okupacji opisałem przygodę z żandarmem na war-

szawskiej ulicy, przed godziną policyjną³. Podobne sytuacje zdarzały się i podczas drugiej okupacji, choć w trochę innej, charakterystycznej dla tej okupacji formie.

W czasie pobytu w Lublinie 16-tego września 1945 wracaliśmy z moim przyjacielem, Wiktoorem Eysymonttem, z wieczornego spaceru po starym mieście. Było jeszcze trochę czasu przed 11-tą, godziną policyjną. Zanotowałem w dzienniku: „Zaczepia nas dwóch typów z pijackimi krzykami: ‘Stać!’. Ponieważ szalenie napadają w Lublinie, Wiko wieje, ja za nim trochę się ociągając, bo boję się dostać kulkę w plecy. Gdy się oglądam, widzę na tle jasnego nieba nad kościołem Karmelitów jak goście ci, idący za nami, ściągają pepesze. Zatrzymuję się, Wiko również. Mówią, że są patrolem (choć ubrani po cywilnemu), pytają nas o hasło. Tłumaczymy, że jeszcze nie ma jedenastej. Po chwili zręcznej rozmowy, z uściskami dłoni i okrzykami: ‘Cześć, do widzenia’, puszczają nas. Są kompletnie urzęnięci”.

Nie było już publicznych egzekucji, choć więzienie na lubelskim Zamku działało jak za najlepszych niemieckich czasów. Wywózka w głąb Rosji zastąpiła grozę Oświęcimia. „Kulka w plecy” od pijanego żołdaka dostać można było, bez żadnego powodu, łatwiej niż od zdyscyplinowanego zandarma. Wykręcić się „zręczną rozmową” też było łatwiej.

KATOWNIA W KATOWICACH

Drugą połowę listopada 1945 spędziłem w Katowicach. Myśląc już trochę o nielegalnym opuszczeniu Polski, chciałem zbadać czy istnieją jakieś możliwości przerzutów na czeską stronę. Głównym jednak powodem podróży do Katowic była chęć odwiedzenia mego przyjaciela, Stanisława Nehringa. Staś mieszkał wtedy w ładnym mieszkaniu przy ulicy Moniuszki 10 u swoich krewnych, p. Bielickich. Józef Bielicki z żoną byli ziemianami, wyrzuconymi z majątku Rzędków, pod Skierniewicami. Nasłuchałem się opowiadań o Rzędkowie, który rok wcześniej był oazą dla uciekinierów z

3. *Zeszyty Historyczne*, nr 114.

Warszawy. Między innymi, znalazła tam schronienie ukrywająca się żona generała Andersa z córką i synem. W latach późniejszych, zabytkowy dwór uległ całkowitemu zniszczeniu. W porównaniu z brudnym, zapuszczonym Lublinem i zrujnowaną Warszawą, Katowice wydawały się prawdziwą Europą. Miasto było nie zniszczone, ludność niemiecką już wysiedlono, ale odnosiło się wrażenie, że wciąż panuje niemiecki porządek. Działał nienagannie miejski transport, zawsze była woda i elektryczność, lokale ogrzane, ulice czyste. Kwitło życie kulturalne, byłem na „Tosce”, na dobrym przedstawieniu sztuki Maeterlincka i na recitalu chopinowskim Sztompki. W kinach szły interesujące filmy, w kawiarniach odbywały się koncerty muzyki poważnej lub ludowej. Miałem poczucie, że znalazłem się za granicą. Przez całą okupację niemiecką Katowice były włączone do Rzeszy i tę niewidzialną granicę mogłem zauważyć, kiedy pojechałem na dwa dni autobusem do Krakowa. Zatrzymałem się u państwa Tatarkiewiczów, w mieszkaniu przy ulicy Lenartowicza 18. Profesor Władysław Tatarkiewicz był od lat bliskim przyjacielem rodziny. W Krakowie byłem również w teatrze, zwiedzałem zabytki, ale nie odczuwałem już tej specjalnej „zagranicznej” atmosfery, która mnie uderzyła w Katowicach.

Jak się jednak wkrótce przekonałem, katowickie kina nie tylko wyświetlały dobre filmy. Spacerowałem po mieście rankiem 22 listopada, kiedy zwróciłem uwagę na grupę więźniów prowadzonych pod silną eskortą. Poszedłem za nimi. Więźniów wprowadzono do jednego z kin. Wstęp był wolny dla publiczności. Zająłem miejsce na wypełnionej sali. W pierwszym rzędzie siedzieli aresztowani. Okazało się, że jestem na ostatniej sesji pokazowego procesu N.S.Z. Miały być ogłoszone wyroki. Po chwili na scenie zasiedli trzej sędziowie, w mundurach. Wywoływano więźniów po nazwisku. Wywołany wstawał, a jeden z sędziów wygłaszał, z rosyjskim akcentem, formułę: „Jesteście skazani na karę śmierci. Czy rozumiecie wyrok?”. „Rozumiem” – odpowiadał skazaniec. Było kilka wyroków śmierci, kilkanaście wyroków długoletniego więzienia. Dwóch więźniów, wywołanych na końcu, zostało uniewinnionych. Zwolniono ich natychmiast.

Po pół godzinie, sesja była skończona. Aresztowanych wyprowadzono, potem w milczeniu wychodziła publiczność.

W mieszkaniu państwa Bielickich bywały młodzieżowe przyjęcia, tańce i zabawa. Flirtowałem tam ze śliczną Hanką Nowicką. Jej ojciec, tak jak mój, był w Londynie. Nie kryłem się z moimi zamiarami wyjazdu, a ona prosiła o kontakt z ojcem, gdyby moje plany udało się zrealizować. Mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze. Dwa pierwsze piętra zajęte były przez posterunek Milicji Obywatelskiej. W ciągu dnia nie odczuwało się tego sąsiedztwa. Inaczej bywało w nocy, kiedy nasze przyjęcia dawno się skończyły. Cytuję moje londyńskie memorandum: „Dochodziły stamtąd mrozące krew w żyłach krzyki torturowanych aresztantów. W dzień cisza, by nie zwracać uwagi przechodniów. Słyszałem wycie kobiety – nie można tego nazwać inaczej – które trwało od 12-tej wieczorem do 3-ciej rano i skończyło się zapewne jej zemdleniem. Słychać było uderzenia i warczenie psa. Najwidoczniej szczerło ją psem policyjnym. Pośród nieartykułowanych krzyków można było rozróżnić wciąż powtarzane słowa: ‘Nie wiem, nie powiem’”. Pamiętam również jakieś walce czy tanga z gramofonowych płyt, ale ówczesne gramofony nie nadawały się do zagłuszania tortur. Tak wyglądała druga okupacja w „europejskich” Katowicach.

OPORNY NAŁĘCZÓW DALEJ PACYFIKOWANY

Do Nałęczowa wróciłem w początku grudnia 1945. Cytuję moje memorandum: „Na jesieni 1945 zaczęła coraz intensywniej działać partyzantka. W Lubelskiem operował oddział Orlika, liczący 10 do 15 tysięcy ludzi pod bronią. Miały miejsce bitwy w lasach, przy udziale artylerii i czołgów z obu stron, a lotnictwa ze strony Bezpieki. Każdy oddział wojska jaki zapuszczał się głębiej w teren był likwidowany lub zmuszany do cofnięcia się. W Nałęczowie mnożyły się mniej lub bardziej udane zamachy i napady. Zdarzało się, że członkowie organizacji schwytani i torturowani wydawali innych. Aresztowania na małą skalę trwały ciągle. Większa pacyfikacja nastąpiła 9 stycznia 1946. Różniła się tym od

poprzedniej, czerwcowej, że nie aresztowano całej ludności męskiej, a tylko niektórych mężczyzn, najwidoczniej więc 'brali według listy'. Około 20 aresztowanych wróciło w ciągu tygodnia-dwóch, inni pozostali w więzieniach”.

„Trzecia pacyfikacja, największa, wywołana nie zmniejszającymi się 'aktami terroru elementów faszystowskich w stosunku do M.O. i funkcjonariuszy U.B. w okolicy', rozpoczęła się 7 lutego 1946, a skończyła 12 lutego. Tym razem, po otoczeniu terenu, aresztowano młodzież męską w wieku od 15 do 30 lat i trochę dziewcząt. W ciągu sześciu dni pacyfikacji wywożono co dzień około 20-30 osób ciężarówką do Puław, w obawie odbicia ich w nocy przez partyzantów. Nie robiono systematycznych rewizji w każdym domu, łapiąc raczej ludzi przypadkowo spotkanych na ulicy, lub przychodzono do domów by aresztować imiennie. Nie zostałem aresztowany, gdyż nie byłem najwidoczniej na liście, a przez cały czas ani razu nie wyszedłem nawet do ogrodu. U.B. przychodziło do nas trzykrotnie po Edwarda Ciozdę (którego nie zastali), ale rewizji nie przeprowadzało i dzięki temu nie wpadłem im w oczy”. Dobrze pamiętam te denerwujące dni pacyfikacji. Byłem wtedy w domu tylko z młodszym bratem i naszą gosposią. Oni utrzymywali kontakt ze światem, ja czułem się jak w domowym więzieniu. Żle spałem, mało jadłem, piłem czarną kawę i biernie czekałem, kiedy po mnie przyjdą. W czasie poprzedniej okupacji zdawaliśmy sobie sprawę, że wojna trwa, że Niemcy muszą ją przegrać, że to tylko kwestia czasu. Teraz nie było żadnej nadziei na zmianę ogólnej sytuacji. Można było próbować zmienić ją dla siebie. W czasie tych samotnych dni zapadały decyzje, których realizacja będzie tematem następnego wspomnienia. Matka przyjechała ostatniego dnia pacyfikacji. Uznaliśmy, że nie powinienem przebywać dłużej w Nałęczowie. Wyjechałem do Warszawy 17 lutego. W dzienniku zanotowałem: „Nie jest wykluczone, że do Nałęczowa już nie wrócę”, choć pojechałem tam raz jeszcze na dwa dni 2 marca.

W czasie tego ostatniego pobytu widziałem się z Edwardem Ciozdą, który, jak się okazało, był w partyzantce w oddziale Orlika. Opowiedział mi trochę szczegółów o lutowej

pacyfikacji, które zanotowałem później w Londynie: „Parę godzin przed rozpoczęciem pacyfikacji komendant U.B. Puławy, Polak, człowiek przyzwoity, zatelefonował i ostrzegł placówkę A.K. Nałęczów, która wycofała się do lasu. Dzięki temu mało wpadło partyzantów. Komendant ten nie miał żadnego wpływu na bieg wypadków, gdyż faktycznym komendantem był jego zastępca, rosyjski Żyd z NKWD. Spory oddział partyzancki zgrupowany był w lasach (około dwóch tysięcy ludzi) w celu zlikwidowania pacyfikatorów, lecz przed samym uderzeniem przyszedł rozkaz z góry by tego zaniechać, ponieważ wśród aresztowanych niewielu było czynnie zaangażowanych, a akcja tego rodzaju wywołałaby dalsze represje”.

Docierały do mnie dalsze wiadomości. Część aresztowanych podczas pacyfikacji zwolniono. Działalność partyzancka wciąż się zwiększała. Doszło do potyczki między Nałęczowem a Wąwolnicą. W dniu Wielkanocy, 21 kwietnia 1946, miała miejsce akcja na posterunek milicji w Nałęczowie, byli zabici po obu stronach. Wkrótce później, 2 maja, U.B. spaliło miasteczko Wąwolnica, jako represję i może ostrzeżenie. Po wielkanocnej akcji były dalsze aresztowania. Edward Ciozda znalazł się wtedy w notorycznym więzieniu U.B. w Puławach, a później na Zamku w Lublinie. Zwolniony po siedmiu miesiącach, pobity i z chorobą płuc, pozostał na resztę życia inwalidą. Zmarł w Nałęczowie na gruźlicę w 1960 roku.

WARSZAWA W POCZĄTKACH DRUGIEJ OKUPACJI

W drugiej połowie 1945 roku często jeździłem z Nałęczowa do Warszawy na kilkodniowe pobyty, a w lutym i marcu 1946 spędziłem tam więcej czasu. Warszawa była wtedy oknem na świat. Po cofnięciu uznania przez państwa zachodnie dla londyńskiego rządu i nawiązaniu stosunków z rządem warszawskim pojawili się pierwsi dyplomaci brytyjscy i amerykańscy, zagraniczni dziennikarze i przedstawiciele organizacji

charytatywnych. Wuj Adam Nagórski utrzymywał z nimi kontakty, rozpoczynał pracę, która prowadziła potem do radostwa prawnego dla wielu ambasad. Dzięki tym kontaktom docierały do nas listy od rodziny w Anglii, a my przekazywaliśmy nasze wiadomości. Przyjeżdżali do Warszawy również ci Polacy z Londynu, którzy zdecydowali włączyć się do nowego porządku w kraju. Byli wśród nich przedwojenni znajomi. Nie zdawaliśmy sobie jeszcze w tym wczesnym okresie sprawy z rozłamu jaki nastąpił na emigracji, nie pojmowaliśmy, że ci którzy w sierpniu czy wrześniu pojawiali się w Warszawie, traktowani byli w Londynie niemal jak zdrajcy. Spotkałem przelotnie przybyłego z Anglii Henryka Strassburgera, który wracać miał jako warszawski ambasador w Wielkiej Brytanii. Zanotowałem, dość naiwnie, w dzienniku: „za dwa dni zobacz ojca”. Później dopiero zrozumiałem, że ojciec nie mógłby się przecież z nim już wtedy spotkać, nie podałby mu ręki.

Cudzoziemcy mieszkali w hotelu „Polonia” w alejach Jeruzolimskich. Tam też początkowo mieściły się biura ambasad, tam w lobby hotelowej lub w restauracji spotkać można było wszystkich, którzy się w Warszawie liczyli, łącznie z członkami ekipy rządzącej. Pamiętam, jak wujowi Adamowi ukłonił się dość nisko mężczyzna w średnim wieku, z uderzająco zaczerwienioną twarzą, w kapeluszu z dużym rondem. „Kto to jest?” „To taki przedwojenny adwokacina – odpowiedział wuj – choć dziś podobno ważna osoba. Nie wiem czemu tak mi się kłania. Nazywa się Jakub Berman”. W „Polonii” widziałem Mikołajczyka, a 21 września generała Eisenhowera w czasie jego kilkugodzinnej triumfalnej wizyty w Warszawie. Później poznałem admirała Petrie, brytyjskiego *attaché* morskiego, który zabrał nas z wujem na samochodową przejażdżkę do Konstancina, a mnie wręczył dwa pudełka jakże cennych angielskich papierosów.

Spotkania towarzyskie odbywały się w kawiarniach. Do jednej z najbardziej popularnych należała kawiarnia Maciejewskiej, przy ulicy Marszałkowskiej 85, w nie istniejącym dziś domu koło Hożej czy Wspólnej. Będąc w Warszawie wstępowałem tam prawie co dzień najczęściej z wujem Adamem. Wśród bywalców Maciejewskiej wymienić mogę profesorów Władysława Tatarkiewicza i Cezarego Berezowskiego,

muzykologa Romana Jasińskiego, redaktora Giełżyńskiego, a także Jana Petkowskiego; pisałem o nim we wcześniejszym wspomnieniu¹. Kwitło życie kulturalne, byłem na recitalach Sztompki i Rabcewiczowej, na przedstawieniu „Lilli Wenedy”. W „Cyruliku sewilskim” rolę tytułową śpiewał Józef Korolkiewicz, znany malarz. Przed wojną pozowałem mu do dzieciennego portretu.

Najtrudniej bywało w Warszawie z noclegiem. Korzystałem z uprzejmości krewnych i znajomych, co kilka dni zmieniając dach nad głową. Miałem natomiast poczucie bezpieczeństwa, jakie w tym okresie dawało duże miasto. Nie groziły obławy ani masowe aresztowania, coraz częściej powtarzające się w Nałęczowie. W terenie trwała swego rodzaju wojna domowa, w Warszawie panował spokój. Stanowiło to jeszcze jedną, uderzającą różnicę między dwiema okupacjami.

UCIECZKA Z POLSKI: MOTYWACJA

Moja decyzja by szukać dróg przedostania się na Zachód powstawała powoli pod koniec 1945 roku i na początku 1946. Po Jącie stawało się jasne jaki los czeka Polskę, choć wiele osób w kraju wierzyło w Mikołajczyka, witało go entuzjastycznie, oczekiwało zmian na lepsze. Ruch przez granice był duży, w jedną stronę legalne powroty, w drugą nielegalne ucieczki. Wracały spore rzesze żołnierzy, jenców, więźniów z obozów, ludzi politycznie nie zaangażowanych, pragnących połączyć się z rodzinami. Wracały też pojedyncze osoby, które świadomie postanowiły przejść na stronę warszawskiego reżymu. Uciekali ludzie podziemia, bezpośrednio zagrożeni, i tacy jak ja, młodzi, którzy nie widzieli przyszłości w kraju, nie chcieli się podporządkować narzuconemu systemowi, a mieli jakieś oparcie za granicą. W moim wypadku zasadniczą rolę odegrał fakt, że ojciec był w Anglii i że postanowił nie wracać.

Szwedzka wiza i z trudem zdobyty bilet na samolot z Rygi do Sztokholmu w grudniu 1939 roku sprawiły, że w sześć lat później mogłem planować moją eskapadę. Samo-

1. Marek Rudzki, „Winiетки okupacyjne (II)”, *Zeszyty Historyczne* nr. 117.

lotem tym – a był to rejsowy samolot Aeroflotu! – ojciec opuścił obóz dla internowanych oficerów na Łotwie, uniknął Katynia, wkrótce znalazł się w Paryżu, a wreszcie w wojsku w Szkocji. Później pracował dla polskiego rządu w Londynie. W sytuacji jaka się wytworzyła postanowił nie wracać do kraju, odciął się politycznie od inicjatywy Mikołajczyka, był wśród założycieli nowej partii politycznej Niepodległość i Demokracja. Przez liczne publikacje, ze względów rodzinnych, pod różnymi pseudonimami, stał się jednym z ideologów emigracji². Dwóch bliskich przyjaciół, Czesław Bobrowski i Tadeusz Łychowski, obaj wybitni ekonomiści, zdecydowali się na powrót. Ojciec prosił ich o kontakt z rodziną, o przekazanie informacji, że pozostaje na emigracji i wzywa nas, byśmy zrobili wysiłek połączenia się z nim w Anglii.

Czesław Bobrowski prośby tej nie wypełnił. Zjawił się pierwszy w Polsce, we wrześniu 1945. W Lublinie spotkał się z moją matką, Walentyną, doręczył przesłane pieniądze, po czym wygłosił propagandowe wręcz przemówienie: „Adaś zwiariował! Nie chce wracać do kraju. Niech Pani zrobi wszystko, by przekonać go do powrotu”. Matka wysłuchiwała tego z dużym sceptycyzmem, a dalszych z nim kontaktów nie mieliśmy. Inaczej postąpił Tadeusz Łychowski, który przybył do Warszawy pod koniec 1945 roku lub na początku 1946. Na spotkaniu z matką i wujem powtórzył wszystko o co ojciec prosił. Zrobił jeszcze krok dodatkowy. Zaprosił mnie samego do kawiarni Maciejewskiej i odbył długą rozmowę. Mówił otwarcie i szczerze i podkreślał wielokrotnie, że ojciec apeluje specjalnie do mnie, jako do starszego syna, bardziej narażonego, żebym to ja pierwszy próbował dotrzeć do Anglii, żebym nie zwlekał, nie czekał na decyzję reszty rodziny. Pamiętam do dziś, jak palcem wskazującym, skierowanym w moją stronę, podkreślał: „Ojciec Panu nakazuje!” Rozmowa ta wywarła na mnie wielkie wrażenie, a dla Łychowskiego zachowałem głęboką wdzięczność. Wiele lat później, mimo różnicy wieku i poglądów, miałem okazję

2. Henryk Stępiak, „Adam Rudzki”, „Nautologia”, Gdynia 1990, nr. 1-4. Patrz również Marek Rudzki, „Korespondencja Adama Rudzkiego z min. Adamem Rapackim”, *Zeszyty Historyczne* nr. 107.

nawiązać z nim bliskie, wręcz przyjazne stosunki. Po rozmowie z Tadeuszem Łychowskim skończyły się wahania, pozostawała niełatwa realizacja moich zamiarów.

UCIECZKA Z POLSKI: REALIZACJA

Jeszcze przed rozmową z Łychowskim zacząłem rozpracowywać możliwości wydostania się z Polski. Jedną z dróg, które brałem pod uwagę, prowadziła przez zieloną granicę do Czechosłowacji i potem do Niemiec. Bez odpowiedniego przygotowania było to bardzo ryzykowne. Potrzebnych stosunków i kontaktów nie miałem, a szukać ich usiłowałem bez skutku w Warszawie, Katowicach i Krakowie. Zdecydowałem wobec tego skierować moje wysiłki na Wybrzeże i zbadać szanse ucieczki na statku. W Nałęczowie wzrastał się terror, mnożyły się aresztowania. Trzeba było w każdym razie stamtąd zniknąć. Kilka dni po zakończeniu wielkiej pacyfikacji, 17 lutego 1946, opuściłem na stałe Nałęczów, choć jeszcze wstąpiłem tam przelotnie i z poczuciem ryzyka w początku marca. W Warszawie czekało mnie zdawanie matury. Był to ważny krok przygotowawczy do dalszych planów, myśleć bowiem należało o przyszłości za granicą, o rozpoczęciu tam studiów. Miałem tylko 16 lat i powstały trudności z dopuszczeniem do matury. Udało się to załatwić, kiedy wuj Adam Nagórski powiedział wprost dyrektorowi gimnazjum Rejtana³ p. Ostrowskiemu, że wybieram się do ojca w Londynie. Egzaminy rozpocząłem 20 lutego. Nie przejmowałem się nimi zbytnio. Wprost z sali egzaminacyjnej, w mało uszkodzonym budynku przy ulicy Rakowieckiej, chodziłem do kina, wieczorem na operę. Właśnie w okresie egzaminów, w niedzielę 24 lutego, spotkałem na koncercie kameralnym w Teatrze Polskim kuzyna i przyjaciela mego ojca, profesora Mariana Gieysztora. Zaprosił mnie następnego dnia na obiad. Przegadaliśmy kilka godzin, mogłem z nim otwarcie mówić o moich planach. Wiedziałem

3. W moim artykule: „Lechonia poznałem pod fortepianem”, *Twórczość* 1996, nr. 7, podałem błędnie, że maturę zdawałem w gimnazjum Staszica.

o jego zaangażowaniu w podziemiu, ale dopiero znacznie później dowiedziałem się, jaką rolę odegrał jako zastępca Stefana Korbońskiego w Kierownictwie Walki Cywilnej podczas okupacji niemieckiej. Gieysztor dał mi wiele cennych rad i wskazówek. Jednym z kolegów maturzystów, z którym w tych dniach nawiązałem bliższy kontakt, był Stefan Nowak, późniejszy wybitny socjolog i profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Wspomniałem mu na pożegnanie, że zapewne wkrótce nie będzie mnie już w kraju. „Nasze drogi na pewno jeszcze się skrzyżują” – zapewnił Stefan. Skrzyżowały się rzeczywiście trzynaście lat później, kiedy Nowak pojawił się jako stypendysta w Ameryce. Opiliśmy godnie naszą wspólną maturę w moim nowojorskim mieszkanku.

O zdaniu matury powiadomiono mnie 5 marca 1946. Mając to za sobą, mogłem się skoncentrować na sprawie najważniejszej. W Warszawie nie bardzo miałem gdzie się podziać, wyczerpywały się uprzejmościowe możliwości noclegowe. W dzienniku zanotowałem lakonicznie: „Do Nałęczowa wracać nie mogę”. Przyszedł więc czas, by zbadać możliwości na Wybrzeżu. Pojechalśmy tam z matką 18 marca, zatrzymując się we Wrzeszczu u p. Butlerów. Janusz Butler był zaprzyjaźniony z moim ojcem, w ostatnich latach przed wojną zajmował stanowisko przedstawiciela gdańskiej Rady Portu w Pradze. Miał teraz ważną pozycję na Wybrzeżu, dużą willę i samochód do dyspozycji. Zaczęliśmy poszukiwania dawnych kolegów i przyjaciół ojca. Jako dyrektor Rady Portu w Gdańsku w latach 1937–39 ojciec miał ich wielu i wielu z nich znalazło się ponownie w Gdańsku i Gdyni. Nie udało się jednak natrafić na żaden obiecujący kontakt i 23 marca wróciłem do Warszawy. Matka została jeszcze kilka dni i wtedy właśnie natknęła się na Tadeusza Smułkowskiego, przed wojną wysokiego urzędnika Rady Portu⁴. Pamiętam z tamtych czasów spotkania z nim i jego bardzo piękną żoną na nartach w Zakopanem. Obecnie był naczelnikiem wydziału w Głównym Urzędzie Morskim, mieszkał we własnej przedwojennej willi w Orłowie. Rozmo-

4. Patrz Henryk Stępiak, „Tadeusz Smułkowski”, „Nautologia”, Gdynia 1987, nr. 4.

wa ze Smułkowskim okazała się rewelacją. Obiecał po prostu, że załatwi dla mnie zaciągnięcie się na jeden z polskich statków jako marynarz. Będę w ten sposób mógł wyjechać legalnie, bez ryzyka, a potem dopiero zejść ze statku i pozostać za granicą. Prosił bym zgłosił się do niego w tej sprawie w połowie kwietnia. Stanowiło to nieoczekiwane i idealne rozwiązanie.

Kiedy matka przywiozła mi do Warszawy tę wiadomość, poczułem się już trochę jak na wyjeździe. Pojechałem do Katowic, by pożegnać się z moim najbliższym przyjacielem, Stanisławem Nehringiem i ówczesną damą mego serca, Hanką Nowicką, której ojciec, jak mój, był w Londynie. Dała mi jego adres, prosiła o przekazanie wiadomości. Spędziłem potem kilka dni w Toruniu, gdzie miałem rodzinę. Pożegnanie z Nałęczowem nie wchodziło już w rachubę.

Na Wybrzeże pojechałem z Torunia 13 kwietnia i zatrzymałem się u p. Smułkowskich w Orłowie. Smułkowskiego nie zastałem, był w podróży, czekałem na jego powrót. Kiedy wrócił 17 kwietnia rano sprawy potoczyły się błyskawicznie. Zanotowałem w dzienniku: „Smułkowski dał mi kartkę do kierownika Biura Angażowania Załóg w Domu Marynarza w Gdyni, p. Malczewskiego, gdzie zaraz się udałem. Czekałem na niego od 10-tej do 1-szej, ale wreszcie doczekałem się i otrzymałem skierowanie na jutro do lekarza. Będę chłopcem okrętowym na jednym z polskich statków”. Następnego dnia poszedłem na badanie lekarskie. Powstał tu pewien problem. W tamtych czasach wymagano, by każdy marynarz posiadał dobry wzrok. Trwała jeszcze tradycja bocianiego gniazda. A ja nosiłem okulary. Uprzytomniłem to sobie w ostatniej chwili, przed wejściem do gabinetu okulary zdjęłem, udało mi się zbliżyć do tablicy z literami do badania wzroku i litery te zapamiętałem. „Odczytałem” je potem bezbłędnie. „Otrzymawszy świadectwo zdrowia udałem się do Domu Marynarza, gdzie zarejestrowano mnie w Biurze Angażowania Załóg i skierowano do Związku Zawodowego Transportowców R.P. Tam zapisuję się do Związku, otrzymuję legitymację i zakańczam załatwianie tych spraw. Mam zgłosić się zaraz po świętach i otrzymać skierowanie na statek.” Był to

czwartek przed Wielkanocą. Mam w swoich zbiorach kwit na opłatę składki za dwa miesiące, która wyniosła 70 złotych.

Pojechałem zaraz do Torunia. „Jest niesamowite przepełnienie, jadę w ubikacji wojskowego wagonu. Przyjeżdżam o 10-tej wieczorem i ponieważ jest już za późno by udawać się na Chełmińskie Przedmieście, zatrzymuję się w hotelu ‘Trzy Korony’ na Starym Rynku”. W Toruniu mieszkała wtedy moja babcia, Jadwiga Rudzka z rodziną. Czekala już matka z młodszym bratem Adamem, a następnego dnia przyjechał z Warszawy wuj Adam Nagórski. Zamieszkałem z nim w hotelu „Pod Orłem” przy ulicy Mostowej. Rodzinne święta wielkanocne upłynęły pod znakiem zbliżającego się mego wyjazdu. W drugi dzień świąt, 22 kwietnia, znalazł się jeszcze czas na dobre przedstawienie „Starej cegielni” Iwaszkiewicza, a potem spotkanie z reżyserem, Wilamem Horzycą, zapamiętanym z warszawskich kawiarni podczas niemieckiej okupacji. Wieczorem zegnałem się z babcią, której już nigdy więcej nie widziałem. Wuj Adam eskortował mnie na Wybrzeże 23 kwietnia. Zatrzymałem się znów u p. Smułkowskich. Następnego dnia, 24 kwietnia, dostałem skierowanie na statek M/S Sobieski i tego popołudnia zaokrętowałem się w Nowym Porcie w Gdańsku. Proste załatwienie wyjazdu zawdzięczałem bezpośrednio pomocy Tadeusza Smułkowskiego, a pośrednio przyjaźniom i stosunkom ojca. Na prośbę Smułkowskiego zobowiązałem się, że nie zejść ze statku po pierwszym rejsie.

CHŁOPAK KUCHENNY

Pierwszą noc spędziłem w pasażerskiej kabinie, jeszcze przed odjazdem. Statek nie miał pasażerów. Płynęliśmy do Leith, port Edynburga, by zabrać na pokład tych polskich żołnierzy, którzy zdecydowali się na powrót. Wyruszyliśmy z Gdańska rankiem 25 kwietnia 1946, w moje imieniny. Dostałem przydział do pracy jako „gospodarz” kubryku, dormitorium, w którym mieszkało około 20 chłopców, takich jak ja. Do moich obowiązków należało sprzątanie kùbryku, łazienki i klozetów (musiało zawsze być czysto, wpadały lotne inspekcje), przynoszenie z kuchni czterech posiłków dziennie

dla mojej dwudziestki, zmywanie i odnoszenie naczyń. W rezultacie, pierwszy wstawałem, ostatni kładłem się spać. Mój formalny tytuł, wpisany do książeczki żeglarskiej, brzmiał „chłopak kuchenny”. Nie była to praca łatwa, zwłaszcza, że nigdy przedtem czynności podobnych nie wykonywałem. Muszę przyznać że czasem, w desperacji, wyjątkowo zatłuszczone talerze wyrzucałem za burtę, ale praktyki te zarzuciłem, kiedy zauważyłem ślady tłuszczu na boku statku pod moim okrągłym okienkiem. Złożyłem prośbę dostania jakiejś „intelektualnej” pracy, na przykład w bibliotece, ale gdy powiedziałem, że mam maturę, bosman zawyrokował, że wobec tego nadaję się do skrobania kartofli. Nie to jednak było ważne. Ważne było, że wypływaliśmy na pełne morze, że następnego ranka, siedząc na rufie statku w godzinie wolnej od pracy, patrzyłem na rysujące się w oddali wieże Kopenhagi. Wtedy właśnie poczułem, że znajduję się na wolności.

Wtedy też zdecydowałem, że przyszedł czas by skontaktować się z ojcem. Radiotelegrafista pomógł mi zrehabilitować po angielsku telegram do Londynu. Zawiadamiałem kiedy, jako członek załogi, przybędę do Edynburga. Prosiłem ojca, by czekał tam u Zygmusiów Nagórskich. Tak się bowiem złożyło, że w Edynburgu mieszkał z żoną mój kuzyn, Zygmunt Nagórski jr., który prowadził Polską Agencję Prasową, powiązaną naturalnie z rządem emigracyjnym, nie z Warszawą. Miałem adres, czułem się więc pewnie, nawet w wypadku, gdyby nie udał się londyński kontakt. Mój telegram nadszedł kiedy ojciec był w biurze. Wynajmował wtedy dwa pokoje w podmiejskim domku kuzyna, Tadeusza Pawłowicza. Pani Halina Pawłowicz przetelefonowała treść mężowi, a on przekazał ją dalej: „Przyszła ważna wiadomość od Twego syna. Nie będę mówić przez telefon. Zaraz do mnie przyjeżdżaj”. „Dobra wiadomość, czy zła?” „Dobra!”. Następnego dnia ojciec pojechał do Edynburga. O moim przyjeździe powiedział tylko wujowi Zygmuntowi Nagórskiemu. Po wysłaniu telegramu wróciłem na pokład. Zanotowałem wtedy w dzienniku: „Palę fajkę i patrzę. Statek zwolnił, będziemy chyba skręcać w Skagerrak. Nad samą wodą, po duńskiej stronie, widzę wspaniały zamek pokryty śniegiem na dachach.

Obok mały port”. Zdałem sobie sprawę, że to Elsinore, zamek Hamleta.

Na redzie portu Leith stanęliśmy wczesnym rankiem 28 kwietnia. Koło 11-tej zaczęto nas holować, wyszedłem na pokład, statek przesuwiał się powoli od jednego nabrzeża do drugiego, na każdym wypatrywałem ojca, ale nie było nikogo. Dopiero koło 1-szej przycumowaliśmy, a na lądzie stał tylko jeden mężczyzna. Od razu wiedziałem, że to on. Machaliśmy do siebie, a gdy tylko spuszczone mostek, rzuciłem się do zejścia na ląd. Zatrzymano mnie – nie wolno schodzić, nim przyjdzie oficer imigracyjny. „Ale to mój ojciec – wołałem – nie widziałem go od tylu lat”. „Proszę bardzo – odpowiedział pilnujący zejścia marynarz – niech ten pan wejdzie”. Ojciec zawahał się słysząc to zaproszenie. Nie rozumiałem jeszcze wtedy tych rzeczy, ale on rozumiał, że wchodząc na statek, wchodził na terytorium komunistycznej Polski, że mógł, teoretycznie, być tam zatrzymany. Wahanie trwało kilka sekund, ja przynaglałem i na pokładzie Sobieskiego nastąpiło nasze spotkanie po blisko siedmiu latach. Szybko załatwiłem zastępstwo na popołudniową i poranną pracę. Byłem wolny do następnego dnia. Nie dziwiłem się, kiedy zeszliśmy ze statku, że ojciec zarządził zatrzymanie w pierwszym portowym pubie, gdzie zamówił podwójną whisky. Mnie odmówiono podania piwa, bo wyglądałem zbyt młodo. Po wytłumaczeniu, że jestem prawdziwym marynarzem, wręcz wilkiem morskim, dostałem kufel „shandy”, mieszanki piwa z lemoniadą. Był to typowy brytyjski kompromis i często później myślałem, że moje dalsze perypetie z uzyskaniem prawa pobytu, załatwiane były właśnie na zasadzie „shandy”.

Widok normalnego, nie zniszczonego, bogatego miasta robił na mnie wielkie wrażenie. Pojechaliśmy tramwajem do Zygmunta Nagórskich. Wrażenie robił również ich normalny tryb życia, jakże różny od tego w Warszawie czy Toruniu. Zygmunt zabrał nas samochodem na korty tenisowe, a potem, z jego żoną, na wycieczkę po Edynburgu i okolicach. Następne trzy dni spędziłem częściowo na statku, gdzie musiałem w prymitywnych warunkach pracować, a częściowo, w luksusie, na lądzie. Kontrast był niezwykły. W czasie moich godzin wolnych od pracy ojciec wpadał na Sobieskiego, a na

ostatni dzień jego pobytu w Edynburgu kupiłem za funta zastępstwo u kolegi. Ojciec nie bardzo wiedział, czy podchodzić do mnie jak do dziecka, którym mnie pamiętał, czy jak do dorosłego człowieka, którym mimo młodego wieku już wtedy byłem. Zaproponował ogród zoologiczny, pamiętając dziecinne wyprawy do zoo na Pradze; od tamtych czasów ogrodu zoologicznego nie widziałem. Wieczorem 1 maja odprowadziłem go na Waverly Station, skąd odjechał do Londynu, mimo że ja zostawałem jeszcze dzień w Edynburgu. Ojciec spieszył się z powrotem, denerwował się sytuacją wiedząc, że po następnym rejsie, a miał to być właśnie rejs do Londynu, zejdę ze statku. Miał poczucie, że ja wykonałem moją, ryzykowną część zadania, a reszta jest jego odpowiedzialnością. Wy tłumaczył mi, że uzyskanie prawa pobytu w Wielkiej Brytanii jest rzeczą niezmiernie trudną. Ja pozostawałem pod wrażeniem, które miało tylu uciekinierów przez tak wiele potem lat, że jeśli uda się wyrwać spoza Żelaznej Kurtyny, to będzie się przyjętym na Zachodzie z otwartymi ramionami. Tak niestety prawie nigdy nie bywało.

Wykonanie zadania przeze mnie nie wyglądało jeszcze zresztą takie pewne. Atmosfera na Sobieskim stawała się nieprzyjemna, euforia pierwszych dni na morzu minęła, pracę miałem coraz cięższą, narastały konflikty z kolegami z kubryku. Będąc jedynym wśród nich inteligentem, nie pasowałem. Tłumaczyłem moją tam obecność tym, że od jesieni idę do szkoły oficerskiej marynarki handlowej, że potrzebuję mieć praktykę na morzu. Taką wersję uznałem za konieczną, również wobec oficerów, by kamuflować mój prawdziwy cel. Nie było to jednak dobrze przyjęte przez prymitywnych chłopaków z którymi pracowałem, ani przez równie prymitywnych bezpośrednich przełożonych. Myśleli pewno sobie, że my temu przyszłemu oficerowi pokażemy. Kiedyś zatkał się jeden z „moich” klozetów. Poszedłem pytać czym mam go przeczyścić „Jak to czym? Rękami! Zakasuj rękawy”.

Ostatni dzień po wyjeździe ojca spędziłem na statku. Zaokrętowano powracających do kraju żołnierzy. Patrzyłem na nich z pewnym współczuciem, lecz nie wdawałem się w rozmowy. Pojawił się Zygmunt Nagórski w swej roli dzienikarza. Dla bezpieczeństwa udawałem, że go nie znam.

W drogę powrotną do Gdańska wyruszyliśmy 3 maja. Zano-
towałem nazajutrz: „Wczoraj miałem ciężki dzień. Wieczorem
awantura od kierownika z powodu śmieci na podłodze w
moim kubryku, mimo, że zamiatałem na pół godziny przed-
tem, ale zostało naśmieczone przez moich ‘kolegów’. Zostałem
zapisany w dzienniku i może mi grozić wywalenie w Gdań-
sku. Nie wiem, czym się to skończy”. Tego rodzaju
„naśmiecenia”, albo rujnowanie posłania na moim łóżku, ro-
biono mi celowo. Zagroziłem jednemu z prowadzących tę
działalność, że poskarżę się naszemu głównemu szefowi, dość
zresztą sympatycznemu, bosmanowi o rozbrajającym na-
zwisku Dzieciątko. „Dostaniesz nożem w plecy” – odpowie-
dział. Zdecydowałem, że lepiej nie skarżyć się, tylko pilnować
sytuacji. I tak, 6 V mogłem zanotować: „Przed chwilą wszedł
niespodziewanie najgroźniejszy kierownik na inspekcję,
wszystko było w porządku, nic nie powiedział. Ze statku nie
zostałem wywalony. Wywalono dwóch i zawiadomiono ich o
tym wczoraj. Mnie nie, więc przypuszczam, że zostanę”.

Miałem podczas tego rejsu jeszcze inny problem, zwią-
zany z pasażerem na gapę, tak zwanym „blind”, którego
zamiarem była ucieczka z Polski. Wykryty na statku w drodze
do Leith, został tam wydany policji, a po pięciu dniach w
więzieniu odprowadzony na Sobieskiego przed samym od-
jazdem. W Gdańsku czekało go aresztowanie za nielegalne
przekroczenie granicy. W międzyczasie, na morzu, przy-
dzielono mu jakąś pracę, poruszał się swobodnie. Był bardzo
sympatycznym, zabiedzonym chłopakiem, miał zdaje się ojca
w Argentynie. Znalazłem w nim bratnią duszę, towarzysza do
pogawędek w wolnych chwilach na pokładzie. Kiedy pły-
nęliśmy blisko Kopenhagi, zwierzył mi się, że postanowił sko-
czyć do morza, próbować dopłynąć do brzegu. Wiedział, jaki
los czeka go w Polsce. Udało mi się wytłumaczyć, że byłoby
to samobójstwem, że nie ma żadnej szansy, nawet w pasie ra-
tunkowym, przepłynąć kilkanaście kilometrów w lodowatym,
wzburzonej morzu. Już w pobliżu Gdańska, zdesperowany
chłopak poprosił, by mu pomóc schować się na statku. Naiw-
nie myślał, że pozostanie w ukryciu do następnego rejsu, że
będzie miał następną szansę. Znalazłem kryjówkę w moich
ubikacjach, pod sufitem były jakieś rury, przewody, zniknął

wśród nich bez śladu. Poszukiwania zaczęto jak wchodziliśmy do Zatoki Gdańskiej. Po jakimś czasie został znaleziony. Pół godziny później odezwał się megafon: „Rudzki, stawić się do biura ochmistrza”. Obawiałem się, że mój „blind” powiedział kto udzielił mu pomocy, że może obaj wydani będziemy w ręce UB. Chodziło jednak tylko o jakąś drobną administracyjną sprawę. W czasie następnego rejsu mówiono na statku, że kapitan Sobieskiego, S. Ciundziewicki, ujął się za nieszczęsnym chłopakiem, oświadczył, że miał on być członkiem załogi, a tylko właściwych papierów nie załatwiono na czas. W rezultacie, sprawę potraktowano administracyjnie, a chłopak miał wrócić legalnie na statek po następnym rejsie. Mnie już wtedy na Sobieskim nie było, nie wiem więc czy tak się stało, ale przypadek ten ilustruje, jakie jeszcze wtedy panowały stosunki. Odniosłem wrażenie, że cała załoga Sobieskiego to byli politycznie przyzwoici ludzie. Ostrzegano mnie tylko przed jednym bibliotekarzem, żeby uważać co się przy nim mówi, bo to ubek. Kapitana Ciundziewickiego nigdy na Sobieskim nie spotkałem. Za wysoka to była persona dla kuchennego chłopaka. Miałem natomiast przyjemność poznać go wiele lat później, na nowojorskim przyjęciu u mojej ciotki, Marii Nagórskiej. Kapitan, który wkrótce po mnie poszedł w moje ślady, był wtedy skromnym emigrantem. Przedstawiłem się jako członek jego załogi, witał mnie owacyjnie i rzecz całą opijaliśmy. Byłem pewno lepiej sytuowany niż on, a nie mogłem nie myśleć, jak jedno kapitańskie słowo tego pamiętnego maja 1946 roku zmieniałoby moją sytuację na statku. *Tempora mutantur.*

Do Gdańska przybiliśmy 6 maja po południu. W porcie czekali matka, brat i wuj Adam. Wraz z nimi był przedwojenny bliski przyjaciel ojca z Gdyni, Teodor Dembiński, obecnie na wysokim stanowisku, z samochodem, którym odwiózł nas z portu. Noc u p. Butlerów we Wrzeszczu upłynęła głównie na moich opowiadaniach, w atmosferze pożegnalnej, bo trudno było przewidzieć, kiedy następny raz będziemy się widzieli. Butlerowie byli tą całą sytuacją trochę przestraszeni, prosili by cicho rozmawiać w obawie przed jakimiś nieokreślonymi podsłuchami. Na statku musiałem być już o 7-mej rano. Po południu pojechaliśmy we czwórkę

ciężarówką do Sopotu, gdzie mieszkałem przed wojną. Zano-
towałem w dzienniku: „Jem lody u Gajewskiego na placu
Wolności przy ex-ewangelickim kościele, słuchając ostatnich
może polskich pieśni, dochodzących z majowego nabo-
żeństwa”. Po ostatecznych pożegnaniach wróciłem późnym
wieczorem na Sobieskiego.

Statek odpłynął rankiem 8 maja, rejsem do Tilbury,
portu przy ujściu Tamizy, pod Londynem. Po przejeździe
przez kanał kiloński przybiliśmy tam 11 maja przed po-
łudniem. Nie musiałem się już teraz obawiać, że mnie
„wywalą”, ale te ostatnie trzy dni były najtrudniejsze. Brak
snu i dalsze szykany ze strony kolegów i przełożonych po-
tęgowały zrozumiały niepokój o to, jak rozwiną się sprawy po
wylądowaniu, jak uda się zejście ze statku. „Jestem nie-
samowicie wymęczony. Czuję się jak w obozie karnym”.

Dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności i pewnej dozie
koniecznej w takich sytuacjach bezczelności, sprawy roz-
winęły się nadspodziewanie dobrze. W porcie czekał ojciec i
zaraz wszedł na statek wraz z brytyjskim oficerem imigra-
cyjnym. Pertraktował z nim o wydanie mi wizy, ale oficer
odmówił bez zgody kapitana. Tak się złożyło, że kilkunastu
członków naszej załogi pozostać miało w Anglii w polu
rezerwowym linii Gdynia – Ameryka, do której należał So-
bieski. Tym marynarzom wydawano miesięczne wizy. Ja do
tej grupy nie należałem. Na wszelki jednak wypadek, sta-
nałem w ogonku do brytyjskiego urzędnika. W międzyczasie
pojawił się p. Marius Plinius, Duńczyk, wicedyrektor linii,
pasażer na statku. Przed wojną reprezentował duński kapitał
w GAL-u, a w czasie wojny był kuratorem linii Gdynia –
Ameryka w Londynie. Ojciec dobrze go znał. „Panie Adamie,
kiedy Pan wraca do Polski?” „Jak Bierut wyjedzie” –
odpowiedział ojciec. Po tym przywitaniu poprosił Plinius o
przeniesienie mnie do rezerwy, na co on grzecznościowo
wyraził zgodę. W parę minut później znalazłem się przed ofi-
cerem imigracyjnym. Zapytał, czy kapitan zgodził się na moje
opuszczenie statku. Odpowiedziałem pozytywnie i otrzy-
małem pieczętą – prawo pobytu na 30 dni. Nie czekając co
będzie dalej, zabrałem rzeczy i zeszliśmy na ląd. Wraz z nami
jechało do Londynu parowym pociągami, a potem metrem,

kilku marynarzy z Sobieskiego, którzy nie kryli się, że mają te same co ja zamiary. Był wśród nich jeden z moich zwierzchników; jeszcze tego ranka wrzeszczał na mnie, kiedy myłem pokład. Teraz grzecznie witał się z ojcem, prosił o jakąś radę czy pomoc. Jak się okazało, *tempora mutantur* czasem nawet bardzo szybko. Dowiedziałem się, że następny rejs ma być na wyspę Mauritius, by zabrać stamtąd polskich uciekinierów. Trochę żałowałem, że tracę szansę na tak egzotyczną podróż, ale pozostanie na Sobieskim nie mogło wchodzić w rachubę.

Przez następne dni zwiedzałem Londyn, rozkoszowałem się normalnym życiem. Raz jeszcze, 14 maja, pojechałem do Tilbury. Należało mi się kilka funtów gaży, ale głównie chodziło o wpis do Książeczki Żeglarskiej o zwolnieniu ze statku i przeniesieniu do rezerwy, co legalizowałoby od strony polskiej mój pobyt w Anglii. Wybuchła awantura. Zanotowałem tego dnia: „Mówią mi, że nic nie wiedzą, że GAL przeniósł mnie do rezerwy i że jeśli nie wrócę na pojutrze wieczór, kiedy jest odjazd, będę traktowany jako dezterter. Jadę do Londynu do biura ojca. On dzwoni do GAL; informują, że zaszły jakieś komplikacje w związku z którymi nie zgodzono się na przeniesienie mnie do rezerwy, że jestem dezterterem. To stwarza niebezpieczną sytuację, bo jeśli nie powrócę na statek, może mi grozić aresztowanie i odstawienie do Polski. Wobec tego jedziemy taksówką do Home Office gdzie mówią nam, że Landing Permit, jaki posiadam na miesiąc, zabezpiecza mnie na ten okres czasu, a potem należy złożyć podanie o przedłużenie. Jesteśmy więc uspokojeni. Otrzymałem wczoraj paszport zagraniczny wystawiony przez Konsulat R.P. rządu londyńskiego w Dublinie, przy pomocy którego mogę w ostateczności zwać do Irlandii”. Charakterystyczne jest, że nie zrobiono żadnej próby, by mnie na Sobieskim zatrzymać. W późniejszych latach nie zostałem już w takiej sytuacji ze statku wypuszczony, ale też i nie zaryzykowałbym wrócić. Rok 1946 był jeszcze pod tym względem przejściowym okresem.

SŁUGA UNIŻONY

Następny miesiąc upłynął pod znakiem załatwiania dla mnie stałego pobytu w Anglii. Zajmowałem się tym i niepokoiłem ojciec. Ja raczej beztrząsco chłonałem Londyn, wypuszczałem się na długie wyprawy po mieście, zwiedzałem muzea, prawie co dzień chodziłem na koncerty i do kina. Otrzymałem 28 maja odmowę przedłużenia mego pobytu. Ubawiło mnie, że list zakończony był formułą: „*I remain, Sir, your most obedient servant*” – „pozostaję Pana sługą uniżonym”, a dosłownie, „najposłusznieszym”. Odmówił również pomocy Rt. Hon. Hankey, późniejszy lord. Poznałem go w hotelu „Polonia” w Warszawie; jako sekretarz brytyjskiej ambasady często spotykał się z wujem Adamem Nagórskim. Hankey był w tym czasie szefem departamentu Europy północno-wschodniej w Foreign Office. Sprawy więc nie wyglądały dobrze i ojciec niepokoił się coraz bardziej, myślał o interpelacji w Parlamencie. Chodziło, bądź co bądź, o młodocianego syna oficera polskiego wojska, które brało udział w obronie Wielkiej Brytanii. Tłumaczyłem, że w razie czego będę się po prostu ukrywał, że w warunkach londyńskich byłoby to znacznie łatwiejsze niż w okupacyjnej Warszawie. Mnie wydawało się to proste, ojcu te argumenty nie przemawiały do przekonania i opracował dwie możliwości działania, gdyby naprawdę groziła mi deportacja. Pierwsza, to przejazd do Irlandii, z dublińskim paszportem lub przez zieloną granicę. Tam miałem przygotowane schronienie w klasztorze w oczekiwaniu wyjaśnienia sytuacji. Druga, to wykorzystanie przyjaźni z polskimi lotnikami w Szkocji, którzy latali jeszcze do Włoch. Obiecali przerzucić mnie do Drugiego Korpusu, wstąpiłbym do wojska i z czasem legalnie wrócił do Anglii. Bardziej uśmiechała mi się wersja włoska niż irlandzki klasztor. Jako ostateczność, była nawet mowa o wyjeździe do Brazylii lub Argentyny. Szczęśliwie, nie zaszła potrzeba realizacji tych planów. Zagrał kontakt z Dutchess of Atholl, brytyjską arystokratką, która interesowała się Polską i przez swoje stosunki pomogła wielu Polakom. Przyszedł od niej 21 czerwca list z załączoną kopią zawiadomienia z Home

Office, że otrzymałem prawo pobytu na sześć miesięcy. Zakończyło to moje problemy. Po upływie tego okresu otrzymałem przedłużenie na następne sześć miesięcy, a potem już stały pobyt.

PIERWSZY LONDYŃSKI ROK

Dzięki zdaniu matury przed wyjazdem z Polski zostałem w końcu czerwca dopuszczony do konkursowego egzaminu wstępnego na nowo utworzony Polish University College, formalnie część Uniwersytetu Londyńskiego. Egzamin zdałem i w początku października rozpocząłem studia ekonomiczne. Wiązało się to z otrzymaniem brytyjskiego stypendium, dwadzieścia funtów miesięcznie, które rozwiązywało sprawy materialne. Moja matura uznana była tylko tymczasowo. W rok później, w czerwcu 1947, zdawać musiałem maturę ponownie, tym razem angielską, na Uniwersytecie Londyńskim. Udało mi się to dzięki bardzo intensywnej nauce języka u doskonałej nauczycielki. Miss Monica Burnett, jak Dutchess of Atholl, przejęła się polskimi sprawami i wielu młodych Polaków, którym dawała lekcje bezinteresownie, zawdzięczało jej opanowanie języka i możliwość przyjęcia na wyższe studia.

Pojawiali się w Londynie w 1946 roku legalnie przyjeżdżający z Polski znajomi. Miło mi było zobaczyć w lipcu Romana Jasińskiego, zaprzyjaźnionego z wujem Adamem, którego pamiętałem z wielu spotkań w Warszawie. Pod koniec sierpnia przyjechał na konferencję naukową profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Cezary Berezowski, mój przyszły teść. Mieszkał kilka dni u nas. Wspominając tak niedawne obiady w „Polonii”, kawy u Maciejewskiej i wspólne podróże zatłoczonym nocnym pociągami do Lublina imponowało mi, że mogę teraz, jak stary londyńczyk, oprowadzać go po nieznanym mu mieście. Wuj Adam, jeździł dwukrotnie do Sztokholmu, jesienią 1946, w związku ze swoją pracą dla szwedzkiej firmy Asea. Przekazywał nam stamtąd wiadomości listownie i telefonicznie. Utrzymywałem też ożywioną korespondencję z Polską. Zanotowałem 3 czerwca: „Z Nałęczowa wiadomości złe. Obawiają się spalania, tak jak Wąwolnicy.

Rozalia Ciozda niemal obłąkana po aresztowaniu syna Edka”⁵. Później, 10 grudnia: „List od Ninki [naszej gosposi], która donosi, że Edek Ciozda wrócił z więzienia, ale jest niemal umierający na suchoty. Z całego listu przebija nastrój znany mi z Nałęczowa sprzed roku, strach, rozpacz, beznadziejność i jeszcze tęsknota...”.

Dobra wiadomość przyszła 18 sierpnia. Matka i młodszy brat wyjechali nielegalnym transportem z Krakowa, przez Czechosłowację, do brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Transporty te, autobusami i koleją, organizował i prowadził odważny i przedsiębiorczy oficer z polskich oddziałów w Niemczech, kapitan St. Rybicki. Posługiwał się łapówkami, stosunkami, bezczelnością i dużą dozą szczęścia. Był to piąty i ostatni udany transport. Rybicki wpadł przy organizowaniu szóstego⁶. Po spędzeniu pół roku w Niemczech, matka i brat dotarli do Londynu 3 marca 1947.

PUŁKOWNIK STANISŁAW NOWICKI

Na początku mego pobytu w Londynie nie orientowałem się jeszcze w pełni w konfliktach, jakie powstały na emigracji. Osoby, które poparły Mikołajczyka i przeszły na stronę Warszawy, były poza nawiasem głównego nurtu emigracyjnego życia. Do takich osób należał pułkownik Stanisław Nowicki, bliski współpracownik generała Tatara, ojciec mojej katowickiej przyjaciółki, Hanki. Obiecałem jej że się z nim skontaktuję i spotkam. Napisałem wkrótce po przyjeździe do Londynu kartkę, Nowicki przyjechał 24 maja 1946 do naszego podmiejskiego mieszkania, bez zapowiedzenia, eleganckim samochodem, kontrastującym ze skromnymi warunkami w których żyliśmy. Był wdzięczny za moje opowiadania o żonie i córkach; do kraju jeszcze nie jeździł. Ze swej strony,

5. Marek Rudzki, „Winiетки drugiej okupacji (II)”, *Zeszyty Historyczne* nr. 120.

6. Dokładne sprawozdanie o ostatnim udanym transporcie znajduje się w *Gazecie Ludowej*, Warszawa, 15 V 1947, w związku z procesem Rybickiego.

opowiadał o podróży z Mikołajczykiem i Churchillem do Moskwy w 1944 roku. Dowiedziałem się później, że dysponował dość dowolnie dużymi sumami, należącymi przedtem do londyńskiego rządu.

Dwa lata później, latem 1948 roku, Hanka Nowicka przybyła do Londynu by odwiedzić ojca. Mieszkała w jednym z trzech zakupionych przez niego domów przy Cornwall Gardens, obok mieścił się warszawski Attachat Wojskowy. Należała więc do innego niż ja świata. Wahałem się trochę, czy się do niej odezwać. W końcu jednak nastąpiło bardzo przyjazne spotkanie i w rezultacie widywaliśmy się wielokrotnie, bywałem nawet na Cornwall Gardens. Dobrze pamiętam, w początku października, wyprawę do kina na Leicester Square. Nieoczekiwanie dla mnie pojawił się również elegancki pułkownik, Maksymilian Chojecki, attaché wojskowy warszawskiej ambasady. Hanka przepraszała, że nie mogła się wykręcić, że on mieszka w sąsiednim domu. Byłem zły, nie dlatego, że pojawił się ewentualny rywal, ale dlatego, że mi nie odpowiadało spotkanie z takim, jak napisałem w dzienniku, „draniem”. Musiałem potem z Hanką przejechać przez miasto samochodem ambasady, łamiąc podstawowe zasady uczciwego emigranta politycznego. Nie chciałem zostawić jej na pastwę przystojnego pułkownika. Czułem się trochę jak Romeo, z tym, że moja Julia nie w pełni sobie z tych niuansów zdawała sprawę.

Na Cornwall Gardens spotkałem się znów kilka razy z pułkownikiem Nowickim. Zabrał nas 29 sierpnia 1948 na przejażdżkę samochodową i spacer na Wimbledon Common. Wtedy miała miejsce rozmowa, która utkwiła mi w pamięci. Pułkownik Nowicki z wielkim przekonaniem tłumaczył, że sytuacja w Polsce wkrótce się zmieni, że wszyscy polityczni emigranci, „nawet Pana ojciec”, będą mogli bezpiecznie wrócić, że bardzo niedługo zapanują normalne stosunki. Mówił z dużą pewnością siebie, dając do zrozumienia, że nie może wszystkiego powiedzieć. Rok później Stanisław Nowicki pojechał do Polski i wkrótce został aresztowany. W lipcu 1951 roku zasiadł na ławie oskarżonych w pokazowym procesie generała Tataru o spisek wojskowy. W swoich zeznaniach przyznał się do „brudnej działalności skierowanej

przeciw Polsce Ludowej”⁷. Jednym ze świadków oskarżenia był przyprowadzony z więzienia pułkownik Chojewski, mój „rywal” z Leicester Square. Czytając sprawozdania z procesu myślałem o rozmowie na Wimbledon Common. Czy naprawdę był spisek wojskowy, w którym pułkownik Nowicki brał udział i w którego sukces wtedy wierzył?

CZESŁAW BOBROWSKI

Czesław Bobrowski, zaprzyjaźniony z ojcem w wojennym Londynie, wypłynął po powrocie do Polski na wysokie stanowiska. Może dlatego nie chciał matce przekazać informacji o które ojciec prosił. Już w 1945 roku był prezesem Centralnego Urzędu Planowania i pozostał nim do roku 1948. W zmieniającej się sytuacji politycznej przeniesiono go na boczny tor. Został ambasadorem warszawskiego rządu w Szwecji. Pozostał tam do około 1950 roku. Odwołany do Warszawy, wybrał wolność i zamieszkał w Paryżu. Wtedy właśnie napisał do ojca, pragnąc nawiązać dawne kontakty. Ojciec odpowiedział Bobrowskiemu, że gdyby w dzień po przeniesieniu do Szwecji zerwał z warszawskim reżymem, nie miałby mu politycznie nic do zarzucenia, rozumiałby, że jego próba pracy dla dobra kraju nie powiodła się. Pozostał jednak przez dwa lata na dobrze płatnej posadzie, a jednym z jego licznych, a haniebnych obowiązków było domaganie się deportacji uciekających polskich marynarzy. Potem dopiero, kiedy to intratne stanowisko stracił, zdecydował się dla własnego bezpieczeństwa na emigrację. W tej sytuacji ojciec nie chciał mieć z nim nic więcej do czynienia⁸.

7. *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, Londyn, 6 VIII 1951.

8. Czesław Bobrowski wrócił znów do Polski po dojściu do władzy Gomułki, od 1957 do 1963 roku był wiceprzewodniczącym Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów, potem profesorem i cenionym reżymowym ekonomistą. Zmarł w 1996 roku.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

Tadeusz Łychowski odwiedził nas z ojcem w czasie krótkiego pobytu w Londynie w 1946 lub na początku 1947 roku. Był serdecznie, przyjacielsko powitany. Moja obecność świadczyła, że wykonałem przekazane mi przez niego polecenia. Wiedzieliśmy, że w okresie stalinowskim Łychowski znalazł się w Polsce „na odstawce”, uniknął aresztowania, żył ze zleconych tłumaczeń. Następne nasze spotkanie miało miejsce dziesięć lat później, kiedy mieszkaliśmy już z ojcem w Nowym Jorku. Łychowski przyjechał jako członek polskiej delegacji do Narodów Zjednoczonych. Zaraz się odezwał i był u nas na obiedzie 9 grudnia 1956. Tego miesiąca widzieliśmy się czterokrotnie, łącznie ze wspólnym Sylwestrem. Wkrótce pan Tadeusz zajął stałe stanowisko w ambasadzie warszawskiej w Waszyngtonie, w randze ministra. Jego zadaniem było negocjowanie pierwszych powojennych pożyczek amerykańskich dla Polski. Dawało mu to wielką satysfakcję. Myślę, że miał wreszcie poczucie, że robi coś naprawdę pożytecznego dla kraju. Że jego decyzja powrotu nie poszła na marne. Jako przedstawiciel w Radzie Ekonomicznej ONZ odwiedzał Nowy Jork i bywał częstym gościem mego ojca i moim. Nasze spotkania miały troszkę „tajny” charakter, bo on nie mógł afiszować się kontaktem z pracownikami Wolnej Europy a memu ojcu nie było na rękę przyznawać się do stosunków z warszawskim ministrem. Tajność jednak nie była ściśle przestrzegana i czasem zapraszaliśmy parę interesujących osób, z którymi nasz gość chętnie się spotykał. Tadeusz Łychowski był prawdziwym *gourmet*, znawcą dobrego jedzenia, dobrych win i koniaków. Staraliśmy się zdobywać najlepsze trunki, przygotowywać atrakcyjne dania. Wizyty te nie sprowadzały się jednak do smacznych posiłków i próbowania starych win. Rozpoczynaliśmy wkrótce zażarte dyskusje polityczne, a bardziej nawet ekonomiczne. Pan Tadeusz nie bronił, liberalniejszego już zresztą wtedy reżymu, na płaszczyźnie praw człowieka, wolności osobistej, wolności słowa. Potępiając „okres miniony” twierdził, że obecna sytuacja jest geopolityczną koniecznością, że nie warto na ten temat mówić. Był

natomiast szczerym – tak się przynajmniej wydawało – zwolennikiem socjalizmu, jako ekonomicznego systemu. Uważał że przynosi on Polsce wielkie korzyści, a jednocześnie jest jedyną szansą rozwiązania problemów gospodarczych trzeciego świata, nad którymi pracował w Narodach Zjednoczonych. Prowadzenie tych dyskusji, kapitalizm czy socjalizm, ojciec pozostawiał w moich rękach, miałem bowiem stosunkowo świeżo ukończoną ekonomię w Londynie, a potem dalsze studia na Columbia University, łatwiej mi więc było argumentować. Tadeusz Łychowski nigdy nie przekonał mnie, ani ja nie przekonałem jego, a ostre czasem rozmowy zakańczaliśmy przyjaźnie kieliszkiem sędziwego koniaku czy calvadosu, dalszy ciąg dyskusji odkładając do następnego spotkania.

W 1961 roku chciałem, pierwszy raz, pojechać do kraju. Złożyłem podanie o wizę na mój amerykański paszport. Ambasada w Waszyngtonie odpisała, że jestem uważany za obywatela polskiego i zaproponowała paszport konsularny, na który mogę otrzymać wizę. Ofertę tę oczywiście odrzuciłem i zostałem powiadomiony, że złożyć trzeba podanie do Rady Państwa o pozwolenie na zmianę obywatelstwa. Wypełniłem długi formularz, uważając starannie, by nie podać żadnej informacji, która nie byłaby „im” już wcześniej znana. Otrzymałem odpowiedź, że muszę przedłożyć dowód posiadania polskiego obywatelstwa i dokumentację, której nie miałem. Sprawa stanęła w martwym punkcie. Wtedy właśnie, po dłuższej przerwie, odezwał się pan Tadeusz. Na kolację 11 sierpnia 1961 podaliśmy z ojcem raki. Opowiedziałem, jak nielogicznie postępuje „jego” ambasada, najpierw twierdzi, że jestem polskim, a nie amerykańskim obywatelem, a potem wymaga, bym to udowodnił. Nasz gość wysłuchał, wspominał coś o biurokracji, następnego dnia wracał do Waszyngtonu. Kilka dni później nadszedł króciutki list z ambasady: „Proszę przysłać paszport w celu wystawienia wizy”. Tak więc Tadeusz Łychowski, któremu w pewnej mierze zawdzięczałem decyzję wyjazdu, umożliwił mi po piętnastu latach zobaczenie znów Polski.

W tym okresie jego nowojorskie u nas odwiedziny stawały się już rzadsze. Zmieniła się też ich atmosfera; do pana

Tadeusza dołączyła z Polski żona, do nas z ojcem dołączyła z Londynu moja matka, skończyły się te najciekawsze, kawalerskie rozmowy we trzech. Państwo Łychowscy przyszli z pożegnalną wizytą do rodziców 22 października 1962, przed powrotem na stałe do kraju. Dwa miesiące wcześniej wziąłem ślub z Martą Berezowską, pan Tadeusz przyniósł butelkę wspaniałego szampana Dom Perignon. Słuchaliśmy radiowego przemówienia prezydenta Kennedy'ego w związku z kryzysem kubańskim. Pamiętam, że Łychowski był tym stanowczym przemówieniem poruszony, twierdził, że może ono oznaczać wojnę, że Chruszczow nie ustąpi. Było to nasze ostatnie amerykańskie spotkanie.

POWROTY

Po przeszło piętnastu latach przyleciałem do Warszawy 10 października 1961 roku, na pokładzie pięknego samolotu Caravelle z Paryża. Pierwsze zetknięcie z Żelazną Kurtyną nastąpiło w Pradze. W czasie krótkiego postoju odbierano na lotnisku paszporty, a potem wywoływano pasażerów po nazwisku by ich na samolot wpuścić. Nie skąpiono jednak doskonałego piwa, które świetnie łagodziło zrozumiiałe zdenerwowanie. W Warszawie zatrzymano mi książki i ostatnie numery *Kultury*. Wśród książek był tom pamiętników Aleksandry Piłsudskiej. Nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać: „Boicie się nawet pani Piłsudskiej?” Były to moje pierwsze słowa w Polsce. Celniczka nie zareagowała, pilnie spisując protokół. Miała wielkie trudności by właściwie opisać wydawane przez mego ojca czasopismo, *The Central European Federalist*. Wszystko mogłem odebrać przy odlocie, lecz nie zrobiłem tego rozumując, że ktoś przecież tę literaturę przeczyta...

Na Okęciu czekali wuj Adam Nagórski i najbliższy przyjaciel, Staś Nehring. Na powitalnym cocktailu zebrało się wiele osób, łącznie z Romanem Jasińskim i Władysławem Tatarkiewiczem. Wymaganą rejestrację na milicji załatwił hotel. Odwiedziłem Nałęczów, Lublin, Kraków, Toruń. Poruszałem się swobodnie, bez żadnych problemów.

Odwiedziłem Polskę ponownie w lipcu 1963 roku. Otrzymanie wizy nie przedstawiało tym razem trudności, kazano mi natomiast 9 lipca stawić się osobiście dla załatwienia rejestracji. Zajmowany przez UB pokój w warszawskim hotelu „Grand” sprawiał trochę wrażenie orwellowskiego pokoju 101. Nie wiadomo było, czego się tam można spodziewać. Pytania zadawała wyjątkowo niesympatyczna kobieta. Musiała mieć dużą wprawę w prowadzeniu przesłuchań; ktoś z boku stenografował. Chciała wiedzieć wszystko o moim wyjeździe z Polski. Dziwiło mnie takie zainteresowanie, po siedemnastu latach, błahą w gruncie rzeczy sprawą. Z góry postanowiłem, że nie dodam niczego do tego co już, w swoim czasie wypisałem na formularzu, a co było wcześniej znane. Pytany kto poza mną zszedł wtedy ze statku, odpowiedziałem, że nie pamiętam. Pani z UB chciała również wiedzieć, czy moja matka wyjechała z legalnym paszportem – zapewniłem ją, że nie wiem. Padło wreszcie pytanie filozoficzne: „Co skłoniło Pana do opuszczenia ojczyzny w tak trudnym okresie?” Nasuwała się odpowiedź ironiczna, że bałem się, by nie spotkał mnie los, jaki wkrótce potem spotkał obecnego pierwszego sekretarza partii. Nie powiedziałem tego, ani nie wdawałem się w polityczne dyskusje. Wspomniałem coś o lepszych szansach na studia. Groziła mi najwyżej odmowa rejestracji i nakaz natychmiastowego opuszczenia Polski. Byłoby to, jednak wielką przykrością dla wuja Adama i czekających mnie przyjaciół. Wyszedłem z przesłuchania z uczuciem niesmaku. Doszedłem do wniosku, że nie powinno się dobrowolnie stawiać w podobnej sytuacji.

Tak się złożyło, że wieczorem tego dnia odwiedziliśmy z wujem państwa Łychowskich w ich pięknym mieszkaniu przy ulicy Brzozowej. Podczas eleganckiej kolacji opowiedziałem oczywiście o moim przesłuchaniu, podkreśliłem, że takie traktowanie przybyszów z Zachodu będzie negatywnie wpływać na wizyty do kraju, a przecież płyną z nich dewizowe korzyści. „A co Pan sobie myśli – odpowiedział Łychowski – myśli Pan, że oni chcą by ludzie tacy jak Pan przyjeżdżali? Myśli Pan, że oni chcą żeby Pan opowiadał swoim kolegom, jakim Pan jeździ samochodem, jak Pan spędza wakacje na

Rivierze, jak się Panu dobrze powodzi? Im wcale na tych dewizach nie zależy”. Ucieszyłem się, że pan Tadeusz nie mówił już „my”, że mówił „oni”. Widziałem go wtedy po raz ostatni, był w złym stanie zdrowia, mojej następnej wizyty w kraju nie dożył.

Pojawiłem się znowu w Polsce dopiero siedem lat później we wrześniu 70 roku i tylko dlatego, że wujowi Adamowi, który właśnie kończył 85 lat, odmawiano paszportu. W poprzednich latach miał możliwość odwiedzać nas w Ameryce. Z tych samych względów moja matka zdecydowała po dwudziestu czterech latach pojechać do kraju, przyjmując z konieczności i raczej niechętnie amerykańskie obywatelstwo; wolała bezpieczeństwa papierów politycznego emigranta. Pamiętam spacer pierwszego dnia z hotelu „Bristol” na Rynek Starego Miasta. Co kilkanaście Kroków, przed pomnikiem Mickiewicza, przed kościołem Karmelitów i kościołem św. Anny, przed kolumną Zygmunta, mama zatrzymywała się, stała milcząco, a potem mówiła: „Jezus, Maria!”. Czekający nas u „Fukiera” przyjaciele czekać musieli bardzo długo.

Marek RUDZKI

SPROSTOWANIE

W artykule „Winiетки wyzwolenia i drugiej okupacji”, *Zeszyty Historyczne* nr 118, str. 218, błędnie podałem nazwę wydawanego w Nałęczowie pisma. Nazywało się ono *Codzienne Wiadomości*, a nie *Wiadomości Radiowe*. Ukazało się 14 numerów, pierwszy 24 lipca 1944, a ostatni 8 sierpnia. Oryginały posiadam w moim archiwum.

Marek RUDZKI

KATEDRA HISTORII POLSKIEJ NA KANADYJSKIM UNIWERSYTECIE

Prof. Piotr Wandycz w *Kulturze* Nr 12/591 z grudnia 1996 roku, słusznie zauważył, że nie został dostatecznie nasświetlony fakt powstania katedry historii polskiej na University of Toronto, jednym z najlepszych i największych w Kanadzie. Było to wynikiem długiej, żmudnej i wytrwałej pracy ludzi oddanych sprawie. Może jednak warto zacząć od początku.

Jednym z najbardziej znanych i cenionych bohaterów Kanady jest generał Isaac Brock, który zginął odpierając natarcie wojska amerykańskiego w czasie wojny Kanady ze Stanami w roku 1812. Jego prawnuk Peter Brock trafił do Polski z misją charytatywną po drugiej wojnie światowej. Zafascynowany polską i jej kulturą nauczył się polskiego i po studiach historii otrzymał doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po powrocie do Kanady przez wiele lat wykładał historię Polski na University of Toronto. Kiedy w roku 1985 przechodził na emeryturę zasugerował, by Kongres Polonii Kanadyjskiej (KPK) ufundował katedrę historii polskiej. Oczywiście była to przede wszystkim sprawa pieniędzy. Uniwersytet torontoński w korespondencji z ówczesnym prezesem KPK Stanisławem Orłowskim określił dokładnie warunki. Żeby zaangażować profesora wykładowcę trzeba było złożyć 450 tysięcy dolarów. Byłby to tak zwany „Proffessorship of Polish History”, który nie zobowiązywał uniwersytetu do odnowienia kontraktu po odejściu wykładowcy. Pełnoprawna, stała katedra, niezależna od aktualnie wykładającego profesora, wymagała ogromnej jak na możliwości Polonii sumy 2 milionów dolarów.

Mimo, że zadanie wydawało się prawie niewykonalne, podjęto odważną decyzję zebrania wymaganych funduszy. Sprawa wydawała się tym bardziej trudna, że nie spotkała się z poparciem całej kanadyjskiej Polonii.

Zbiórkę na fundusz katedry rozpoczęto w 1988 roku. To, że do roku 1993 zebrano wymagane \$ 450.000 jest przede wszystkim zasługą mrówczej i wytrwałej pracy przewodniczącego komitetu zbiórkowego Andrzeja Derkowskiego.

Po przekazaniu pieniędzy, uniwersytet rozpoczął poszukiwania wykładowcy polskiej historii. Po przejrzaniu zgłoszeń wybrano 4 osoby, z którymi postanowiono przeprowadzić rozmowy. Mimo, że uniwersytet zastrzegł wyrażenie, że ostateczna decyzja będzie należała do fakultetu, w rozmowach kwalifikujących brali udział przedstawiciele Polonii. Wybrano prof. Piotra Wróbla, który ukończył wydział historii na Uniwersytecie Warszawskim w roku 1977. Przed wyjazdem z Polski należał on do Instytutu Europy Wschodniej, a w latach 87 i 88 był dyrektorem naukowym Archiwum Wschodniego. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych w 1988 roku prof. Wróbel wykładał na University of California w Davis, University of Michigan w Ann Arbor i Michigan State University w East Lansing.

W międzyczasie zaszyły dwa znamienne wydarzenia. Po pierwsze Uniwersytet torontoński zmniejszył wymaganą sumę na założenie katedry z 2 mil. do 1 mil. dolarów. Po drugie w sierpniu 1993 roku zmarł były oficer marynarki Konstanty Reynert-Śmigieński, który prawie cały swój majątek przekazał na fundusz katedry. Zwiększyło to zebraną kwotę do wymaganego miliona. Tak powstała katedra historii Polski, która się oficjalnie nazywa „Konstanty Raynert Chair of Polish Studies”. Warto zaznaczyć, że katedra powstała bez jednego centa dotacji rządowych.

Ubiegłej jesieni katedra rozpoczęła trzeci rok akademicki. Jest to dużo za wcześnie, by mówić o wynikach. Tym niemniej można stwierdzić pomyślny rozwój. W pierwszym roku było 35 studentów, w drugim i obecnym około 50. Tu trzeba zaznaczyć, że zgłoszeń na seminaria jest więcej niż miejsc, tak, że nie wszyscy zgłaszający zostali przyjęci. W tym roku dwie osoby rozpoczęły doktoraty, a jednocześnie wpłynęło kilka podań na następne prace doktorskie.

Katedra prowadzi dwa całoroczne kursy dla studentów *undergraduate*: „Historia Polski” i „Historia Europy Środkowo-Wschodniej a wielkie mocarstwa w XIX i XX wieku” i

dwa półroczne seminaria dla studentów *postgraduate* na temat historii Żydów w Polsce i na temat Polski w XX wieku.

Wiedząc, że temat żydowski jest dla mnie ciekawy, prof. Piotr Wróbel zaprosił mnie na jedno z seminariów. To co zobaczyłem bardzo pozytywnie mnie zaskoczyło. Sala nie była duża, ale wypełniona po brzegi.

Jest dumą Polonii kanadyjskiej fakt, że katedra historii jest jedyną na tym kontynencie, pełnoprawną katedrą, którą uniwersytet jest zobowiązany utrzymać na stałe. Co więcej, łącznie z wykładami pani prof. H. Markowicz (literatura porównawcza) i wykładami prof. L. Iribarn, ucznia Miłosza (literatura polska), katedra historii tworzy tak zwany „Polish Studies Program” uprawniony do nadawania stopnia BA (Bachelor of Arts).

Styczeń 1997

Jerzy SŁUBICKI

LISTY DO REDAKCJI

23 lipca 1997

Szanowny Panie Redaktorze!

Dotarły do mnie trzy wydane ostatnio książki, zawierające informacje o wydarzeniach opisanych w moich artykułach w *Zeszytach Historycznych* nr 118 i 120. Chciałbym się na ten temat wypowiedzieć.

Pisząc o wyzwoleniu Nałęczowa w lipcu 1944 wspominałem o przelotnym pojawieniu się tam w dniu 24 lipca oddziału AL dowodzonego przez porucznika Bolka. Na placu Postój, tuż obok kiosku w którym mieściła się komenda AK, wygłosił on pseudo-patriotyczne, pełne komunistycznych sloganów przemówienie (*Zeszyty Historyczne* nr 118, str. 216). Osoba porucznika Bolka występuje wielokrotnie w świeżo opublikowanych dokumentach AL („Tajne oblicze GL-AL i PPR, dokumenty”, opracowanie Marek J. Chodakiewicz, Piotr Gontarczyk, Leszek Żebrowski, Burhard Edition, Warszawa 1997). Wynika z nich, że porucznik Bolek nazywał się Gustaw Alef-Bolkowiak, vel Gutman Alef i był dowódcą „oddziału specjalnego” AL w obwodzie II (Lublin). Oddział miał częściowo skład żydowski i przeznaczony był do wykonywania zadań propagandowych. Działalność porucznika Bolka wywoływała kontrowersje wśród lokalnych władz PPR. Ilustruje to raport sekretarza PPR na powiat Puławy, Jana Leptucha, pseudonim Tlen. Warto zacytować fragment tego raportu, datowanego 7 VIII 1944, a więc w dwa tygodnie po wystąpieniu Bolka w Nałęczowie. Zachowuję powtórzenia, gramatykę i pisownię oryginału. „Od dnia 4/7.44 istnieje fermet [sic!] w połud. części pow. Puławy powodem tego jest fermetu był Bolek por. który chodził z por. Anatolim i w sile do 40 żołnierzy 25 szt. broni szybko szczelnej [sic!] wyszedł na pow. Puławy jako oddz. propagan. por. Bolka mego punktu [sic!] widzenia ja mogę postawić w tym świetle, że tylko chciał przerzyć [sic!] wojne spokojnie, nie narażając Reakcji i wroga Hitlerowskiego. Natomiast Ja jako Sekr. pow. Puł. P.P.R.

postanowiłem sprzeciwiłem się tej działalności na podstawie tej, że masówki robił tylko w wioskach opanowanych przez działaczy P.P.R.” („Tajne oblicze”, str. 238).

Nie potrzeba cytować więcej by pokazać typ ludzi, którzy z ramienia PPR przejmowali wtedy władzę. Mylił się natomiast podpisany pod raportem Obywatel (z dużej litery) Tlen, że porucznik Bolek „robił masówki” tylko w opanowanych przez PPR „wioskach”. Muszę stanąć w jego obronie. Byłem przecież świadkiem wkroczenia jego oddziału, uzbrojonego w broń „szybko szczelną”, do Nałęczowa, który nie był „wioską” i w najmniejszym nawet stopniu nie był „opanowany przez działaczy PPR”. Słyszałem beznadziejnie prymitywne, propagandowe przemówienie, wygłoszone w tym samym stylu co raport Tlena. Oddział Bolka, który zaraz potem wymaszerował z Nałęczowa, przyjęty był przyjaźnie, bo jednak byli to partyzanci, ludzie z lasu. Treść przemówienia natomiast wywołała u Nałęczowian śmiech połączony z pogardą, ale była też ostrzeżeniem przed tym, co może nas czekać. Jest wielką zasługą dziesiętnych historyków i wydawców, że dokumenty tamtych czasów znajdują się na półkach księgarskich. Może z dalszych publikacji dowiemy się, jakie kariery zrobili potem Bolek-Alef-Bolkowiak i Tlen-Leptuch...

Wy tłumaczenie dlaczego porucznik Bolek zaryzykował wejście do opanowanego przez AK Nałęczowa znaleźć można w świetnej książce Jerzego Śląskiego „Żołnierze wyklęci”, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 1996. Autor pisze na str. 70 o porozumieniu podpisanym 10 lipca 1944 „przez przedstawiciela Inspektoratu AK Puławy i reprezentującego dowództwo Okręgu Lubelskiego AL por. Gustawa Alefa-Bolkowiaka”. „Obydwie strony postanowiły nie zwalczać się wzajemnie i współdziałać w walce z Niemcami”. Komuniści umowy takie dotrzymywali tylko kiedy było im to na rękę, ale porucznik Bolek najwidoczniej czuł się bezpiecznie w akowskim Nałęczowie, choć nie pozostał tam dłużej niż godzinę.

Jerzy Ślaski daje krótki opis wyzwolenia Nałęczowa. W godzinach rannych 23 lipca 1944 porucznik „Weneda” (Edward Wrotniak) opanował Nałęczów w ramach operacji „Burza”. Pokrywa się to z moją relacją w *Zeszytach Historycznych* nr 118, str. 213. Patrząc, jak z bocznych uliczek i furmanek wyłaniają się uzbrojeni młodzi ludzie nie mogłem oczywiście zdawać sobie sprawy z tego, że obserwuję fragment tej słynnej operacji. Nieścista jest natomiast informacja, że dopiero w dwa dni później dotarły do Nałęczowa pierwsze czołgi sowieckie. Mogę z całą pewnością stwierdzić, jako naoczny świadek, że pierwsze czołgi wjechały już następnego dnia, 24 lipca, w godzinach popołudniowych, zaraz po zakończeniu przemówienia porucznika Bolka. Witaj je oczywiście „Weneda” (pisząc moje wspomnienie nie znałem pseudonimu dowódcy AK) jako gospodarz. Tym samym wykonane zostały w Nałęczowie założenia planu „Burza” – wyzwolić się własnymi siłami, witaj Rosjan już jako gospodarze terenu. Silne formacje czołgów sowieckich przejechały przez Nałęczów 25 lipca wczesnym

rankiem i to może miał autor książki na myśli.

W artykule w *Zeszytach Historycznych* nr 121 opisuję incydent jaki miał miejsce w Nałęczowie w nocy i nad ranem 18-19 maja 1945. Oddział „Szatan” zaatakował posterunek Milicji Obywatelskiej, a po nieudanej akcji wycofał się do pobliskiego lasu. Wezwany przez milicję oddział sowiecki zaskoczył partyzantów; kilkunastu zginęło. Píše o tym Jerzy Ślaski w wyżej cytowanej książce, str. 195-196, podając więcej szczegółów (zginęło 17 partyzantów, a ocalało 13). Relacja przedstawiona przez Ślaskiego zgadza się w ogólnych zarysach z moją, z jedną ważną różnicą. Ślaski píše, że „w akcji tej, o której poza Nałęczowem nikt prawie nie wie, uczestniczyła świetna dziewczyna z Wąwolnicy, harcerka, sanitariuszka oddziału AK ‘Wenedy’, Henryka Lewandowska (dziś (Wawrzyniewicz), ps. ‘Iskra’”. W moim opisie podaję, że zginęła „młoda kobieta, żona ‘Szatana’, w randze porucznika, bardzo zasłużona w szeregu akcji”. Nie może tu chodzić o tę samą osobę, skoro „Iskra” żyje do dziś. Ślaski nie podaje, skąd czerpał dane o przebiegu nałęczowskiej potyczki. Ja opierałem się na informacjach, jakie otrzymałem w Nałęczowie zaraz po tych wydarzeniach (wróciłem tam po podróży na wybrzeże 23 maja 1945), a zapisałem, jeszcze względnie na świeżo, rok później w Londynie. Potwierdzenie mojej wersji znajdują obecnie w Nałęczowie; osoby pamiętające tamte czasy wspominają o „dziewczynynie, która umierała z rozprutym brzuchem”. Ślaski poświęca sporo miejsca osobie „Szatana” (Tadeusz Orłowski) i podkreśla, że miało miejsce dochodzenie ze strony wyższych oficerów AK w związku z odpowiedzialnością za śmierć tylu żołnierzy. Gdyby więc posiadał informacje, że w akcji zginęła żona „Szatana” (a w każdym razie, kobieta w randze porucznika) fakt ten znalazłby się w książce. Nie upieram się przy mojej wersji, poza podaniem skąd pochodzi, ale sprawa warta jest wyjaśnienia, choćby przez pamięć o poległej. Może wyjaśnić by ją mogła pani Wawrzyniewicz, „Iskra”.

Jerzy Ślaski wspomina, że trzynastu partyzantów, którzy zdołali uciec z zasadzki, zawdzięczało swoje życie głównie temu, że grupa NKWD ruszyła w pościg „niezbyt skwapliwie”, bo „sporo czasu zajęło jej obdarcie poległych z ubrań i butów”. „Poległych, obdartych do naga z ubrań i bielizny, enkawudziści wrzucili do remizy strażackiej w Nałęczowie”. Autor nie spekuluje, czym kierowali się enkawudziści obdzierając do naga zabitych żołnierzy. Czy pokrwawione ubrania nieszczęsnych partyzantów przedstawiały dla nich wielką wartość? Czy chodziło o próbę „pohańbienia” poległych? Trudno na te pytania odpowiedzieć. Każda odpowiedź świadczy o poziomie nowych okupantów.

W *Zeszytach Historycznych* nr 117 pisałem o roli, jaką Jan Pętkowski odegrał w akcji uwolnienia z Majdanka aresztowanych w czasie pracyfikacji w lipcu 1943 mieszkańców Nałęczowa i okolic. Henryk Kozłowski w Liście do Redakcji w numerze 119 przedstawił tragiczne powojenne losy Jana Pętkowskiego. List p. Kozłowskiego dał mi dużą osobistą satysfakcję. Ucieszyłem się, że dzięki

mojemu wspomnieniu wychodzą na jaw dalsze informacje o Janie Pętkowskim. Nie znane mi było nawet jego imię. Kończąc mój artykuł napisałem, że Pętkowski prowadził zapewne więcej podobnych spraw i że „nie powinien być zapomniany”. W tym duchu chcę zacytować dane zawarte w pomnikowej i wstrząsającej pracy Krzysztofa Jasiewicza, „Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939-1956”, Pomost-Alfa, Warszawa 1995. Wojciech Mikołaj Jaruzelski (1888-1944), właściciel majątku Siemionki, woj. poznańskie, aresztowany był wraz z rodziną jesienią 1943 w Warszawie i więziony na Pawiaku „skąd wydostali go (i rodzinę) Jan Pętkowski i Maurycy Potocki” (str. 410). Drugi podobny wypadek: Aleksander Lossow-Niemojewski (1910-1944), syn właściciela majątków Gryżyna i Boruszyn, woj. poznańskie, rotmistrz kawalerii, dwukrotny kawaler Virtuti Militari, ciężko ranny w bitwie nad Bzurą w 1939 roku, „w 1940 zabrany przez żandarmię niemiecką do Oświęcimia, zwolniony po 6 tygodniach po interwencji Maurycego Potockiego i Jana Pętkowskiego”. Niemojewski, ranny podczas Powstania, rozstrzelany został przez SS (str. 588). Myślę, że te dwa dodatkowe przyczynki bynajmniej nie zamykają listy osiągnięć Jana Pętkowskiego i Maurycego Potockiego.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Marek RUDZKI

Ottawa 18 lipca 1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Do artykułu pt. „‘Burza’ i ‘Deszcz’ na terenie Obwodu AK Kozienice”, który ukazał się w numerze 12 *Zeszytów Historycznych* choćliki drukarski przemycił dwa błędy.

Str. 70 jest „Graga” a winno być „Graba”. Podobnie na str. 76 jest „Garb” a winno być „Grab”.

Ja także dołożyłem błąd mylnie podając nazwisko „Gałuszko”. Winno być „Gałuszka” (str. 73). Osoba ta nie tylko działała w konspiracji AK, ale także była wielce zasłużoną na polu tajnego nauczania na terenie Pionek.

Tajne nauczanie to jeszcze jeden z przejawów ruchu oporu w czasie niemieckiej okupacji, który czeka na wyczerpujące opracowanie. Byłoby wielką szkodą, gdyby ten tak ważny aspekt ruchu oporu nie doczekał się obiektywnej monografii.

Łączę wyrazy poważania

K. STYŚ

Szanowny Panie Redaktorze,

Do mego artykułu pt. „Kedyw w Okręgu Wileńskim AK”, *Zeszyty Historyczne* nr 120, zakradło się kilka błędów, które niniejszym prostuję.

Na str. 121 i 122 mylnie podałem imię lekarza Wiśniewskiego. Winno być Janusz nie Stanisław.

Dalsze błędy, które niżej wyszczególniam, wynikają, niestety, z nie dość dokładnej korekty.

Str. 99, 10 i 11 wiersze od góry jest: „Zestrzelono go na Antokolu jesienią 1942 r. – za drugiej okupacji sowieckiej”, a winno być: „Zestrzelono go na Antokolu jesienią 1940 r. za drugiej okupacji sowieckiej”.

Str. 103, 16 wiersz od góry, zamiast: „Po rozwiązaniu ‘Wachlarza’, aktywna i znaczna część kadry...”, winno być: „...aktywa i znaczna część kadry...”.

Str. 107, 16 wiersz od góry, jest: „...mianował ‘Bronę’ swoim zastępcą”, winno być: „...mianował ‘Brona’ swoim zastępcą”.

Str. 110, 11 wiersz od dołu, jest: „Ubytki z Egzekutywy...”, winno być: „Ubyli z Egzekutywy...”.

Na str. 118, w przedostatnim akapicie (wiersze od 8 do 3 od dołu) z trzech zdań zrobiono dwa zdania: „Oddział ‘Frycza’ został włączony do Zgrupowania AK mjr. ‘Jaremy’. Do akcji bezpośredniej, mimo dobrego przygotowania technicznego, nie został użyty”. Prawidłowe brzmienie jest następujące: „Oddział ‘Frycza’ został włączony do Zgrupowania AK mjr. ‘Węgielnego’. Pluton ‘S’ został podporządkowany Zgrupowaniu mjr. ‘Jaremy’. Do akcji bezpośredniej, mimo dobrego przygotowania technicznego, nie został użyty”.

Na str. 124, 6 wiersz od góry, jest: „... szefa Komendy Okręgu”, winno być: „... szefa sztabu Komendy Okręgu”.

Będę wdzięczny za umieszczenie powyższych sprostowań w najbliższym numerze *Zeszytów Historycznych* i pozostaję z poważaniem

Longin TOMASZEWSKI

SPIS TREŚCI

Andrzej Grzywacz: <i>Wojna obronna Polski 1939 roku w relacji polskiego sztabowca</i>	3
Kajetan Bieniecki: <i>Współpraca SOE z NKWD i Polacy</i>	23
Tadeusz Wyrwa: <i>Studium Polski Podziemnej w Londynie</i>	31
Aleksandra Ziółkowska Boehm: „ <i>Złamana strzała</i> ”. (<i>Rozmowa z Januszem Żurakowskim, legendarnym „Żurą”, pilotem Bitwy o Anglię i Arrow</i>) .	41
Ryszarda Socha: <i>Wszystkie teczki „Bolka”</i>	55

DOKUMENTY

<i>Marszałek Rydz-Śmigły a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych</i>	67
<i>Proces Tatarników</i>	89
<i>Deklaracja polsko-ukraińska z 1979 r. na tle historycznym</i>	97
<i>Relacja o śmierci Marszałka Piłsudskiego</i>	99

WSPOMNIENIA

<i>Zaznałam w życiu tyle dobroci. (Z Mychajłyną Kociubynską rozmawiają Bogumiła Berdychowska i Aleksandra Hnatiuk)</i>	102
--	-----

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Zbigniew T. Wierzbicki: <i>Antoni Peretiatkowicz 1884-1956</i>	142
--	-----

KSIAŻKI

Tadeusz Wyrwa: <i>Od Napoleona do De Gaulle'a</i> . . .	149
Emanuel Halicz: <i>Problem Niemcy-Polska</i>	159
<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	163

OKRUCHY HISTORII

Tomasz Mianowicz: <i>Oceny i zalecenia: Wizyta Michaiła Sustałowa w Warszawie w kwietniu 1981 r.</i> . . .	165
Marek Rudzki: <i>Winiетки drugiej okupacji i emigracji</i>	172
Jerzy Słubicki: <i>Katedra historii Polski na Kanadyjskim Uniwersytecie</i>	215

LISTY DO REDAKCJI

Marek Rudzki: <i>Uzupełnienia i sprostowania dotyczące jego artykułów w Zeszytach Historycznych Nr 120</i>	218
Kazimierz Styś: <i>Sprostowania dot. jego artykułu „'Burza' i 'Deszcz'” zamieszczonego w Nr 120 Zeszytów Historycznych</i>	221
Longin Tomaszewski: <i>Sprostowania pomyłek popełnionych w jego artykule pt. „Kedyw w Okręgu Wileńskim AK” zamieszczonym w Zeszytach Historycznych nr 120</i>	222

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 5 SEPTEMBRE 1997
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 3^e trim. 1997
N° d'imprimeur : 2012

